

12/24

*Wydanie 125
zakładowe*

KAZIMIERZ LECZYCKI

PAŃSTEWKO

POWIEŚĆ

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH~~



~~Nr. 2069~~

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
PARYŻ—POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE



Ligon.
Pari.
~~2009~~

8-3

PAŃSTEWKO

KAZIMIERZ LECZYCKI

PAŃSTEWKO

POWIEŚĆ



~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 2069~~

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
PARYŻ—POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE



SN 21546

PRAWA PRZEDRUKU
I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE



821.162.9-3

Drukarnia: Piotr Pyz i S-ka w Warszawie, ul. Miodowa 8.

1928

CZEŚĆ I.

LILI.

List z „Abisynji“!

...Wpadł jak bomba do pokoju, szukając czegoś śpiesznie, gorączkowo...

Niema?

Jest!

Leży na podręczniku fizyki dla klasy piątej — taki mały liścik od Niej. Rozrywa kopertę i czyta, połykając wyrazy. Nareszcie „clou“.

...„przyjdź dziś, Jurku, koniecznie — pisała „Ona“. — Nasz dzisiejszy czwartek zapowiada się bardzo mile. Będzie na pewno Eryk, moja sympatja zeszłoroczna (ale nie bądź zazdrosny, bo to już tylko przeszłość), będzie i Zygmus, wiesz, ten bajeczny sportsman, moja sympatja wakacyjna (ale nie martw się, bo już wszystko skończone między nami). Przyjdzie również Julek Popow, nowy prezes „Związku Młodzieży Narodowej“, moja sympatja obecna (z którym chciałeś się zobaczyć), więc przyjdź“...

„Przyjdź“, „przyjdź“...

... a rozkład pracy?

Pożarł mu już tyle wolnych chwil i dziś to samo. Jak wół „stoi” w notesiku czerwonym atramentem, że dziś o 8-ej wykład o Kazimierzu Jagiellończyku dla chłopców z Podsekcji Ludowej.

Co tu robić? Trzeba jakoś wykombinować, żeby i wilk był syty, i Kazimierz Jagiellończyk cały. Może Konradowski zastąpi? — Przygotowuje referat na Sekcję Historji, nie można go odrywać. Antek Nieciecki ma komisję biblioteczną. Julek Popow sam zechce być u Lili.

Nie iść?

Ee! Czyż można stawiać wyżej spódniczki, niż pracę społeczną? Niema rady, trzeba iść samemu na Jagiellończyka.

Wychodząc, znajduje w sieni jeszcze jeden list. Aha! To z „Abisynji”! Pewnie bura.

„Kochany Jurku” — pisała matka, jak zwykle na niezliczonej ilości dodatkowych kartek (widocznie „szedł” krótki, ale „wyszedł” strasznie długi). — „Niepokoi mnie bardzo Twoje milczenie tegoroczne. W przeszłym roku pisałeś prawie co tydzień. Zachwycałeś się szkołą, życiem szkolnem, a nawet nauczycielami, chociaż to Rosjanie. W tym roku nic, ani słóweczka. Wujaszek przypuszcza, że musisz się chyba źle uczyć? Ale czyż to możliwe? Przecież sam chciałeś jechać do szkół i sam bez niczyjej pomocy przygotowałeś się do klasy IV. Więc ucz się dobrze, moje dziecko”.

Kartka druga.

„Stryjaszek Henryk wybiera się do naszej „Abisynji“. Nazywa tak, jak sam wiesz, nasze strony. Dwa lata temu nazywał nas Australją, ale dziś mówi, że Anglicy zanadto już ją ucywilizowali. Powiedziałam, że chociaż mieszkamy 30 wiorst od poczty, a 80 od kolei, jednak przyjmiemy go serdeczniej, niż w jego cywilizowanej „Europie“.

Kartka trzecia.

„Wczoraj wujaszek, jadąc przez las, sprzedany za bezcen Żydom na Twoje kształcenie (jak wiesz, do dziś dnia wujaszek nie może mi tego darować), powiedział: — Wszystkie te sosny, których tu niema, poszły na głowę twego Jurka. Musi być dobra, a to taki jeszcze osioł. — Więc ucz się dobrze, moje dziecko, i przyślij mi koniecznie swoją cenzurkę“.

Niema się czem tak bardzo chwalić — mruknął kierownik Podsekcji Ludowej, lecąc już zwykłym kłusem społecznym młodzieży zorganizowanej. — Co się też dzieje teraz u cioci Zaniewskiej? Pewnie Lili rozpromieniona, uśmiechnięta, ładniejsza niż na codzień, słucha Eryka, który twierdzi ze zwykłym sobie sarkazmem: „panna Lili wiecznie chce, ażeby cały świat klęczał u jej stóp“. Marjan Likowicz, jedyny przyjaciel i stronnik „bubka“ Jerzego z paczki złotej młodzieży, czyli t. zw. „kompści“, gra na skrzypcach. Hersztowie „kompści“, Wacławowscy, entuzjazmują się ostatnią modą sportową — futbolem, oraz wizytą Blériot'a (a wujaszek twierdzi, że latanie w powietrzu niema przyszło-

ści). Reszta „kompści“ gędzi o polowaniach, albo szepece dwuznaczniki, wybuchając co chwilę śmiechem. Julek Popow pewnie patrzy na nich tak, jak prezes demokratycznego Związku Narodowego może patrzeć na „zwyrodniałą arystokrację“...

Zaczął myśleć o drugim liście. „Abisynja” miała słusność. Jeszcze dwa lata temu kochał szkołę rosyjską, Rosję i Rosjan. Ażeby zabezpieczyć chłopca od rusyfikacji, rodzina zaopatrzyła go w pęk archaizmów i kłamstw. Tymczasem zamiast dzikich kacapów struchlały „palaczok“ ujrzał kilku miłych i grzecznych panów i pań, do których musiał się przywiązać pomimo cierpień Babuni i Dziadunia w 63-cim. Dopiero rok temu dowiedział się olśniony nowicjusz, że świat, na który spogląda naiwnymi oczyma dziecka wsi, nie jest wcale taki, jaki niby jest. Wielu ludzi, którzy na pierwszy rzut oka bawią się, uczą się i flirtują tak, jak inni, należy do olbrzymiego, tajnego stowarzyszenia młodzieży, którego celem jest niepodległość kraju. Wiele zwykłych, spokojnych domków mieszczkańskich z zapuszczonemi białemi firankami daje tajne locum spiskowcom. Świat nie jest taki, jaki jest.

Zaczęło się to wszystko od czasu, kiedy się zapoznał z Erykiem. Okropnie jakoś śmiesznie wypadła śmierć Gustawa, a narodziny Konrada. Pewnego razu buchnął nieludzki krzyk na dziecina. Ciocia Zosia rzuciła się do okna... „znowu tego waszego prezesa wloką pod pompę“.

Cała gromadka kuzynów i kuzynek Jerzego wybiegła z kwatery patrzeć na to, co się dzieje. Istotnie jakiś wątlły i różowiutki, jak panienka, blondynek wydierał się trzem roslým drabom, którzy trzymali go pod strugą wody, płynącą z pompy. — „Pewnie poszło chłopcom o tę kokietkę Lili“ — szepnęły ze współczuciem panny. — „Ależ nie, to są raczej echa „Sekcji Politycznej“ Bratniaka“ — wtrącił półgłosem któryś ze starszych kuzynów Jurka.

Tymczasem oprawcy, widząc wzburzenie wśród widzów, puścili swoją ofiarę, która się odrazu zajęła doprowadzeniem do porządku swojej garderoby. Jerzy patrzył na to ze szczerem współczuciem.

— Czego gapisz się na mnie, jak mała — krzyknęła ze złością ofiara zazdrości, czy polityki. — Idź, lepiej przynieś ręcznik.

Jerzy przyniósł nietylko ręcznik, ale grzebień i lusterko tajemniczej istocie, którą sama ciocia Zosia nazwała prezesem. Nieznajomy przeprosił go nader grzecznie za poprzednie odezwanie się, tłumacząc się zrozumiałem chyba zdenewowaniem, i od tego czasu datować się zaczęła ich przyjaźń.

W kilka dni później zaintrygowany Jurek zagadnął nowego przyjaciela, co oznaczały właściwie tajemnicze słowa cioci Zosi i kuzynów: „Bratniak“, „Sekcja Polityczna“, „Prezes“. Narazie otrzymał wprawdzie odpowiedź wymijającą, później jednak Eryk powiedział mu sam: — „Dziś rozma-

wiałem o Was. Wprawdzie nie jesteś jeszcze w piątej klasie, ale wyglądasz poważnie. Narazie niewiele co prawda skorzystasz, ale trzeba czasem myśleć i o przyszłości. Zresztą my lubimy młodych“.

Były to wprowadziny do tego świata o podwójnem znaczeniu, który zatarł szkołę w duszy „Abisyńczyka“, jak ongi szkoła oddaliła go od „Abisynji“.

BURŻUAZYJNY „CZWARTEK” I PONIEDZIAŁEK REWOLUCYJNY.

Nareszcie jeden „czwartek” wolny. Jurek zajął ze trzy razy do swego „rozkładu prac organizacyjnych“, ale tym razem jego dręczyciel był korekt. Poczul się więc w siódmym niebie, a o ósmej poszedł do lekkomyślnego Zbisia, który, pogardzając wszelkiem społecznikowstwem, udzielał społecznikom rad, jako zawodowy elegant.

Salonik Lili był już prawie pełny, kiedy klient zawodowca Zbisia ukazał się w jego progach. Ona sama w białej sukience, rozpromieniona i uśmiechnięta, królowała wśród trzech, czy czterech zamożniejszych sztubaków, przyodzianych po cywilnemu, w czerń nieposzlakowanego koloru i kroju. Pocałowała go kilkakrotnie na dzieńdobry pod gradem zazdroszczących spojrzeń, dała kuzynkowi, który piekł tymczasem straszne raki, filiżankę kawy, podsunęła mu ciastka i pozwoliła mu wcisnąć się w jakiś kącik obok siebie.

Cała publiczność czwartkowa „u Lilki” składała się jak zwykle z aspołecznej kompści, oraz związkowo-bratniackich społeczników. Obie strony żywiły ku sobie nieprzepartą animozję, i jedynie dyplomatyczny talent Lili chronił „czwartki” od niepożądanych ekscesów. Aspołecznicy asystowali zawzięcie koleżankom Lili, które wybuchały co chwila śmiechem. Natomiast grupa związkowo-bratniacka nie wdawała się w żadne dziecinady, omawiała zato najaktualniejsze sprawy bieżące, korzystając ze szczęśliwego spotkania. Były tam same grube ryby organizacyjne: prezesi, wice- i liderzy stowarzyszeń, ambitna bowiem kuzynka Jerzego lubiła się otaczać znakomitościami. Gwarzono więc tu przy czarnej kawie o najświeższych nowinach z życia organizacyjnego, cenzurowano nowe nabytki ludzkie, czyli t. zw. bubków, wyławianych z pośród rusyfikujących się i obojętnych, interesowano się nawet wiosennemi wyborami w Bratniej Pomocy... „Bo przecież Konrad powinien się już chyba zacząć uczyć!... E, i waszemu prezesowi teżby się książeczka przydała”. Nie obešlo się oczywiście bez dyskusyj zasadniczych. Uszu słuchającego w pobożnem skupieniu Jerzego dolatywały co chwila fragmenty sporów dygnitarskich.

— E, kiedy bo wy jesteście jak zwykle szowiniści.

— Wcale nie, nie jesteśmy tylko kosmopolitami.

- A bojkot wieczorków rosyjskich?
- O, to jeszcze nie zdecydowane!
- Jakto, a przecież prezes nie mówił.
- Prezes to jeszcze nie Związek.
- Gadanie!! Prezes to jeszcze więcej niż Związek!

Wreszcie wszczęła się gorąca sprzeczka na temat, „gdzie panuje czystsza atmosfera moralna, w Związku Narodowym, czy też Bratniej Pomocy?!” Wezwana na sędziego Lili oświadczyła dyplomatycznie, że, nie należąc do Związku, nie może się uważać za kompetentną w tak delikatnej materji. Jest tu natomiast Lipski, prawdziwe dziecko wsi, czyste i niezepsute, który pracuje i tu i tam. Wielkości organizacyjne spojrzały z łaskawem ośmieleniem na struchlałego „Abisyńczyka“, który bąknął coś, „że i tu jest dobrze, i tam jest dobrze”, wywołując sarkastyczną uwagę ze strony Eryka, że „jednak nie można siedzieć wiecznie na dwóch stołkach”. W opozycji do całego grona liderów znalazł się jak zwykle Jaś Zaniewski, członek międzynarodowego bratniaka łobuzów szkolnych, jak sam mówił o sobie. Sekundował mu młodziutki Bolek Cholewa, kierownik ćwiczeń sokolskich. — Czas jest zanadto drogi — perorował Jaś — aby go marnować na wysłuchiwanie bzdurstw panny Misi na temat „Szwajcarii“ Słowackiego, albo referatu pana Stasia „o Powstaniu Listopadowem”. Tymczasem Moskale wiedzą o nas doskonale i śmieją się pocichu z tych „katakumb patryjotyzmu”, prze-

śladując naprawdę to, co jest warte zachodu. Mówię wam, że powstanie to jest jeszcze coś, ale reszta to jest nic!

* * *

Od poniedziałku do soboty cała prasa miejscowa o niczem innym nie pisała, jak tylko o tajemniczych zamachach dynamitowych, dokonywanych coraz zuchwalej przez nieznaną i niewykrytą sprawców. Napróżno cała policja miejscowa stała na głowie, ażeby złapać chociażby jednego niewinnego. Ponieważ zaś sezon dziennikarski był kompletnie martwy, i nie było nawet wojny w Chinach, ani rewolucji w Meksyku, zadowolone gazety wypisywały niestworzone rzeczy.

„Nie chcemy przesadzać — pisała prasa reakcyjna — porównując nieznaną nam bliżej złoczyńców z mordercami prezydenta Carnot — jasny to jednak dowód, że słabość obecnego kierunku liberalnego rozzuchwała żywioły anarchji i zbrodni!” — „Lud burzy się — pisały gazety demokratyczne — lud szemrze, lud daje znać, że żyje!” — „Dnia 19-go b. m. o godzinie 7-ej wieczorem — pisał kierunek umiarkowany, jak zwykle bez komentarzy — nieznaną sprawcy spowodowali wybuch petardy dynamitowej przed domem p. gubernatora. Następnego dnia pomiędzy 7-ą i 8-ą nastąpiła silna eksplozja na schodach jednego z cyrkułów policyjnych. Śledztwo w toku”.

Rzeczywistość przedstawiała się tak: Niedzielną „Sekcja Historji” skończyła się o pół go-

dziny wcześniej, i Jerzy ruszył ze swoją paczką do Jasia Zaniewskiego z zamiarem wyciągnięcia go na spacer. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu całej „grandy” Jaś, zamiast tradycyjnie odpowiedzieć: „a dobrze, bo jakoś dziś wyjątkowo nie mam usposobienia do nauki”, zaprowadził ich do swego pokoju, wskazując z tajemniczą miną jakoweś pudełko. Chłopcy pochyłili się nad niem.

— Co to jest?

— Otwórzcie!

W pudełku znajdowały się dwie warstewki korków, otulone szczelnie watą.

— Ależ to korki, zwykłe korki — zawołali chórem rozczarowani.

— Korki, ale niebardzo zwykłe. Weźno, Jerzy, jeden korek i rzuć na ziemię.

— A teraz uderz obcasem!

Huk przeraźliwy wstrząsnął siedzibą czwartkową, aż do drzemiącej w sąsiednim pokoju ciotki Zaniewskiej włącznie. Chłopcy odskoczyli ku ścianom.

— Co to? Co to? — posypały się pytania!

— Bułeczki pieczone na dynamicie. Najnowszy wynalazek amerykański na złodziei ogrodowych, ale my to zużyjemy na złodziei policyjnych. Wczoraj znowu policja zrobiła rewizję w „Sokole”. Szukają pretekstu, żeby nas zamknąć.

— Jasiu! Co to za huk, czy to na ulicy? — rozległ się zaspany głos ciotki Zaniewskiej.

— To Jerzy zastrzelił się z miłości do Lilki!

— Osiół jesteś, mój kochany, to pewno twoja sprawka! Ach mój Boże, czemu ja ciebie nie biłam... — biedna ciocia była w teorji gorącą zwolenniczką kar cielesnych.

— Nie zwracajcie uwagi na mamę, ale słuchajcie tego, co ja wam powiem — komenderował Jaś. — Każdy z was ma prawo do kilku korków. Spodziewam się, że nie trzeba wam tego dwa razy powtarzać.

Po wyjściu z kwatery głównej uradowani chłopcy rozsypali się po mieście, jak stadko wróbli, niecąc straszliwy popłoch wśród Bogu ducha winnych spacerowiczów. Sam wynalazca ruszył wprost na plac Katedralny, przy którym mieścił się dom gubernatora. Przed domem nudził się jakiś „policaj”. Jaś wytrząsnął z rękawa „trójkę”, zamiast poprzestać skromnie na jednym korku, i stuknął w nie obcasem.

Efekt był nadzwyczajny. Policjant wyleciał, jak z procy, i siadł na bruku, obmacując starannie wszystkie części ciała. Jaś zrobił to samo. Na szczęście, nikomu niczego nie brakowało. — Pan ranny, ranny?! — pytał śpiesznie wijącego się w boleściach Jasia policaj, nieco zmieszany nieprzepisową prędkością swego upadku.

— Prawie nie, ale okropnie się przestraszyłem — odpowiedział płaczliwie zamachowiec, gramoląc się z ziemi przy troskliwej pomocy policmana. — Ale cóż za czasy, Boże, Boże! Na mnie i na policję w biały dzień robią zamachy.

I powlókł się do domu z kieszeniami, wypchanymi corpus delicti. Zamachy ustały dopiero wówczas, kiedy po jakiejś panice w kinie anarchości doszli do przekonania, że mogą się stać sprawcami prawdziwego nieszczęścia.

EUROPA W „ABISYNJI”.

W niedzielę 16-go grudnia wypadła ostatnia przedświąteczna „Sekcja Literacka”, dość już mało liczna, gdyż parlament dzieci (określenie Jaśka Zaniewskiego) zaczynał się rozjeżdżać na wakacyjne ferje. Rozjeżdżano się, plotkując. Jakże można było pozwolić olbrzymiemu Adasiowi, powakacyjnie bujającemu piłkę futbolową na olbrzymich nożyskach, na publiczne oświadczenie, że ma już dość tego Słowackiego. Kto, jak kto, ale przewodniczący winien był poskromić innego futbolistę za antyliteracki frazes, wypowiedziany na ostatniej Sekcji. — I... jak trzeba będzie bić się za Polskę, to pójdziemy pierwsi, ale tymczasem dajcie nam spokój z waszemi wierszami.

— Kiedy będzie bicie się za Polskę, tego nikt z nas nie wie — analizował ostatnie popisy „kompści” Jurek Lipski już w pociągu, który go unosił „na wieś” — trzeba więc tymczasem pracować dla Niej solidnie nietylko nad futbolem, ale i nad Słowackim.

Czuł się straszliwie dotknięty lekceważeniem złotej młodzi, dla fanatycznie, aczkolwiek bardzo

niedawno poznanego poety. Poczem, w miarę oddalania się, rosły inne troski, inne obawy o pozostawiony bez siebie światek. Czy jego „Podsekcja Ludowa“ nie wpadnie w łapy policji? Co będzie, jeżeli Julek Popow, który matkę i siebie utrzymuje z własnej pracy, nie chcąc brać pieniędzy od ojca, Rosjanina, sypnie się wkońcu? Coby robił wówczas biedny Konradowski, który trudni się korepetytorką od 4-ej klasy?... Ja sam mam kawałek ziemi, ale oni?

Myśli te minęły szczęśliwie przed ostatnią stacją wąskotorówki. Z okien pociągu „mało pośpiesznego“ widać las otulony w śniegi sute, białe, sypkie i lśniące. Tu i ówdzie miga oślepiająco biała polanka, z samotnym stogiem siana pośrodku. Niekiedy to królestwo sosen i śniegu przerznie korytarz drogi leśnej, lub długi wąwóz wyrębów granicznych... i znowu niekończący się, jednostajny pas sosen, krytych płachtami śniegu. Ażeby zorjentować się, kiedy to się skończy, trzeba umieć pamiętać stogi, leśniczówki, mury czarnych starzyn, wtłoczonych między żółte, sosnowe kolumnienki, trzeba wogóle wiele rzeczy wiedzieć z życia jednostajności.

Konie czekają, i młody „Abisyńczyk“ tonie w powłoce doczesnej jakiegoś czcigodnego niedźwiedzia, ustrzelonego za czasów Stanisława Augusta. Przez wąską szczelinę w olbrzymim kołnierzu można obserwować w niecierpliwem oczekiwaniu małe wioseczki leśne, polanki, półka po hreczce, jarce,

i kartoflach, potem większe pola i wioski, wzgórze Reispolu, olbrzymią płaszczyznę łąk Berezyny — i ot, już majaczy się zdaleka czworobok starych drzew.

To Osmołówka, „Europa” w „Abisynji”.

Powiat rodzinny Jerzego Lipskiego dzielił się na trzy gminy duchowe. Jedna siała łubin i hodowała cielęta. Druga — to był żywy rok 63-ci. Trzecią gminą była „Europa w Abisynji”. Świat „63-go” składał się tylko z dwóch istot: babuni i stryjaska Henryka. Grupa cielęcno-łubinowa, na którą spadł straszliwy ciężar ekonomicznej Syberji, która całą swoją młodość bez młodości wydała na spłacanie kontrybucji, mściła się na sprawcach klęski zapomnieniem. A może to nawet nie było zapomnienie. Było to raczej zabalsamowanie za życia.

W ciągu jedenastu miesięcy nie słuchano ich wcale. Dopiero kiedy się zbliżał listopad, styczeń, albo 3-ci Maj, wydobywano ze schówka myśli żywe relikwie narodowe i pozwalano im mówić. Uśmiechano się przytem blade i potakiwano nawet.

Ktoś inny możeby się i zgodził z przymusową rezydencją na strychu u realistów życiowych. Stryj Henryk nie. Wojnę wypowiedzianą przyjął tak, jak w 63-im. Przyjęcia rzeczywistości odmówił i począł żyć przyszłością i przeszłością, kochając tylko swoje wspomnienia i cudze dzieci.

A wspomnień tych było niewiele. Dwie karty księgi jego życia odwracały się wciąż automatycznie

ze znanem każdemu, zblakłem, wyżółkłem pismem. Jako szesnastoletni chłopak został ranny w pierwszej potyczce powstańczej, wzięty do niewoli i wysłany na Sybir. Po kilku latach zesłania zaproponowano mu ulaskawienie, wzamian za podpisanie aktu, potępiającego powstanie. Odmówił. Była to karta druga.

Reszta kart była biała. Wrócił po kilkunastu latach i zamieszkał w nowej Syberji, Syberji moralnej. Fala geszefciarzy, chamów, nuworyszów, młodych, niepamiętających już roku klęski, napłynęła i zagłuszyła wycięty las. Potraćano go i poszturgiwano moralnie. Nie był ani żywą relikwią, ani człowiekiem niebezpiecznym. Poprostu nie istniał, był niepotrzebny, nieaktualny. Na Syberji klimatycznej myślał o kraju, jako o czemś biednym, prześladowanym i opuszczonym. Ujrzał sytych, szczęśliwych, zadowolonych.

Sam usunął się do „Abisynji”, zgorzkniał, stetryczał i postarzał. Zamieszkał w małym domku, pełnym kanarków, złotych rybek, gazet, książek i cukierków dla dzieci. Rodziców nie uznawał. Pogrobowcom insurekcji nie dawał najmniejszego pardonu. Aforyzmy autora „Abisynji” bała się, jak ognia, cała okolica, wszystkie poczciwe hreczkosieje, wszystkie zacne woły robocze. Człowiek ten za silny dla środowiska, w którym żył, rozsadzał je i rozkładał. Płacąc sam najwyższe ceny za życie bez kompromisu, żądał tego od wszystkich. Nie znajdując tego, czego szukał, palił je sarka-

zmem i otaczał się dziećmi — jedynem społeczeństwem bezkompromisowem, jakie istnieje na świecie.

Młodzież była już na indeksie. Duch „owsiano — łubinowy”, duch traktamentu dla „sprawnika” i wyjazdu do Rosji na posady mógł tam już zrobić swoje. Dzieci były jeszcze czyste.

Gromadził je więc i przygotowywał do przyszłej wojny, której czekał niezmiennie co wiosnę, jak najbardziej przesądny chłop. Śmiano się z tego pocichu i pytano nieraz: — „No cóż, Henryku, kiedy wojna? Miała być w 1907, a teraz już jedenasty”? — „Hm, może być w 1913, 14-ym, 15-ym... Anglja”?

Między, a raczej nad walczącymi gminami materializmu i idealizmu stała właśnie Osmołówka. Osmołówka — to Europa Zachodnia w minjaturze. Ale Francja, Włochy i Anglja posiadały nie tylko Wiktorów Hugo i Byronów umarłych, ale szewców, krawców i kucharki żyjące. Dawne dobra osmołowskie nie posiadały już folwarków, ale ich Francja, Włochy, Holandja były zamieszkałe przez Dantów, Pascalów, van Dycków, Rubensów.

W stryjaszku Henryku tkwiła odwieczna dusza czynu, dusza akcji, nie znoszącej oporu, czasu, złej konjunktury, irrealizmu. W duszy gospodarza Osmołówki, profesora literatur słowiańskich na jednym z uniwersytetów skandynawskich, tkwił najistotniejszy pierwiastek cywilizacji zachodniej: genjusz czekania. We dworze tym nie można się było niepokoić, trzeba się było uspokajać. Zbudowany w 1763-im przetrwał rok 1812, 1831, 1863-ci.

Ze dworu tego wychodzili ludzie, ginęli, rozpraszali się. Ale on trwał. Malał, kurczył przestrzeń, ale się nie zadłużał i trwał. Zmieniał pokolenia i zwiększał objętość drzew i wciąż strzegł dróg i przepraw rzeki Berezyny.

Pogodny humor, słodycz i harmonja pannały niepodzielnie w domu profesorstwa. Zjeżdżano się tam zewsząd dla leków mózgu, wiary i nerwów. Stryjaszek Henryk przewidywał, a profesor wiedział. Wiedział, że każda stara rzeczywistość musi ustąpić miejsca nowej. A ponieważ polska rzeczywistość była najgorsza z istniejących, więc mogła się zmienić tylko na lepsze. Wolność widział w uwłasnowolnieniu ludów; bez operacji wojny, pod chloroformem pokoju. Stary powstaniec czcił teoretycznie twórczość siły, przemocy, brutalności; czekał, jak zbawienia, mickiewiczowskiej Wojny Powszechnej i bał się dla pokoleń idących waty kultury, która otula ludzi, jak lalki, Spartanów zmienia w Ateńczyków.

KARNAWAŁ I POLITYKA.

Po powrocie z wakacyj świątecznych, młody „Abisyńczyk” zastał oczywiście karnawał w całej pełni rozkwitu. W pierwszą sobotę wypadł wieczorek szkolny u p. Skoworodnikowej, właścicielki prywatnej pensji żeńskiej, napół polskiej, wobec napływu Polek, bojkotujących zakłady rządowe. Pensja cieszyła się powszechną sympatją matek,

niewiele bowiem uczyła matematyki i wcześniej wydawała panny zamąż, ujmując mamusiom kłopotu, a panienkom zemdleń maturalnych.

Na wieczorkach pensyjnych o ustalonej tradycji, uczenice fundowały muzykę, światło i listy chłopców, przełożona — surową kontrolę list i słodycze à discretion. Zaszczyt znalezienia się na liście przysługiwał tylko dobrym tancerzom, zaszczyt skreślenia z listy tylko donjuanom - aspołecznikom, à la Jaś Zaniewski vel „złota paczka“ — „kompści“.

Nie będąc członkiem rzeczywistym ani tu, ani tam, Jurek Lipski posiadał jednak przywilej zaprosin dożywotnich, z tytułu posiadania aż sześciu kuzynek w szanownem ognisku wiedzy. Cieszył się więc wraz z wielu innymi na kredyt czterodniowy, jaki dzielił ich od wieczorku, kiedy nagle, jak grom, padła wiadomość: „Związek Narodowy uchwalił bojkot wieczorków rosyjskich“.

— Co, co, co?! — zapytywały strwożone panienki, teraz dopiero zainteresowane naprawdę życiem politycznem rodzinnego miasta. Bardziej fanatyczni bratniacy, tacy, co to radziby przy każdej sposobności przypiąć łątkę narodowcom, opowiadali, że prezes Popow nie dostał zaproszenia i stąd gniew na Olimpię. Oczywiście były to plotki, albowiem komunikat oficjalny brzmiał: „ze względu na ewentualną możliwość niebezpiecznych skłonności sercowych, a co za tem idzie i małżeństw mieszanych, pomiędzy osobami różnych narodowości, pełny troski o dobro Narodu, Związek uchwała, że“...

— Idjotyczna uchwała — ciskał się Jaś Zaniewski. — Parlament dzieci! Osły! Wotują, jak w Izbie Gmin!

— Zawsze mówiłem — perorował Eryk w stadku swoich wielbicielek — że Julek Popow nie ma najmniejszego pojęcia o tem, jak się zawiera znajomości z kobietami. Jeżeli pragnę flirtować z Rosjanką, to pocóż mi, u licha, jest potrzebny wieczorek szkolny? Ze zrozumiałych względów nie chcę wchodzić w bliższe szczegóły tego, co powiedziałem. Sądzę jednak, że pan prezes Związku, który jest już podobno w 7-ej klasie, powinien i sam coś o tem wiedzieć“.

Marjan Likowicz, poeta i najlepszy znawca kobietologii u społeczników, nie godził się z wywodami Eryka.

— Mówiłem ci już dawno, że nie wyczuwasz całej niebezpiecznej atmosfery wieczorkowej. Pomyśl tylko! Muzyka gra. Światła moc! Orkiestra łupi jakiegoś walczyka. Ściskasz jakieś urocze dziewczątko. Ona ciebie. Pomyśl, czyż nie grozi ci niebezpieczeństwo?

Jurek przyznawał w duchu słuszość Likowiczowi. Oczywiście, uchwała Związku nie była niezbędną dla istot tak opanowanych i sarkastycznych jak Eryk, lekkomyślnych jak Zbiś i umiających sobie dawać radę w sytuacjach niebezpiecznych, jak Jaś Zaniewski. Ale on i Likowicz z „podsekcji miękko-sercych” (aforyzm Eryka)?!...”

W ostatniej chwili jednak najniespodziewaniej

w świecie poszedł na wieczorek, tłumacząc się w duchu, że jest to wieczorek prawie polski. W gruncie rzeczy uległ Lili, która podzielała w zupełności poglądy brata na uchwałę wieczorową. („Będziesz tam słuchał jakiegoś smarkacza? Sam co miesiąc bałamuci inną Rosjankę, a wam zabrania tańczyć z niemi walczyka! Hipokryta! Nie znoszę go!”) — Sprawiedliwość nie leżała nigdy w jej charakterze.

Na wieczorku bawił się wspaniale, topiąc wyrzuty sumienia w pączkach i walczyku. Już był pewien, że mu uszło na sucho, kiedy razu pewnego znalazł na gramatyce łacińskiej, oddawna już nieotwieranej, list treści następującej:

Szanowny Kolego!

„Wobec stwierdzonej przez Zarząd Związku obecności Sz. Kolegi na wieczorku szkolnym p. Skoworodnikowej, co jest sprzeczne z uchwałą z dn. 11.I — 1912-go, Zarząd uchwalił zawieszenie Sz. Kolegi w czynnościach członka Związku aż do sesji nadzwyczajnej Zarządu w dn. 25.I — 1912. Obecność Sz. Kolegi niezbędna w celu wytłumaczenia się ze swego dziwnego postępowania”.

Prezes J. Popow.

Sekretarz (nieczytelny — pewnie Zula).

— Ładna historia — pomyślał zmartwiony przestępca. — Popow jest rygorysta wielki i gotów jest wylać mię z Związku, jak nic.

Właściwie takie wylanie umocniłoby tylko

jego stanowisko w Bratniaku, zachwiane dość rzadko spotykaną w jego świątku przynależnością i tam, i tu. Odebranoby mu jednak Podsekcję Ludową, w którą włożył wiele pracy i przywiązania. Było mu żal rozstawać się „z kociętami ludzkimi”, jak mawiał jego pomocnik Stefanowski, „zbieranemi prosto z rynsztoku do koszyczka organizacji”, i poszedł do Antka Niecieckiego.

Kulisy obu stowarzyszeń podnosiły zgodnie dobre serce wiceprezesa Antka, specjalisty od ubezpieczania brzydkich pańienek na wypadek nietańczenia. Istotnie wiceprezes wysłuchał go ze współczuciem i przyrzekł mu swoje całkowite poparcie. — Pupik lubi czasami udawać Katona. Ale już ja mu przypomnę jego Wierę. Bądźcie spokojni. Przy mojej protekcji wszystko da się zrobić.

Tymczasem w świątku organizacyjnym wrzało jak w ulu. „Napreżone chronicznie stosunki pomiędzy obu organizacjami — pisał poeta Likowicz w wydawanem i czytaniem przez siebie czasopiśmie nielegalnem p. t. „Nasz Świat” — dosięgły szczytu. Bratniacy zarzucili narodowcom szowinizm, nietolerancję, obskurantyzm. Narodowcy wyrzekali, że arystokracja nie dbała nigdy o interes Polski, a już konduita paniczków z „Bratniej Miłości” jest powszechnie znana”.

Omali nie doszło nawet do pojedynku pomiędzy Erykiem i Popowem. Najbardziej cierpiał nad tem Jurek Lipski, który, ze swoim twórczem usposobieniem, ale i słabym charakterem, nie mógł się

zdecydować na wybór jednej z walczących organizacyj. Pracując więc za dwóch, był związkowcem w Bratniaku i bratniakiem w Związku, obrywał teraz i tam, i tu.

Jurek Lipski truchlał więc, idąc „na Zarząd”, który miał być dla niego jednocześnie zarządem i sądem. Przyjęto go jednak dość kordjalnie. Zwłaszcza przemiała sekretarka, Zula, starała mu się wynagrodzić po siostrzanemu chłód urzędowy, wiejący od prezesa Julka. Po inspirowanem przemówieniu okolicznościowym Antka Niecieckiego, podnoszącym jego zasługi dla Związku, wyproszono delinkwenta za drzwi, albowiem miała się rozpocząć jego sprawa. Drzwi były niedomknięte i winowajca słyszał wybornie „gorzkie” i „słodkie”.

— Ależ bój się Boga, Julek! Toż dziecko prawie, 6-ta klasa.

— To nic! Trzeba uczyć ludzi karności. I ja byłem kiedyś w 6-ej.

Głos Zuli: — On tak dobrze pracuje. Prezes: — wszyscy pracujemy; Lipski ma słaby charakter. — Antek: — A Twoja Wiera? — Głupi jesteś! Co ma Wiera do wieczorków. Zresztą, proszę cię raz na zawsze, nie powtarzaj plotek przy p. Zuli... Po godzinie cenzurowanego prezesa Julek wytknął głowę przez drzwi, zawołał ostro „Lipski” i przeczytał, co następuje:

... „Stojąc w dalszym ciągu konsekwentnie i stanowczo na stanowisku konieczności jak najzupełniejszej izolacji życia polskiego od życia rosyj-

skiego i potępiając w dalszym ciągu tych, którzy się do uchwał bojkotowych nie stosują, Zarząd przypomina ponownie swoim członkom o istnieniu sankcji karnej natychmiastowego wydalenia w myśl uchwały z dn. 11.I — 1912.

Ponieważ jednak znajomości z młodemi Rosjankami mogą być zawierane i poza salą balową, co jednak dotychczas nie zdarzało się w życiu kolegi-oskarżonego, oraz ze względu na indywidualne okoliczności łagodzące (wiek i klasa 6-ta), Zarząd zawiesza kol. Lipskiego li tylko na przeciąg jednego miesiąca, z pozostawieniem mu Podsekcji Ludowej”.

Delinkwent odetchnął z ulgą.

Protekcja wiceprezesa zwyciężyła.

ATMOSFERA PRZEDWYBORCZA.

Zima minęła i nadeszła wiosna: pora miłości, egzaminów i wyborów. I „młodzież zorganizowana” rozpadła się na trzy odpowiednie grupy: kowali, amantów, np. poeta Likowicz, któremu nie wypadało poprostu nie kochać się na wiosnę, i wyborców.

Zajmiemy się trzecią grupą.

Do chwalebnych tradycji stowarzyszenia Bratniej Pomocy należał odwieczny zwyczaj usuwania prezesów na rok przed maturą. Ponieważ prezes Krupski należał do szczęśliwców nie tylko na forum publicum, ale i w klasie, maturalne votum nieufności było w tym wypadku nieuniknione.

Kandydatury dzieliły się na poważne i niepoważne. Do poważnych zaliczano zwykle kandydata „mężczyzn“, kandydata „kobiet“, protegowanego prezesa - maturzysty, wreszcie kreaturę „mafji związkowej“, która od szeregu lat usiłowała opanować bezpartyjny teren filantropijnej Bratniej Pomocy. Jeżeli kilka z tych grup łączyło się pomiędzy sobą, wówczas wypływały zazwyczaj tylko dwa nazwiska. Tak się też stało i teraz. Na jakiś tydzień przed wyborami ustaliły się dwie poważne kandydatury: Eryka i Jerzego.

Jerzy o swoim szczęściu dowiedział się dopiero od Lili, u której wogóle był teraz w łaskach, od czasu, kiedy Eryk zakochał się „na śmierć“ w jakiejś pięknej Gruzince. Gdyby niebo otwarło się przed „Abisyńczykiem“ i Lili (albo Zula, bo co do tego, to już zaczynał nie wiedzieć która) ukazała się tam w roli Beatrix; gdyby sam „pocziwy, choć ruski“ dyrek przysłał mu maturę w liście poleconym — jeszcze radość jego nie byłaby większa. Bąknął tylko — „ależ moja 6-a klasa“ — i unilkł wniebowzięty przez wiadomość, o której mu się ani śniło.

— Twoja 6-a klasa jest istotnie poważną przeszkodą, bo twój kontrkandydat, Eryk, jest w 7-ej, ale niebądźże taki skromny, bo cię nie wybiorą — powiedziała Lili. — Kandydat musi umieć imponować, a ty masz przecie tyle danych. Jesteś pracowity, sumienny, poważny, a, co najważniejsza, twój tryb życia jest bez zarzutu. — Poczem ładna

hienka wyborcza zaczęła odsłaniać przed nim zakulisowe strony kampanji przedwyborczej.

— Musimy zaraz trzeźwo i realnie obliczyć twoje szanse. Oczywiście, cały twój sławetny „Związek“ stoi, jak mur, za tobą, chociaż chcieli cię niedawno wylać za obecność na wieczorku Skoworodnikowej. Nic dziwnego zresztą, bo chcą mieć wpływy na Bratniaka, licząc na twój miękki i wpływowy charakter. Wczoraj Julek zwierzył mi się, że tańczy z najbrzydszemi bratniaczkami na intencję naszego „Abisyńczyka“. Konradowski mobilizuje swoich przyjaciół, Zula—koleżanki. W gruncie rzeczy jednak wszystko zależy od naszego prezesa (flirtowałam z nim wczoraj, ale nie wiem, czy to co pomoże). Jeżeli ten Hamlet przechyli się na stronę Eryka, to niema dla ciebie ratunku, bo w tym wypadku tylko moja jedna klasa 7-a będzie za tobą głosowała. Reszta tych głupich gęsi głosuje zawsze tak, jak prezes.

Okazało się jednak, że obawy te były niesłuszne. W kilka dni po ostatecznym „terminie dla powzięcia decyzji“, Hamlet Bratniej Pomocy przechylił się na „abisyńską“ stronę. Tekst orędzia urzędowego brzmiał: „Jakkolwiek niewątpliwie obaj kandydaci posiadają zalety równorzędne, jednakże ze względów zarówno merytorycznych, jak i formalnych, Zarząd postanawia, że ... — Nieurzędowo prezes miał zwierzyć się komuś, iż wprawdzie ten jest niemożliwy, ale tamten jest jeszcze niemożliwszy, obiecuje poprawę, ale tylko na okres przedwyborczy.

Oczywiście, podobne posunięcie ex officio wywołało wielką konsternację w obozie Eryka. Sam Eryk, któremu dotychczas ambicja kandydacka nakazywała posługiwać się „kompścią“, Likowiczem i t. d., zstąpił z Olimpu i zaczął działać.

— Każdy jest dobry, ale na swoim miejscu — mówił odniechceni w saloniku Lili, która z perfidją, właściwą niewiastom, ukrywała swój aktywizm pro-kuzynowski, ażeby być au courant planów przeciwnika. — Osobiście nie mam nic przeciwko Jerzemu (a nawet bardzo go lubię), ale to nie jest materiał na prezesa. Prezes musi się dobrze zaprezentować, ładnie ubrać! Czyż nasz Jurek to potrafi? Wątpię!“...

W godzinę po ulotnieniu się Eryka, zjawiał się kontrkandydat i z pomocą gospodyni rozwijał na świeżych tropach przeciwnika plan reform naprawczo-bratniackich. Należy porzucić przestarzały pogląd, jakoby Bratnia Pomoc była tylko maszyną do płacenia wpisów za niezamożnych! Pogłębić sekcję, poprzeć ruch skautowy i sokoli! Zwiększyć ilościowo Podsekcje Robotnicze. Nawiązać jak najściślejszy kontakt z prowincją, organizując Bratniaki w Borysowie, Bobrujsku, Nieświeżu, Klecku... ot i mamy cały program walki z marazmem, jaki panuje w stowarzyszeniu dzięki maturze prezesa Konrada.

Po paru tygodniach zmagają się dwóch prądów, kiedy nie można było jeszcze przewidzieć właściwie rezultatu wyborów, jedna okoliczność stała

się jasną: wszyscy koledzy (z wyjątkiem „kompści”) znaleźli się w obozie „Abisyńczyka“, wszystkie koleżanki stały, jak mur, po Erykowej stronie.

— Rozumie się — szeptały panienki, zbite w konspiracyjne gromadki na korytarzach szkolnych — że prezes musi być elegancki. Jeżeli pójdzie kwestować na wpisy, albo reprezentować na balu, to musi przecież wyglądać po ludzku. Jeszcze ktoś gotów pomyśleć, że sam na siebie zbiera“.

— Lipski ma dużo inicjatywy i ożywi przynajmniej Bratniak — twierdzili mężczyźni, podając sobie z ust do ust szczegóły „abisyńskiego“ programu naprawy Rzeczypospolitej Bratniackiej. — A ten paniczek Eryk nawet ręki przyzwoicie podać nie umie. Jak się z kim wita, to mu daje dwa palce.

Urok Eryka w świecie niewieścim był tak wielki, że nawet sama Lili, pomimo gorącej chęci posiadania prezesa w rodzie, zachwiała się zlekka. To też, idąc w swoim dniu historycznym na zebranie walne, Jerzy pełen był przeczuć jak najgorszych. Pocieszył go trochę spotkany na schodach Marjanek Likowicz, który nachylił się ku niemu i szepnął uroczyście: — Po całonocnej walce z sumieniem, przechyliłem się na twoją stronę. On?! Przyjaźń?! Ha! Trudno! Upadliśmy moralnie, po całych nocach gramy w bridge'a! Jesteś porządny chłopak! Rządź!“ — Kochany Marjan mówił czasem tak, jakby był bohaterem własnoręcznie napisanego dramatu.

Weszli razem na salę, co wywołało niemałą sensację wśród publiczności (jako, więc to już i „kompść“ za Lipskim?). Spojrzenia wyborców spoczęły z szacunkiem na szczęśliwcu, który zdawał się wygrywać ostatni atut swego przeciwnika. „Szczęśliwiec“ byłby bardzo wdzięczny podłodze za ugięcie się, ale, że nic się nie ugięło, wcisnął się w jakiś kącik i zaczął obserwować.

Duży salon p. Werezyny jest już prawie zapelniony. Chociaż wybory za godzinę, ale agitacja nie ustaje. Wśród koleżanek uwija się Zula. Lilka flirtuje z „kompścią“. Julek Popow też kogoś nawraca.

Niektóre szczegóły tego nawracania dochodzą uszu kandydackich, rozczzerwieniając je na dobre. — No cóż tam, szanowny kolego, wieczorek, wieczorek u Skoworodnikowej! Każdy człowiek ma w życiu prawo do jednego grzechu, ale...

Więcej Lipski nic już nie słyszał, gdyż dalsze szczegóły agitacji przedwyborczej tonąć zaczynają w hałasie powitań. Wchodzą na salę „grube ryby“ t. j. członkowie honorowi. P. Wańkowski, prezes Sokoła, p. Malinowska, p. Radecki, młody i energiczny działacz, ostatnia gwiazda na horyzoncie starszego pokolenia, wreszcie założyciel Bratniaka przed 20 laty, p. doktor Góra.

Wkrótce wszyscy byli, tylko prezesa Krupskiego jak niema, tak niema. Mija kwadrans, pół godziny. Są wszyscy ci, którzy są niepotrzebni. Niema tylko spiritus movens. Już członkowie

honorowi poczynają z niepokojem oglądać zegarki, a zdenerwowany Eryk robi złośliwą uwagę — że przecież u licha prezes nie mógł wpaść pod konny tramwaj miński — kiedy na szczęście drzwi się otwierają i zadyszany dygnitarz sztuby bieży drobnymi krokami przez salę ku prezydium. Żywiołowe „ach” wydobywa się ze wszystkich piersi.

Po krótkim oratio sprawozdawczem ustępującego prezesa Bratniaka, krótkim nie naskutek wrodzonej zwięzłości, ale spóźnienia, miał zabrać głos jeden z członków honorowych. Było to przed samymi wyborami nowego prezesa i zarządu. Każdy wiedział, że to jest podziękowanie za zaszczyt zaprosin, i ziewnął, kiedy nagle Eryk wstał i poprosił o głos. Zebrani wstrzymali dech w piersiach, „Abisyńczyk” zaś zbladł jak ściana, wszyscy bowiem oczekiwali, że nastąpi jakaś nieoczekiwana rewelacja o osobie kontrkandydata („może nawet wieczorek u Skoworodnikowej”)... A Eryk tymczasem powiedział prosto, tym swoim dźwięcznym i szlachetnym tonem głosu, którym mówił, ilekroć go coś mocno przejęło.

— Proponuję wybór kol. Lipskiego na prezesa Bratniej Pomocy przez aklamację.

ECHA MIODOWEGO MIESIĄCA.

I znów jeszcze jedna wiosna miłosno-wyborczo-maturalna. Wiele zmian we wszystkich trzech dziedzinach.

Zacznijmy od ostatniej. Prezes Popow — dwa tygodnie do matury (Konradowski i nareszcie Jaś Zaniewski też). Dwaj rywale, Eryk i Jerzy, obaj już w klasie 8-ej. Właśnie tydzień temu „Abisyńczyk” dokonał tradycyjnego obrzędu przelania w ręce kolegi o klasę niżej całej pełni władzy bratniackiej. Sam jest już starym „fajtłapą”, weteranem stowarzyszenia, kiedy „młody i energiczny” Janek Malinowski inicjuje... chce pchać stary Bratniak na nowe tory. Tyłu już pchało, a no i jemu szczęść Boże!

Lili, urocza królowa sztuby na rok Pański 1911 i hiena wyborcza kuzynka-adoratora, skończyła pensję i wyjechała do Petersburga na „Kursa Wyższe”. Prawdopodobnie jest senatorką w senacie „Parlamentu Dzieci”, jak Jaś zowie organizacje młodzieży uniwersyteckiej — i „wychodzi podobno zamąż”...

* * *

Pewnego majowego wieczoru, na parę godzin przed zwołaniem przez Malinowskiego wiosennem „Zebraniem Walnem” T-wa Bratniej Pomocy, Jurek Lipski ruszył do parku miejskiego, broń Boże nie w tym celu, ażeby się wałęsać, ale poto, aby się godnie przygotować do pożegnalnego przemówienia. Wycofuje się przecież „z życia organizacyjnego”, bo trzeba jakoś zdać „maturę”. Tem samym więc żegna już i życie szkolne raz na zawsze.

Park był w całym przepychu młodej wiosny, wtłoczonej sztucznie pomiędzy drzewa i kamień

kwartałów miejskich, które otaczały go zewsząd. Trawa w tym roku była nadmiernie bujna, gęsta, wysoka, bo deszcze padały niedawno i było ciepło. Ogromne drzewo czeremchy z dolnemi gałęziami, obłamanemi przez amantów, siało cudowny aromat. Żółte jeziorka kaczęńców tuliły się do wielkich starych drzew. Sady przyległe świeciły od białych wisien, wśród nierozkwitłych jeszcze jabłoni i grusz.

Trzeba się jednak przygotować do przemówienia, myśli eks-prezes... ale jakoś nie czuje potrzebnych myśli pod ręką... po raz pierwszy w życiu „Parlament Dzieci” zaczynał mu ciążyć, strasznie ciążyć.

Czemu?

Formalnych podstaw niema żadnych. Praca ich idzie świetnie. Stowarzyszenia rozrosły się do wymiarów prawdziwej sieci powszechno-tajnego nauczania, objęły wszystkie uczelnie w Mińsku, przerzuciły się na wszystkie niemal miasteczka na prowincji (poeta Likowicz nazywał to „podbojem Galji”). Wszędzie tam, gdzie oficjalne sfery rosyjskie miały nadzieję zruszczenia młodzieży, działały doskonale funkcjonujące gniazda termitów, kamery dezynfekcyjne do odruszczania.

Jest w tem wszystkim i jego własna cząstka. Niewielka, ale dobrze, że jest. Kiedyś, spodziewano się, i sam się spodziewał, że będzie więcej... Przypomina to sobie z humorem.

Tak, tak, dobre to były czasy, ten jego miodowy miesiąc z prezesurą w Bratniaku.

Wyborcy wciąż coś o nim plotkowali, a wyborczynie uczyły go tańczyć i flirtować, dokuczając mu Zulą i Lilą. Wzamian za to powinien był stworzyć w Bratniaku coś, czego jeszcze świat nie widział (...„wybrany przez aklamację”).

Tymczasem Lipski dodał tylko kilka podsekcji do ośmiu już istniejących, uporządkował „Sekcję Literacką” (futboliści sami się z niej usunęli) i zasadził kilka flanców na prowincji. No, i cóż to wielkiego? E... — szepnęli rozczarowani wyborcy — akurat taki sam fajtlapa, jak i ten były, nie warto się nim interesować.

I skończył się miesiąc miodowy, a rozpoczął się szary rok pracy. Życie organizacyjne szło jak dobrze naoliwiona maszyna. Przeszczepiony dopiero co z Krakowa flanc skauci rósł jak na tomasówce. W ostatnich miesiącach termity rzuciły się na zaścianki. Były już wszędzie, gdzie były „katoliki“, mnożąc się z króliczą szybkością.

— Ale gdzie ja tu jestem — myślał Lipski? — Dlaczego „to“ wszystko idzie, zmienia się, rozpada w świecie, który jest napozór taki „niezmienny, senny“, jak mówi Likowicz. Czuł się już poza tem życiem, które tworzył tak niedawno, pomiędzy starem, którego już nie było, i nowem, które jeszcze nie przyszło.

Nawet „Podsekcja Ludowa“ wyemancypowała się z pod wpływu starego mistrza. Pomijając to, że było już ich cztery, w tem trzy prowadzone przez młodych według własnego widzimisie, ale i na tej

jednej macierzystej czuje się coraz mniej potrzebny. Wśród starej gwardji obudził się też egoizm organizacyjny i niósł własne aspiracje, ambicje i cele. Niepotrzebne są już tam wykłady o Kazimierzu Jagiellończyku. Taki n. p. Marcinkiewicz idzie do szkoły marynarskiej w Rydze, ażeby „być później dobrym marynarzem polskim“, też wilk morski z Ratówki! Śmieszny chłopak.

Tak, tak! Widział niemal, jak z każdym dniem coraz większy cień pada na niego od strony jego własnych „byłych dzieci”. Rozkosz, płynąca z poczucia zwycięstwa idei, łączyła się z lekką goryczą zbędności i osamotnienia. Bo tylko dzieci żyją w gromadzie. Ojcowie zawsze są samotni.

Wracając z parku, spotkał Eryka, który szedł w jakimś dowolnym, bynajmniej nie zebraniowym kierunku. Zagarnięty przez eks-prezesa, dość niechętnie zmienił kierunek marszruty.

— Nie idziesz na zebranie? — zdziwił się eks-prezes Lipski.

— A poco?

Ortodoks parlamentu Bratniej Pomocy osłupiał na sekundę, usłyszawszy taką herezję (i to mówi były wice-prezes!).

— Jako poco? A pocóż chodziłeś dawniej?

— Byłem takim samym dudkiem, jak ty.

— Dajże spokój! Znów zaczynasz!

— To wy mi dajcie spokój — wybuchnął, zupełnie nieoczekiwanie, eks-wiceprezes Bratniaka — pozwólcie mi nareszcie być młodym! Nie

mogę się nigdzie ruszyć, ażeby jakiś zwarjowany społecznik nie ciągnął za połę i o każdej porze dnia i nocy nie mówił mi: „Eryk, chodź“. Cztery lata pracowałem z wami w koszarach psychicznych. Dajcież mi urlop, choć na maj.

— Ach, mogę ci dać i na czerwiec — burknął obrażony Jerzy.

Eryk ochłonął.

— Nie obrażaj się, mój drogi, tylko mi raz daj święty spokój z Każkiem, Staśkiem, Jankiem i wszelkimi ich zbiórkami. Przyrzekam ci raz na zawsze być porządnym człowiekiem. Będę płacił wszystkie składki i podatki. W 25-ym roku życia dam się wybrać na prezesa Sokoła. Jeżeli będzie powstanie, pójdę do powstania! Jeżeli będzie wojna, pójdę na wojnę. Tylko mi nie każcie wierzyć przymusowo, że skauci Kazia Malkiewicza to najlepszy środek na gwardję pruską, a Julek Popow — na cara i Rosję. I nie każcież mi pisać na szklance, na talerzu, na poduszce: Polak! Polak! Polak! Ja chcę o tem zapomnieć, chcę o tem chociaż raz w życiu zapomnieć. Nie dlatego, broń Boże, ażeby nałożyć na siebie nową markę pseudo-kosmopolity, ale poto poprostu, ażeby chociaż raz w życiu, mając lat osiemnaście, poczuć się jestestwem, indywiduum, zwierzęciem w porze rui, a nie zebrań moralnych. Adieu!

Eryk ulotnił się, eks-prezes mógł więc przędszym krokiem podążać na zebranie. Przyszedł na parę minut zaledwie przed otwarciem, w chwili,

kiedy prezes Janek grzebał gorączkowo w papierach, poszukując najwidoczniej jakiegoś ważnego dokumentu do sprawozdania. „Aha, ma za swoje“, pomyślał złośliwie stary prezes, zagłębiając się w fotelu obserwatora, ze słodką rozkoszą nieodpowiedzialności. Wkrótce odezwał się sakramentalny dzwonek przewodniczącego, uczucie ulgi wydobyło się z piersi nieopatrznie punktualnych i po krótkim oratio ex officio rozpoczęły się przemówienia powitalne. Pierwszy zabrał głos pan doktor Góra, założyciel (lat temu 20) t-wa Bratniej Pomocy.

— Szanowni i drodzy koledzy! Jestem niewymownie szczęśliwy, że w ten, a nie inny sposób mam zaszczyt powitać Was. Słowo to: „koledzy“ jest dla mnie najdroższem i najświętszem słowem świata! Oznacza ono unję serc, idącą poprzez różnicę lat! Stwierdza odwieczne prawo natury, iż ostatni miesiąc zimy graniczy zawsze z wiosną. O tej zimie słyszeliście już tyle opowiadań, tyle westchnień i tyle sentymentów! Spowija te czasy całun fałszu, otacza je kłamstwo smutku. Ale spójrzcie tylko na te gałązki, zwisające za oknem! Jeszcze kilka tygodni temu były bezlistne. A żyło w nich jednak coś, co było kapitałem ich wiosny. Ta sama siła działała wśród nas.

Wiem, że wielu z pośród was nazywa nas pogardliwie „pokoleniem ugody“! Życie pokoleń jest rytmiczne! Wy jesteście rokiem 63! Reakcją powstańców przeciwko czasom po-powstańcym!

Łączycie się z dziadami, przeciwko ojcom! Przeciwno „starym“ szukacie pomocy u najstarszych! Nie wiem jednak, czy zdajecie sobie sprawę z pochodzenia waszego kapitału wiosny, źródła energii, która gra w was?!

Nam nie było dano, tak jak wam, korzystać z osłabienia zaborców po roku 1905. Nie mieliśmy, tak jak wy, półwolności i półprześladowań. Nasze dzieciństwo było przytłoczone echem klęski. Nasza młodość torturą przystosowań się do karczowiska po tym wspaniałym lesie, który padł, aż na Sybir. Cisza tajgi panowała nietylko na pobojowiskach. A jednak postanowiliśmy przerwać ją.

Jedni, jak ja i moi najbliżsi koledzy, zeszli do katakumb filareckich, wymarłych, zlanych krwią, zduszonych w kazamatach. Inni siali łubin i kupowali żniwiarki Deeringa, ażeby móc utrzymać się przy ziemi. Im bodaj-że zawdzięczacie więcej, niż nam. My byliśmy dozorem przy zalanych kopalniach, oni tworzyli wasz kapitał inwestycyjny.

Oczywiście, nas wszystkich, tak, jak i Was, nachodziły niekiedy chwile zwątpień! Ilekroć widzę mapę półkuli wschodniej, tyle razy ogarnia mię strach! Świat jest taki wielki! Rosja i Niemcy są tak ogromne! Ażeby wierzyć bez chwili słabości, potrzebaby zapomnieć o mapie, na której półwysep Europy łączy się z niezmiernym lądem Azji!

Wówczas przychodzi mi jednak na pomoc nietylko moja wiara, która każe mi wierzyć! Na

pomoc przychodzi Historia! Europa jest dziś inną, aniżeli w czasach naszej młodości. Cisza cmentarna polityki i huk maszyn fabrycznych nie będą wam już powtarzały łasciate ogni speranza. Wulkany polityczne obudziły się z półwiekowej drzemki! Jakieś szmery podziemne, jakieś wstrząsy utajone rodzą się tam, gdzie zdawał się panować pokój wieczny. Dom niewoli rozdzielił się i stanął przeciwko sobie.

Czy jesteście przygotowani do wyzyskania konjunktur?

Biorę z waszego sprawozdania kilka cyfr. Biblioteka waszego Towarzystwa liczy 2.000 dzieł. Kiedyśmy ją zakładali miała 15 ksiązek, przenoszonych pod uczniowskimi bluzami. Nie jest-że to symbol zwycięstwa, ów pochód cyfr od 15 do 2.000? Mniejsza z tem, że to taka malutka cyfra zwycięstwa — w tak ogromnym bilansie klęski!!! Może później potoczy się wał cyfr dla innych dziedzin życia?!. Może skauting stanie się wojskiem, a sekcje — szkołą!!. Ale już i dziś jesteście państwkiem, moje dzieci! Państwkiem, ziarenkiem Państwa!.. dla tych, którzy wierzą i widzą!

M A T U R A .

— Prawda, przecież to „dziecko szczęścia”, Julek Popow, kończy o rok wcześniej ode mnie — westchnął z zazdrością eks-prezes Jerzy, odcyfrowując z trudnością bazgroty eks-prezesa Julka.

„Do J. W. Herszta Sztuby

od grona Akademików

Z A P R O S Z E N I E

Dnia 7.VI.-1913 pięć Kontynentów, oba Bieguny i pewien gapa, de nomine Jerzy Lipski, mają zaszczyt do wiedzieć się, że:

1) Juljusz Popow, 2) Jan Zaniewski i 3) Konradowski vel „Konrad“ w dniu dzisiejszym dostali matury p. s. 1-e.

Nietylko z ukończenia Związku Narodowego, Bratniej Pomocy, Skautingu, Sokota i t. d., ale i sztuby. p. s. 2-e.

Janek z zadowoleniem, „Konrad“ z ukontentowaniem, Julek z medalem.

W rezultacie powyższego zbiegu szczęśliwych okoliczności pewien fajttapa, nazwiskiem Lipski, dziwnym, a nieszczęśliwym trafem obrany ongi omyłkowo przez zespół niefortunnych nieporozumień na prezesa Bratniej Niemocy, jest zawiadomiony urzędowo, iż dnia 8-go czerwca roku szczęsnego 1900-któregoś o godzinie 8-ej wieczorem prawdopodobnie odbędzie się u Julka wielka pijatyka ku uczczeniu dnia radości.

Joannus, Cesar, Konradus!"

Odrobił na intencję swego własnego dnia radości parę zadań matematycznych, udzielił w przedpokoju kilka porad organizacyjno-agitacyjnych „młodym“ i ruszył na ucztę maturalną.

Całe towarzystwo świeżo upieczonych matu-
rzystów siedziało już przy stole w humorach, pro-
porcjonalnych do ilości wypróżnionych butelek.
Zaintonowano natychmiast na cześć przybyłego
„Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam“, jako że
nie wypadało witać sztubaka „Gaudeamus igitur”.
Zaledwie się gdzieś usadowił, nalano mu ogromny
kieliszek wiśniówki, potem żubrówki, potem any-
żówki, potem jeszcze jakiejś „ówki”... W rezulta-
cie cały świat doczesny zawirował przed oczyma
nieszczęśliwego gościa, w uszach poczęło mu
dzwonić i ziemia ugięła się pod nim jak podłoga
sokolska pod Zbisiem w mazurze.

— Patrzcie no, ludzie, toż ten sztubak już pi-
jany — zdziwił się Jasiek, dla którego takie „na-
parstki“ mogły stanowić tylko „wstęp do wstępu“.—
No, Julek, dolej-że mu za karę jeszcze.

— Nie, nie, nie... — bronił się rozpaczliwie
„Abisyńczyk“ od dalszych „naparstków“.

— Co za „nie“?! Cóżto za „nie“?! — wrzeszczał
Zaniewski. — Nie bój się, bracie! Jak kto takiego
dygnitarza, jak ty, spotka w takim stanie, to go
wyleje odrazu... I z budy cię wyleją, i z Bratniaka.
No, Julek, wal mu tego różowego! Niechże ten
świętoszek znajdzie się chociaż raz po tamtej stro-
nie nieskończoności.

— Nie, nie, nie!!! — bronił się coraz rozpacz-
liwiej gość, zakrywając dłonią swój „naparstek“,
ale niewiele to pomogło. Konradowski ściągnął mu
wtył ręce, a gospodarz nalał likieru.

— Wstydź się! I to mężczyzna! Jasiiek, nalej-że mu pomarańczówki. Zdaje się, że kolor dobry.

Po tym ostatnim kolorze świadomość nie-szczęśliwej ofiary cudzych powodzeń maturalnych była już o sto mil od tego stołu. Dziwna cisza spłynęła na „Abisyńczyka”. Głosy rozmawiających dochodziły go, jak z czwartego, czy piątego pokoju.

— A swoją drogą, wiesz Julek, że szkoda mi trochę budy — odezwał się czyjś głos (zdaje się, że Zaniewskiego)... — patrzcie, patrzcie!! Lipa zasnął! Lipa, pijaczysko stare, obudź-że się!

— Co? rosyjskiej?! — odpowiedział ze zgorszeniem głos drugi, po paru minutach pauzy (zdaje się, że to był głos Julka Popowa).

— Czegoż się rzucasz, jak sardynka w oliwie — huknął potężny bas Jasiowy. — Rozumie się, że szkoda budy, nie dla budy, ale dla Związku, dla Bratniaka, dla Zuli! Czy ja wiem dlaczego? Może dla Eryka i waszych kłótni z nim?! Ot, szkoda i koniec!

Julek kiwał miarowo głową, co jednak oznaczało nietyle aprobatę, ile raczej nieuzdolnienie do repliki.

— Czegoż ty się kiwasz, Popow, jak Żyd na szabasie. No, spójrzcież tylko, Konradowski i „Abisyńczyk!” Czy on nie kiwa się, jak Żyd na szabasie? Ach, prawda, zapomniałem, że wy już nic nie rozumiecie, co się do was mówi... więc powiem ci, Julek, że sztuba i uniwerek, to dwie wielkie róż-

nice. W sztubie człowiek lata, a w uniwersytecie lazi... jeszcze pierwszy roczek, dwa, to się podfruwają, a potem... żonka... karierka... i koniec.

— Nie wyobrażam sobie siebie w charakterze karierowicza w szlafroku.

— Ale zato ja ciebie doskonale sobie wyobrażam — burknął Jasiek. — Siedzisz, panie inżynierze, przed kominkiem, czytasz sobie „Kurjerka“, a żonka pierze, wiesz jakie, pieluszki.

— Idźże do diabła! — huknął Popow.

— No, nie gniewaj się, Pupik, i w twoje jeszcze ręce, bo tamci już do niczego. „Niech wesołość z przyjaciółmi słodko płynie czas!“ „Jest, na Wołgie utios, tylko mochom poros, od utiosa do samawo kraja!“ Widzisz, jak ta moskiewszczyzna wylazła, a tyle lat wypluwaliśmy ją na sekcjach. „Hajda trojka, śnieg puszysty... Noc mroźna krugom!“ „Hej strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały, a przeciw nam“... Jest' na Wołgie utios“.

Potem głosy rozplęły się i scichły. Widocznie całe towarzystwo znalazło się po tamtej stronie nieskończoności.

ROK 1914.

Nigdy, w żadnym roku ich pracy, nie było tylu rzeczy rozpoczętych, co w roku 1914-tym.

„Państwko“ (Jerzy zaaprobował optymistyczną definicję dr. Góry zamiast „Parlamentu Dzieci“)

szło całą parą naprzód, i eks-prezes Lipski, pomimo matury, nie mógł się wyzbyć nałogu pracowania dalej.

Ażeby jednak połączyć pracę z wypoczynkiem, należnym mu po egzaminach maturalnych, eks-prezes wybrał się do „Europy“, ażeby dokonać tam lustracji zaścianków, i co się da, zorganizować.

Tymczasem zupełnie niespodzianie zastał w „Europie“ („Europa“ leży na prawym brzegu Berezyny, a „Abisynja“ na lewym) czynnik destrukcji w osobie niejakiej panny Kazi. Panna Kazia była warszawianką z nieporozumienia (powiat eks-prezesa każdą obcą panienkę, mówiącą dobrze po polsku, nazywał warszawianką), nauczycielką z upodobania i flirciarką z zawodu. Napróżno eks-prezes usiłował z tej osoby w wieku lat dwudziestu dwu uczynić społecznicę à la Zula. Napróżno opowiadał jej na spacerach *en deux* o ideologii Bratniej Pomocy. Panna Kazia potrafiła najbardziej interesujący wykład młodego agitatora unicestwić pytaniem: — Czy panna Zula jest ładna? Albo: — Ile lat liczy pańska kuzyneczka Lili? — Widocznie z Mińska zawędrowały do „Europy“ jakieś niedorzeczne plotki, tyczące się jego osoby.

Wobec widocznego dysonansu pomiędzy powagą „mieszkańca puszczy“, a płochością panny z wielkiego świata, panna Kazia wróciła do przerwanych chwilowo mazurów ze stryjaszkiem Bolesiem, a „Abisyńczyk“ począł się dalej wałęsać z broszurkami strzeleckimi po zaściankach.

Poza tem miłem, jakkolwiek niezbyt bezpiecznem, zajęciem, eks-prezes zaczął się coraz bardziej zastanawiać nad swoją przyszłością. Obiecywał sobie usatkwować się, skończyć prawo, osiąść w miasteczku Berezynie jako adwokat: bo jeżeli się kiedyś zapragnie mieć gniazdko dla jakiejś Kazieczki? Oczywiście, nie znaczy to wcale, że przyszły adwokat ma zostać jakimś zjadaczem chleba! A Radecki?

Radecki — był to młody adwokat, który po skończeniu uniwersytetu w Petersburgu rozpoczął praktykę w Mińsku, zamiast szukać łatwej kariery w Rosji. Był to piękny typ człowieka i duchowo, i cieleśnie, prawdziwy, „kalos kagatos” ich życia. Piękny, młody, wykształcony, rozumny, o niesłychanem wprost powodzeniu u ludzi, umiał łączyć wznoszenie się własne z siejbą pracy. W kłótniach udziału nie brał. Wszystko, z czem się zetknął, cementował. Był bożyszczem młodzieży i kobiet. Mało mówił. Pracował ciągle. Za miękki może, za arystokratyczny dla życia, które go otaczało, unosił się nad niem jak duch opiekuńczy, zmieniając indywidualnością swoją starą maksymę łacińską „divide et impera“ na: „gódź i panuj!“.

Dla Jerzego był to typ nietylko kochany, ale i taki, którego pragnął naśladować w tem życiu pogodnem i jasnem, jakie widział przed sobą. Cała Europa wrzała wytężonem życiem twórczem, rozbrzmiewała pogodą i śmiechem. Rok 1905, wspominany jeszcze przed paru laty, uległ osta-

tecznemu zapomnieniu. Wszystko się budowało, remontowało, rozszerzało. Stryjaszek Jaś sprowadził jakiś nowy typ żniwiarki-wiązałki. Wujaszek Ignaś murował nowe stajnie, śpichrze, obory. Stryjaszek Bolesław w dzień projektował fabrykę kwaszonej kapusty, a wieczorem tańczył z panną Kazią mazura w zastępstwie swoich „do niczego“ synowców.

Jedyną tylko ciemną plamą na jasnym horyzoncie pokoju była wojna cioć z panną Kazią. Nikt oczywiście nie miał nic przeciwko temu, ażeby miła „warszawianeczka“ „poflirtowała trochę“ z młodą generacją obszarników powiatowych, a nawet „złapała sobie jakiegoś bogatego chłopca na męża“. Atoli lekkomyślna Kazia uwzięła się na „pokolenie kapitału“, jakby powiedział dr. Góra. A, co gorsza, miała nieostrożność zwierzyć się Mili — „europejskiej“ kuzynce „Abisyńczyka“ — że „twój Tatuś jest strasznie miły, ale twoi kuzynkowie są okropnie nudni“. — Rzecz prosta, iż wywołało to paroksyzm zachwyty u starszych panów i takiż wściekłości u junjorów. Cała młoda „Europa“ zaczęła bojkotować „warszawiankę“, a stryjaskowie wpadli w siódme niebo, skąd jednak zostali wkrótce wyparci przez ciocie.

Można było zwłaszcza obserwować to podczas imienin Mili. Koniec stołu, przy którym rozbrzmiewał miły szczebiot panny Kazi, skupił całą starszyznę powiatową. Natomiast przy drugim końcu zebrały się same ciocie, tworząc coś w rodzaju

sztabu generalnego do wydawania niepotrzebnych rozporządzeń. Co chwila padał stamtąd jakiś rozkaz (n. p.: — Mój Bolesiu, pewnie Lorcia spaceruje bez szalika! — Jasiu, zobacz, co robi Janek! Staszku, każ konie zakładać). Co chwila któryś ze stryjasków znikał, wracał i znowu stawał na dawnym posterunku.

Jednocześnie w momentach ściszenia się rozmów i śmiechów, do uszu sąsiadującego ze sztabem „Abisyńczyka“ dolatywały fragmenty obrad... „Bo i jakże mogłaś, moja Anielciu, nie znając kogoś dobrze, angażować na nauczycielkę swojego syna! Śliczna będzie nauka!. Chłopak prawie dorosły, a tu co na placu, to nieprzyjaciel!“

Stan serc w „Europie“ stał się wkońcu tak dalece niepokojący, iż zapadł wyrok, skazujący zawsze lekkomyślną Anielkę, „razem z jej wątpliwej wartości nabytkiem pedagogicznym, na wygnanie do „Abisynji“. Wykonaniu jednak wyroku przeszkodziły dziwne pogłoski, jakie zaczęły krążyć wszędzie. Oto zupełnie na serjo zaczęto mówić o wojnie.

Z początku myślano, że to kaczką dziennikarską, dość zwykłą w sezonie ogórkowym. Skoro jednak nadeszły do gmin rozkazy mobilizacyjne, stryjasek Boles pchnął umyślnego po gazety do Bohuszewicz, a profesor zabrał gwałtem apolityczną pannę Kazię i powiózł ją do Horodyszcza na gazety. Artykuł wstępny z najświeższego numeru „Kurjerka Litewskiego“ pod tytułem „Wojna czy pokój“ brzmiał, jak następuje:

„...Jeszcze kilka tygodni temu wojna zdawała się być nieuchronną. Krzyżujące się interesy mocarstw na Bałkanach! Megalomanja Wilhelma II-go! Antagonizm Anglii i Prus! Wszystkie dzwony były na trwozę! Aż oto legł ten, który mógł zostać pierwszym podpalaczem Europy! Szef partji wojennej w Austrii, pracę do wojny za wszelką cenę— arcyksiążę Ferdynand — już nie żyje. Wbrew sądom ludzi powierzchownych, śmierć jego wywołała odprężenie psychiczne w Europie. Dziś wojna jest już od nas dalsza, niż kiedykolwiek!“

Oczywiście nie uwierzono tymczasem w nieomylność „Kurjerka“ i postanowiono zatelefonować do Mińska. Telefonistka jednak niezwykle długo nie łączyła ich z Mińskiem, tłumacząc się nawąłem rozmów urzędowych. Nadszedł więc zwykły czas kolacyjny i całe towarzystwo znalazło się przy stole.

Wszystko było jeszcze jak dawniej... Stół zasłany bielutko-śnieżnym obrusem. Na nim słynne w całej Europie horodyskie szynki. Flircik codzienny panny Kazi z wujaszkami!... Zazdrosne spojrzenia siostrzeńców i cioć. Orkiestra świerszczy na niewidzialnej estradzie!

Wolne, senne ruchy napół widzialnych gałęzi zaokiennych... I lewe okna z połyskliwymi jeszcze skrętami Berezyny wśród bezbrzeżnych łąk.

Okolo godziny 10-ej prawie wszyscy pesymiści orzekli, że pokój jest możliwy, a okolo godziny 11-ej rozległ się nagle ostry dzwonek telefonu. Stryjaszek Boles i „Abisyńczyk“ rzucili się

przed siebie, jak pantery. Ale i tu stryjasek był pierwszy.

— Hallo! Mińsk?!

— Mińsk!... — ...wyrzucił gospodarz i zrobiła się cisza, jak makiem zasiał. ...Potem upłynęło kilka sekund, a potem twarz gospodarza stała się biała, jak obrus, który leżał na stole. Odwrócił się i rzucił kilka słów: „Wojna wypowiedziana! Wojska niemieckie wtargnęły do Francji i Belgji! Wojska rosyjskie przekroczyły granice Niemiec.”

CZEŚĆ II.

SIERPIEŃ.

...Wędrując tak od domu do domu, z ulicy na ulicę, od jednego „adresu” do drugiego, Jerzy szukał...

Gdzie to jest?! Gdzie to wszystko znikło?! Gdzie się podziała praca dr. Góry i ich praca?! W jednej chwili wszystko, co tworzyli i kochali—znikło.

Huragan, który zerwał się tak nagle w epoce największej ciszy i dobrobytu, zerwał nie tylko gniazda termitów, ale zniszczył same siedliska spółzycia. Lotny piasek ludzki zasypał ich ślady. I trzeba się było pytać siebie, czy było tu coś kiedyś, czy też wogóle nie było nigdy nic.

W mieszkaniach najbardziej zakonspirowanych, gdzie niegdyś rozstawieni na pikietach skauci czuwali nad bezpieczeństwem „państwka”, rozkwaterowały się sztaby i kontrrazwiedki. Tam, gdzie niegdyś schodziły się dzieciaki podsekcji,

gdzie się unosił rozkoszny gwar pszczołek ziemnych, zwiastujący nowe życie, rozlegały się piski kokotek, wrzaski i orgje pijanych oficerów.

Wraz z „państwkiem” umarło i samo miasto. Lawina wojsk, trenów, taborów, samochodów, jaszczyków i armat zalała śródmieście z dwupiętrowych kamieniczek i dwu-trzyosobowych ulic.

Co kilka godzin bębny orkiestr zwiastowały nowe pułki. O świcie fale broni, sprzętów i ludzi znikwały. Wieczorem zjawiały się nowe. Ruch paryski wrzał na wszystkich „arterjach”, na których wozy tonęły ongi w bagnach, a pseudo-chodniki podrygiwały, jak klawisze fortepianu.

Ogłuszony, osłupiały „Abisyńczyk” wciąż szukał swego „państwka”, jak matka, która zgubiła dziecko w tłumie. Wszystkie „adresy” były albo nieżyjące, albo żyjące i martwe. Nikt nie chciał żyć dawnym życiem, nikt nie przyznawał się do tego. Dziewięć dziesiątych niedobitków „państwka”, oszczędzonych przez mobilizację i ruinę, oddało się wyłącznie działalności filantropijnej. Wczoraj myślało się o Polsce, dziś tylko o Polakach. Całe Królestwo, trzy czwarte Galicji, Grodzieńskie i Kowieńszczyzna paliły się, jak jedna sterta słomy. Wichura rozszalała, unosząc życia, rozrywając rodziny, przenosząc kobiety i mienia z rąk do rąk, jak pokosy łączne. Zachwiewały się i pękały wiązania wiar, wypielegnowanych i wymarzonych w tych różnych „Europach” i „Abisy-

njach". Rozpacz i strach pchały plemię rozsądnych w objęcia kozackie. Chciwość i głód do kontr-razwiedek! Na vis à vis jakiegoś dawnego lokalu „państwka” mieściło się takie biuro, pełne uroczych pań, uprzejmych panów. Gazety prześcigały się w prześciganiu nastrojów ulicy. Galicyjscy „sokoli” (żaden „rozsądny” nie wymawiał słowa „strzelcy”) byli szaleńcami. Piłsudski — utrzymankiem Krzyżactwa. Lizać knut — jednym z przykazań boskich. Jakież to szczęście, że jego chłopcy nie mają teraz czasu na czytanie. Co za lekkomyślność, co za głupota była budować tu coś wśród lasów i bagien, ażeby tam, w idealizowanej stolicy, zniszczyć to wszystko w ciągu jednego dnia!!!

Tymczasem od iskier serbskiego pożaru palił się cały świat. Prasa donosiła o bohaterskich walkach Rosjan, Francuzów i Niemców; o pierwszym w historii pospolitem ruszeniu Wysp Brytańskich na kontynent europejski. Opisywała straszliwą kośćbę arystokratycznej młodzieży węgierskiej, na polach, gdzie od wieków wiecznych walczyły chorągwie polskie, pisała o ochotnikach z Kanady i Nowej Zelandji, o nastrojach Australji i Transwaalu, o „opinjach”, panujących we Włoszech, Turcji i Rumunji. Unosiła się nad bohaterstwem Serbów i ich heroizmem ziemi, Belgów, zrywających tamę, ażeby oddać się raczej morzu, niż obcym. Potęgi wszystkie wyrzucone zostały z orbit, wszystkie ludy ruszone z odwiecznych posad!

Jeden kraj zapadł się tylko nagle, jak Atlantyda.

Polska!

Zlewana krwią, niszczona pożarami, dzielona rowami na setki zaborów wędrownych, prostytutowana przez cenzury, żołdactwo i strach śmierci, przestała istnieć dla świata na czas nieograniczony, dla tego świata, dla którego istniało teraz wszystko!!!

WRZESIEŃ.

W pewien pogodny i jasny ranek wrześnieowy Lipski wracał przez Osmołówkę do siebie. Wielka cisza i słodycz rozlane były w powietrzu, jakgdyby przyroda chciała zaznaczyć, że burze i walki ludzkie nie obchodzą jej nic a nic. Wracał z zamiarem pożegnania się z matką i znalezienia dla siebie jakiegoś kącika w nowym świecie. Wymodlona, wyczekiwana chwila mickiewiczowska nadeszła. Dom niewoli rozdzielił się i stanął przeciwko sobie.

Profesor był już ubrany, ale leżał na łóżku z przymkniętymi oczyma. Miał straszną migrenę w obu skroniach, a na głowie mokry ręcznik. — Ach mój drogi — mówił, ściskając chorą głowę — to jest naprawdę okropna rzecz, najokropniejsza, jaką można było przypuszczać! Gdyby ta wojna wybuchła za lat dwadzieścia, możeby i Polska mogła coś uzyskać. W każdym razie wiele prac, dziś zaczętych, byłoby wówczas skończonych. Dziś

Polska jest absolutnie nieprzygotowana, znajdując się w okropnej sytuacji człowieka skrupowanego, na którego bezwładnem ciele toczy się walka.

— A czy wuj nie przypuszcza, że w ciągu wojny sytuacja może dojrzeć do naszego czynnego udziału?

— Nie, mój drogi. Niestety, uważam to za absolutnie wyłączone. Za zwycięską Austrią stoją zwycięskie Niemcy. Za zwycięską Francją—triumfująca Rosja. W myśl odwiecznego prawa historii raczej słabsza strona, t. j. Francja i Austrija, zostaną zwyciężone. Przewidywać, że będzie inaczej, to znaczy przeczyć wszelkiej logice i nie znać historii. A konsekwencyj takiego wyniku wojny nie potrzebuję ci chyba tłumaczyć.

Pesymizm profesora nie przekonał wprawdzie „Abisyńczyka”, cóż można było jednak przeciwstawić wywodom tak druzgocząco logicznym. Pożegnał się więc w milczeniu i wyjechał do miasteczka Berezyny z zamiarem przedostania się do „Abisynji”.

Oczywiście koni nie mógł dostać za żadne skarby świata, ruszył więc pieszo, podwieziony szczęśliwie przez jakąś niezmobilizowaną furmankę. Przekonawszy się, że chłop go nie zna, skierował rozmowę na tematy aktualne, ażeby „wybadać nastroje mas ludowych”.

— Widzisz, mój mały — zaczął rozumować chłop, popykując flegmatycznie z fajki — to, że

ja odwozłem syna do wojska, a nie do lasu, to dlatego, że przysięgałem na to Batuszce—Carowi, i synek też. Ale, prawdę mówiąc, czy nie lepiejby było, żeby, zamiast gubić tyle niewinnego narodu, wyszli z jednej strony nasz car, a z drugiej niemiecki i zaczęli „borać się”. „Poborze” ruski — jemu kawałek Hiermanji. „Poborze” niemiecki — jemu kawałek „Rosji trzeba dać”.

— A ojczyzna — zapytał odniehczenia Jerzy.

— Co ojczyzna, ojczyzna... U mnie ojczyzna w trzy dziesięciny, mój mały.

— A jak myślicie, dziadźka, kto „poborze” w tej wojnie, Niemiec czy nasz — zagadnął po chwili mądrość chłopską.

Chłop pyknął z fajki.

— Nu, wiadomo, Polszcza. Kto pośrodku siedzi, dyk i najwięcej nagrabi, wiadomo! Gdzie obydwóch bije się, tam, kto trzeci, ten bierze, jak nieglupi”.

Ostatnie swoje wiorsty Lipski przebył na piechotkę. Spokojny, cichy wieczór wrześniowy, taki jak dzień, zapadł nad lasami „Abisynji”. Cicho spały błotniste rzeczki i wioski, w których nie świeciło się nic. Wczesna, martwa śpiączka ogarnęła ziemię, z której zabrano tylu chłopców, chociaż czas był jeszcze roboczy. Wkrótce minął grobelkę, wysoki las sosnowy na lewo od drogi, sięjący w mdłym świetle półpełni cienie gałązek na piaski prawodrożne, i wyszedł na nieduże półko. Na krańcu tego półka czekał już na niego pewnie mały dworek uśpiony i bezokienkowy, jak cały ten

kraj. Ach jakże drogi wydał mu się teraz! Drogi, jak nigdy przedtem, chociaż w ich życiu prywatnem nie jeszcze nie uległo zmianie.

PAŹDZIERNIK.

W połowie października 1914-go roku Jerzy przekonał się, że nikt nie odpowie mu na pytanie, co to jest wojna, jaką rolę odegra w ich sprawie, i co on, Jerzy Lipski, ma tutaj do roboty.

Począł więc robić to, co wszyscy t. j. opiekować się wygnańcami i odwiedzać rannych „Austriaków”. Było to teraz tak modne.

Pewnej niedzieli, obładowany gazetami, bułkami i cukierkami, dzwonił do jednego ze szpitali mińskich. Wkrótce drzwi otworzyły się cichutko. Jakaś biała, wysoka postać kobieca ukazała się w cieniu drzwi.

— Czego pan sobie życzy?... padł miękki, niski, zmęczony głos.

— Jaka śliczna siostrzyczka — pomyślał, i dodał pytanie.

— Czy mogę odwiedzić rannych?

— Proszę — posunęła się nieco; otarł się o jej biały fartuszek, prześlizgnął pod znużonem spojrzeniem oczu smutnych i bardzo pięknych. Zaledwie znaleźli się oboje na długim i ciemnym korytarzu skonfiskowanego klasztoru pojezuickiego, nieludzki ryk rozległ się za prawą ścianą korytarza.

— Operacja — rzuciła zwięźle siostra. Poczem dodała fachową uwagę: — Zabrakło nam chwilowo chloroformu!

Drugi krzyk rozległ się gdzieś wpobliżu. — Proszę — otworzyła mu uprzejmie drzwi do sali, gdzie nie było już ani krzyków, ani jęków.

Z początku myślał, że sala jest pusta. Jedyłą obecnością była niewielka biała płaszczyzna, o metr wzniesiona nad podłogą. Dopiero kiedy oczy oswoiły się ze światłem filtrowanem przez żaluzjeienne, Jerzy spostrzegł, że pokój pełny jest słupów białych, spowitych w merłę tak szczelnie, jak noworodek w pieluszki. Jedyne ciche rżęzenie albo jęk, dochodzący z półcienia, mówiły, że to nie chrzest święty się szykuje, ale śmierć chodzi po tej sali.

Cicho jak duch poszła siostra w głąb białego jeziora i zatrzymała się przy jednym żywym słupie, nieco krótszym, niż inne.

— To Polak — szepnęła — Austrjak z „Galicji” — poprawiła się — niech mu pan da coś... on biedak nie ma tu nikogo.

Biały słup, spowity w merłę, poruszył się zlekka, kiedy Jerzy pochylił się nad nim... szklane oczy nabrały lekkiego wyrazu życia... usta rozchyliły się...

— Jesteście Polak?

— Tak, ja cesarski... z Galicji... — padł ledwie dostłyszalny szept.

— Z jakich stron?

— Z Dukli.

— Góral?

— Tak!

— Co wam jest?

— Nogi panie, nogi — i roztkliwił się nagle, jak małe, maluśkie dziecko... — Nogi, panie, o!

Uniósł kołdrę. Wówczas gość spostrzegł, że to, co brał za człowieka, było tylko jego połową.

— Panie, panie, i jak ja teraz będę w góry chodził, jak ja będę... — zawodziła cichutko półwka człowiecza.

— A czemu nie uciekliście? Pociście się bili, za kogo, za Austryjaków? — bąknął bezmyślnie Jerzy, ot tak, byleby coś powiedzieć, byleby nie dać się łzom...

Góral otworzył szeroko oczy. Widać było niemal, jak w tej biednej głowinie, prawie zupełnie pozbawionej myśli, dokonywała się męka myśli nad sprawą tak ważną, tak tragiczną. Potem padła ledwie dosłyszalna odpowiedź.

— Jakże ja mogłem to zrobić... Jaż przysięgałem na to cesarzowi!...

Wyszli na jakiś inny korytarz klasztorny, krótszy i ciemniejszy. Nagle runęła na nich wrzawa, śmiech, łoskot potrącanych sprzętów, muzyka.

— ??...

— Ach, to te łobuzy, lekko ranni — powiedziała siostra tonem szczęśliwej matki. — Chce pan ich odwiedzić? — I, nie czekając na odpowiedź, pchnęła drzwi jednej z cel. Nieduża salka pełna

była dorodnych, zlekka obandażowanych mężczyzn. Pośrodku stał jakiś młodzieniec z piękną głową, spowitą w merłę, tyle tylko, ażeby go chyba zrobić jeszcze piękniejszym. Młodzieniec grał na balałajce i śpiewał jakieś wesołe kuplety przy akompaniamencie przytupywań i klaskañ audytorjum. Nikt nie zwrócił uwagi na wchodzących, a i oni sami stanęli cicho w jakimś kątku, ażeby nie psuć tego zaimprovizowanego teatru, na którym bawiono się tak ochoczo i wesoło.

S F I N K S.

Ponieważ fortece rosyjskie pod naporem falangi Mackensena poczęły nagle padać, jak domki z kart, więc i Kazio Dębicki, rodem z Brzeskiego, postanowił też coś uczynić dla historii. Założył więc do spółki z Lipskim i paru innymi „Sfinksa“, który miał być zarodkiem „przyszłej armji polskiej na terenie Mińszczyzny“ („jak Legjony z tamtej strony“), z tą tylko różnicą, że absolutna niezależność od Niemiec, Austrii i Rosji była tu — statutowo — zagwarantowana.

Arsenał nowego stowarzyszenia składał się z trzech rewolwerów i dwóch podchorążych, uzbrojonych od stóp do głów. Skarb z osobistych dochodów prezesa i założyciela... Liczba członków—10.

Pierwsze dwa zebrania zeszły na opracowaniu statutu i regulaminów. Na trzecim nikt nie wiedział, co robić. Po zorientowaniu się, że „Sfinks“ musi umrzeć, członkowie wycofali się z niego z takim

samym pośpiechem, z jakim weszli, pozostawiając prezesa i założyciela, ażeby jako kapitan zszedł ostatni z tonącego okrętu.

Ale kapitan niebardzo chciał schodzić, pomimo sromotnej dezercji załogi, w czem sekundował mu Lipski, dla którego „Sfinks” stanowił jedyną deskę ratunku od zupełnego załamania się moralnego. Po zgodnych wyrzekaniach na wrodzoną polską niewytrwałość, obaj działacze postanowili zejść się u Węgrzeckiego i przy czarnej kawie omówić plany sanacji „Sfinksa”.

W cukierni eks-prezes, jako lepiej znający stosunki miejscowe (prezes Kazio był „bieżeńcem”), zdecydował, że należy udać się niezwłocznie do Bolka Cholewy, eks-kierownika ćwiczeń sokolskich, a obecnie porucznika-rekonwalescenta na krótkim urlopie domowym. Po drodze opowiedział gościowi biografję rodu Cholewów, znaną zresztą doskonale całemu miastu.

Ojciec Bolka, pułkownik Józef Cholewo, t. zw. „pułkownik dwóch cesarzy”, był niewątpliwie najbardziej oryginalną indywidualnością pokolenia kapitału. Posiadając tyle ran, ile medali, które pokrywały szczelnie cały przód gala-mundur, uczestnik wojen tureckiej i japońskiej, prawnuk oficera-napoleończyka, wnuk majora z 31 r., syn szeregowca z 63 — pułkownik Cholewo potrafił łączyć nieubłaganą nienawiść do państwowości rosyjskiej z kultem dla cesarza Mikołaja. Dom, na którego drzwiach była tabliczka z napisem

tylko polskim: Józef Cholewo — pułkownik wojsk Jego Cesarskiej Mości, był raz na zawsze zamknięty dla wszystkich Rosjan. Próbowano go nieraz otworzyć groźbami, ale cóż można było zrobić człowiekowi tak zasłużonemu około budowy Wielkiej Rosji, oficerowi, który w każdej chwili miał prawo wstępu do samego cesarza.

Dom pułkownika Cholewy — istne muzeum pamiątek wojskowych, zwłaszcza z epoki napoleońskiej, służył stale jako locum dla „najczerwieńszych“ papierów i najpodejrzańszych ludzi. Stale o wszystkim wiedział i na wszystko pozwalał, a nawet sam gwarantował konstytucyjną nietykalność swego mieszkania („żandarm sam tu nie wejdzie, bo wie, że mu dam w mordę“). Wymagał tylko, ażeby nikt pod żadnym pretekstem nie ważył się zdjąć olbrzymiego portretu cesarza Mikołaja II w wspaniałym mundurze oficera gwardji, i nieraz w środku „Reduty Ordon“, śpiewu „Warszawianki“ i t. d. głowa pana pułkownika kontrolowała subordynację kolegów swego syna. W opowiadaniach pułkownika rodzinno-napoleońska Legenda przechodziła niepostrzeżenie w opowiadanie „o obecnym cesarzu“, dzieje zaś młodości obecnego cesarza kończyły się Napoleonjadą. Stąd płynęło przezwisko, nadawane mu przez miasto, „pułkownika dwóch cesarzy“. Synowie jego — mniej skomplikowani psychicznie, mniej może interesujący — odziedziczyli po ojcu prawość, odwagę i ucziwy patryjotyzm. Czyż można więc było

znaleźć lepszego wskrzesiciela dla „Sfinksa“, niż młodszy z nich, Bolek, dusza Sokoła mińskiego. Eks-prezes był pełen dobrych myśli.

Niestety i te nadzieje nie miały się ziścić.

Bolek parsknął poprostu śmiechem, kiedy po dyplomatycznym wstępie dowiedział się wreszcie, o co chodzi.

— Moi kochani, jesteście dzieciakami z metryką dorosłych! Chcecie iść do Legjonów, to idźcie. Chcecie siedzieć za piecem, to siedźcie. Macie odwagę uczyć się wojny tak, jak w sztubie rosyjskiej, to przestańcie się dekować. Ale wy chcecie kiwać palcem w patryjotycznym bucie, a ja uważam to za najszkodliwszą zabawkę na świecie.

Po tym ostatecznym zgonie „Sfinksa“ Lipski zaczął chorować. Były to płuca i... nostalgja. Płuca — po jakichś dwóch influencach źle podleczonech. Nostalgja — po „państewku“ i jego ludziach, w których powrót i skupienie się nad odbudową pracy przestawał powoli wierzyć.

Surowy wyrok, wydany przez militarny autorytet „państewka“ na „Sfinksa“, który w gruncie rzeczy był dla niego ostatnim środkiem ratunku psychicznego, zniechęcił go do szukania starych dróg. Nie, nie... „to się już skończyło i już nie wróci“. A więc czekać? Położyć się na fali i czekać, płynąć!?!...

Czekać?!... Czekać teraz, kiedy szpalta każda każdej gazety — trzęsieniem ziemi, rozpaczą śmierci, pożarem! Teraz, kiedy wewnątrz coś wyje, rwie,

szarpie, każe coś budować, czy rozwalać! Każe przecież brać udział w konwulsjach trzech części świata! Nie pozwala po tylu zapowiedziach! Po tylu odśpiewanych śpiewkach! Po tylu odświęconych rocznicach!

Ustąpić w pokorze miejsca nawet — Czarnogórze i Albanji?!!

Cisza przerażająca, milczenie sztuczne, najboleśniejszy rozbiór, rozbiór moralny, dokonywany przez cenzury wojenne — gnały go, jak bicz Erynji, ku czynowi.

A było ich tyle! Były dalekie, uwięzłe w górach Karpackich. Były bliskie, oplute, oprzędzone duszyczką „plemienia rozsądnych“. Była wreszcie indywidualna droga porucznika Cholewy. Droga ciężka i kalwaryjska! Nietyle dla niebezpieczeństw ran i śmierci, ile dla potwornego chamstwa, dla bezcelowości wysiłku!

W tym stanie moralnym choroba fizyczna była dla niego szczęściem, pocieszycielką, aniołem opiekuńczym. Miał prawo nie być nigdzie.

Nie jechał do „Abisynji“ na kurację, pomimo błagalnych listów matki, pomimo nalegań pocziwego dr. Góry. Dniami całymi przesiadywał w oknie swojej małej „ciupki“, niegdyś co wieczór pełnej „ludzi“, a teraz pustej, samotnej.

U podnóża tych okien, na kamiennym, dużym wąwozie ulicznym dzień i noc trwał nieprzerwany pochód wojsk rosyjskich. Walka fabryk niemieckich i ciał ruskich doszła do swego kulmina-

cyjnego punktu. Każdy człowiek Zachodu, patrząc na mapę Rosji, uświadamiał sobie z przerażeniem: jestem sąsiadem 160 milionów ludzi... I oto mapy zeszły ze ścian, ożyły, zmieniły się w rzeki górskie ludzi, lawiny furgonów, lodowce armat. Dzień i noc odbywał się pochód gladiatorów, przed nieobecny Cezarem. Dzień i noc mówił rozsądek wierzącym: „Widzicie! Oto jest to, przeciwko czemu szło wasze „państewko!“ Wasze śmieszne, małe „państewko“!

BABY W „KOSZARACH”.

Statek parowy „Zwycięzca“ sunął z „normalno-abisyńską“ szybkością wdół swego Nilu — t. j. Berezyny. Po obu stronach rzeki ciągnęły się już olbrzymie lasy wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, naczelnego wodza armji rosyjskiej, walczącej rozpaczliwie z armjami państw centralnych na całej przestrzeni od Bałtyku do Rumunji.

Tą właśnie główną arterją wodną ma jutro przybyć do swych „koszar“ „Pierwsza Litewska Szkoła Podchorążych“, zorganizowana z ramienia wileńskiego P. O. W. w Mińsku Litewskim, z porucznikiem Legjonów, jako instruktorem, i panem Mieczysławem, jako dowódcą. Oczywiście, szczegóły tej imprezy i nazwiska muszą być osłonięte jak najdalej idącą tajemnicą.

Główny intendent szkoły, Jerzy Lipski, jedzie teraz, ażeby przygotować rodzinę do przyjęcia bezdomnych „korepetytorów — bieżęńców“. Kłam-

stwo niebardzo zręczne. Ale cóż robić? Nawet skauting mógł przestraszyć „Abisynję”. Przecież to stan wojenny, żartów niema!

Była dopiero 2-ga i parę minut. Czerwiec. Niebo zaczynało szarzeć. Cały statek spał nadobrze. Tylko na górnym pokładzie drzemał sternik, kierując statkiem prawie przez sen, czuwał Jerzy, któremu spać się nie chciało.

Był już zdrów, rześki, radosny, pełen entuzjazmu, ufności i wiary. Piekło roku 1914 minęło bez śladu i, jeżeli nie był to jeszcze raj, to w każdym razie był już czyściec. Tajemniczy Sezam czynu otworzył przed nim zakłętę wejście. Gdyby porucznik Cholewo wrócił z frontu, nie byłby już powiedział, że to jakieś kiwanie palcem w „patriotycznym bucie”. Nowy „Sfinks”. Teraz szkoła, nauka, teoria!... Później Legjony Piłsudskiego, front, praktyka!

Przymknął oczy, ale nie mógł zasnąć, wciąż jeszcze myśląc o różnych drobnych kłopotach (żandarmerja, dyskrecja ludności, aprowizacja, bądź co bądź 20-stu „korepetytorów”), związanych z instalacją „Szkoły Podchorążych” wśród błot i bagien wujaszkowych.

Tymczasem „Zwycięzca” zwalniał biegu. Widocznie zbliżał się już gwałtowny i niebezpieczny skręt Berezyny, jego ulubione miejsce wirne w czasach tak strasznie dawnego już dzieciństwa. Budził się wtedy lub nie spał, ażeby ujrzeć, jak statek sunie wprost na brzeg, jak skręca nagle

pod kątem prostym, ocierając się niemal o pionową ścianę brzegu, i na białawem cielsku pian wirnych wypływa na ogromne równie łączne, na których krańcu majaczą białe ściany „Dworu Potockich”.

Okolo południa wchodził już do „saloniku babci” w Berezynie, gdzie jak zwykle zastał nowy sejmik rodzinny. Po kilku szklankach kawy i paru kilogramach wędlin, eks-prezes poinformował zebranych o przybyciu „niemających gdzie spędzić wakacyj korepetytorów-uchodźców”.

Kuzynki rzuciły mu się na szyję, wołając: — Nareszcie pomyślałeś i o nas, a nietylko o sprawach społecznych. — Niedobitki zaś męskie, jakkolwiek poczuły zagrożenie wpływów wśród pańien okolicznych, wyraziły kuzynowi uznanie za jego obywatelskość.

W jakieś dwa dni po ostatnim terminie na stracenie nadziei co do przyjazdu „podchorążych”, kiedy na serjo zaniepokojony Lipski sądził, że cała szkoła wpadła w łapy żandarmerji borysowskiej, wideta kuzynek, czatująca nad rzeką, dała znać że „to chyba oni”. Sejmik i pół miasteczka rzuciły się na spotkanie „korepetytorów-bieżeńców”. Po krótkiej prezentacji intendent zdał na osobności raport panu Mieczysławowi: — Wszystko w porządku, wujaszek zawiadomiony, koszary gotowe, konie czekają.

Tegoż samego dnia zaczęto się przygotowywać do dalszej podróży. Goście byli zmęczeni,

ale dowództwo nagliło do pośpiechu, gdyż właśnie gruchnęło po miasteczku, że „do naszej kochanej pania Lipska przyjechawszy jakieście strzelcy od samego jakiegoście Piłsudskiego, i popatrzaj, moja kochana, czy widzisz, że ten synaleńko zgubi nasza kochana paniusieńka”.

Przestraszony Jerzy zameldował o tem natychmiast panu Mieczysławowi, który uspokoił go z wileńską flegmą, mówiąc, że jeżeli oni nie wiedzą jeszcze dobrze, kim jest Piłsudski, to tem bardziej policja miejscowa.

Przed samym odjazdem wyłoniła się jedna trudność. Oto nagle i „Abisynki” poczuły gwałtowne przywiązanie do kochanego wujaszka, zapowiadając, że i one jadą z nimi. Naprózno zgorzszony Jerzy tłumaczył pannom, jak wysoce nie na miejscu jest mieszanie się bab pomiędzy polską siłą zbrojną.

Pan Mieczysław milczał dyskretnie, nie chcąc wtrącać się do sporów rodzinnych, widać było jednak, że jest niezadowolony. Natomiast porucznik Legjonów, czyli t. zw. „instruktor”, wyraził swoje najwyższe zadowolenie „z gotowości łaskawych pań podzielenia z nami trudów wojennych”.

Była już może godzina ósma, czy dziewiąta wieczór, kiedy wozy, pełne podchorążych i „Abisynek”, minęły miasteczko Pohost i zagłębiły się w ogromne lasy Potockiego, budząc je sentymentalno-letnio-wieczorowymi piosenkami. Potem las rządowy i nowa fala śpiewu...

Las rządowy był zbity, gęsty, nigdy niewycinany, starodrzewny. Posiadał swoje legendy i tradycje. Tam został raniony dziad „Abisyńczyka”. Za wezwanie band powstańczych ukarano las konfiskatą. A dziś znowu powstańcy przejeżdżali tamtędy... i nie ukrywali się nawet.

K O S Z A R Y.

O godzinie 12-ej czy 1-ej w nocy wozy drabiniaste zajechały na dziedziniec niewielkiego dworku wujaszka, u którego Lipski zainstalował „Szkołę”, zawiadamiając go już post-factum. „Koszary” były rześście oświetlone, a zamiast „kartofli z zsiadłem mlekiem”, o jakie upomniał się skromnie intendent, rozpanoszyła się luksusowa kolacja. Na stole królowała waza buljonu i stały pękate butelki nalewki (najserdeczniejsza miała niekaligraficzny, ale szczerzy napis „Bohaterom cześć”). Obok, na niskim stoliku, bulgotał olbrzymi samowar (cztery razy podrzucano już węgle)... Kiedy buljon znikł, wniesiono ogromny półmisek kaczek (z kurczętami, bo nie wystarczyło inaczej). A na deser podano słynny krem miejscowy, który tak zrósł się z „koszarami”, że krem bez „koszar” i „koszary” bez kremu trudno było sobie wyobrazić.

To też po skończonej uczcie wdzięczny siostrzeniec rzucił się w ramiona kochanego wujaszka, przy akompaniamencie chóru dzięków podchorążowskich.

— Wybaczcie, kochani panowie, tę na capu łapu robioną kolacyjkę — oświadczył wujaszek — ale gdyby ten mój siostrzeniec umiał pisać listy wporę, byłoby zupełnie inaczej.

Oczywiście, chór protestów zgłuszył obrażający kolację przymiotnik „capu-łapu”, poczem udano się do saloniku na likier, „szarą” kawę i pianie kogutów.

Podchorążowie w swojej przyrodzonej, żołnierskiej prostocie ducha sądzili, że to tylko na pierwszy raz „stary” tak się postawił. Możeby się tak i stało, ale od czegoż były „baby” w „koszarach”. One to wmówiły kochanemu wujaszekowi, że honor, patriotyzm, oraz wszelkie inne uczucia ludzkie wymagają, ażeby podchorążowie byli dobrze karmieni. Kury, kaczkę, gęsi, indyki — oto są stworzenia Boże, godne podniebienia przyszłych żołnierzy polskich, a nie jakieś tam mleko z kartoflami. Wszakże oni niedługo zaczną walczyć i ginąć, kiedy tymczasem wujaszek będzie się wygrzewał przed kominkiem.

— Może to i słuszne — bronił się resztkami sił na forcie przedśpiżarnianym nieszczęśliwy posiadacz „koszar” dla podchorążych — ale pomyślcież tylko, moje kochane, że te błazenki kosztują mnie już tyle, co szwadron dobrej kawalerji, a ostatecznie nic jeszcze nie wiadomo, co to za żołnierz z nich będzie! — Straszny jednak wrzask siostrzeniec zgłuszył te nieostrożne słowa, przestraszony wujaszek skapitulował, fort padł, a z nim kury, kaczkę i gęsi.

Dobrze karmiony żołnierz dobrze pracuje. Pod sprężystym kierownictwem instruktora „orka” była nie na żarty. Pobudka od 5-ej. Od 6-ej do 7-ej gimnastyka. Później musztra i ćwiczenia polowe. Po obiedzie celowanie i strzelanie z jednego karabinu, jaki posiadała szkoła. Teorja na zakończenie i dopiero o 7-ej koniec dnia pracy. O 8-ej kolacja, potem flirt i rywalizacja z „Naczelnem Dowództwem”. Kto chce, ten może iść spać, kto jest dyżurnym, ten musi czyścić karabin, a kto ma jakieś zobowiązania wobec hożej i bosej „Abisynji”, ten wymyka się niewiadomo dokąd. Instruktor i najstarsi podchorążacy tańczą coś tak modern, jak idee powiatu. Najmłodszy kują zawzięcie podręcznik taktyki, a pan Mieczysław siedzi sobie samotnie na ganku, obok okien oświetlonych i pełnych muzyki walcowej, patrzy sobie spokojnie na pogodną, choć ciemną noc i coś sobie waży, i coś sobie myśli.

Obawy Jerzego co do scysyj, jakie mogą zajść na tle różnic społecznych między ultra-konserwatywnym wujaszkiem i radykalnym panem Mieczysławem, nie sprawdziły się. Przeciwnie, obie strony poczuły ku sobie nieprzepartą sympatię. Pan Mieczysław unikał wszelkich rozmów na tematy społeczne, stary zaś obszarnik widział w panu Mieczysławie li tylko przyszłego „powstańca”, spadkobiercę świetnych tradycyj powiatu, wcielenie najwyższych cnót ludzkich: patriotyzmu, ładu i porządku.

Pan Mieczysław widział w nim nietylko gościnnego gospodarza „koszar”, ale i wdzięczny obiekt do niszczenia egoizmu posiadania. Walka z egoizmem klas była tem łatwiejsza, że życie kochanego wujaszka, jak i życie stryjaszka Henryka, posiadało również swój wzlot prometejski, zgodny z duchem czasu: wujaszka ku miedzy, stryja ku wojence.

Kiedy po 63-cim trzeba było płacić kontrybucję i nie było za co „jechać do szkół”, wujaszek uciekł do miasta, ażeby się uczyć o własnych siłach; sprowadzono go do domu przy pomocy policji rosyjskiej i kazano utrzymywać ziemię „w polskich rękach”. Pocieszając się romansami z bosą „Abisynją”, kochany wujaszek grunt utrzymał, o wszystkim zapomniał, idee rodziców adoptował, wgryzł się w ziemię, zszarzał jak ona, zadomowił się, zasiedział, zabudował... aż tu nagle zjawił się jakiś meteor wileński i urządził mu powstanie na folwarku. Zato stryjaszek Henryk nie dożył już tego. Chroniczny przewidywacz wojny, nieubłagany wróg Trybunału Haskiego, umarł w lutym 1914-go.

— Wojna idzie—mówił do profesora, potrząsając triumfalnie swoją gazetką, na parę tygodni przed śmiercią.

— Chyba pokój wieczny, stary warjacie — oburzał się profesor, uderzony w najczulszą strunę... — a co mówi Haga?!”

— A co mówi Berlin?

— I Berlin pobił Hagę!

Ale stary powstaniec umarł przedtem, bez ostatniego namaszczenia nadziei. Jerzego nie zawiadamiano zresztą o jego pogrzebie. Któż ma czas myśleć o tem, że jakiś obraz święty gdzieś spadł.

MEŹCZYŹNI W KOSZARACH.

Gęstwina! Najgęstsza z gęstw in leśnych — gęstwina młodej jedliny. Gęstwina nie do widzenia w dzień, a cóż dopiero w nocy! Nieprzenikniona czerń nocy i jedliny stoi o ćwierć ćwierci kroku przed wyciągniętą w sznur „Szkolą Podchorążych”. Nic nie widać, nie słyhać nic. Cisza śmiertelna panuje w lesie. Nawet byle zwierzak i ptak leśny wie, że nie trzeba przeszkadzać podchorążakom.

Ćwiczenie jest następujące: przez łańcuch polskich placówek strażniczych przekrada się dwóch wywiadowców nieprzyjacielskich. Należy ich złapać na linji widet.

„Aha, złapać, ale jak?”... myśli zgnębiony „Abisyńczyk”. Ręki własnej nie widać, a cóż dopiero pana Mieczysława, albo „instruktora”, dwóch ma e s t r ó w sztuki wojennej. „Orjentować się w szmerach”. Łatwo to powiedzieć. Dajmy na to, kuna trafi na suchą gałązkę, albo cietrzew się obudzi, ktoś krzyknie, i sprawa skończona! Fałszywy alarm równa się przegranej!

A takby się chciało uczniom złapać mistrzów! Wyciągnięty łańcuch łapaczy skamieniał w oczekiwaniu. Nieskończone kwadransy czasu wloką

się jak dziady na odpust... Tss! Gdzieś trzasła gałązka!... Ptak, zwierz... czy człowiek?... Bicie sere podchorążowskich zawtórowało cichemu szmerowi nocy... ale nie powtarza się... „A więc to człowiek!“... myśli Jerzy. Człowiek, który przestraszył się własnej nieostrożności i czeka teraz!..

Drżąc z radości, szykuje się do wyrzucenia z siebie triumfalnego: Kto tam?!.. I waha się... namyśla („a może to i nie człowiek“)... — Kto tam — rzuca obok najmłodszy podchorążak, Stefanowski, głosem śmiałym, zdecydowanym, ze śmiesznym, przesadnym akcentem dziecinnej radości... i wygrywa! Gwizdek! Zwycięstwo!

Okazało się, że to instruktor okazał się takim niezgrabjaszem, choć wczoraj jeszcze zapewniał „Abisynki“, że umie jak duch przekradać się przez linje nieprzyjacielskie. Natomiast cichy i skromny pan Mieczysław przekradł się już dawno i leżał cichutko na mchu tuż za nimi.

Zaszczyt ocalenia honoru „Szkoly“ przypadł Stefanowskiemu. Niech żyje! Świtać już zaczynało, kiedy wyszli z lasu. Szli naprzelaj przez wysokie i gęste trawy łąkowe, nakryte szaro-siwym daszkiem z mgły... w miejscach niższych wisiał tuman gęsty, białawy, rozszący. Śpiewali „Hej strzelcy wraz“, budząc rozespane skowronki i kuropatwy. Czuli rozkosz, płynącą z miarowego rytmu ich nóg, chłodu traw rośnych i powietrza.

Przy obiedzie panny zaczęły dopiekać „instruktorowi“ („Jak to tam było z tem przekrada-

niem się, jak duch“), a on potem postawił pod karabin i dubeltówkę, bo drugiego karabinu nie było, Zienkiewicza i Czerepowicza. O tem, że „wygadanie“ tajemnicy wojskowej było ich sprawką, nikt nie wątpił, bo pozwalali sobie zawsze na krytykę „Naczelnego Dowództwa“, konkurując z niem o względy „Abisynek“.

Na szczęście, wkrótce zaszło coś, co poprawiło reputację „instruktora“ nietylko w oczach panien, ale i surowszego w sądach o młodzieży wujaszka. Pewnego razu w czasie ćwiczeń, na jakiejś dobrze osłoniętej polance leśnej, z zarośli wyszło nagle dwóch uzbrojonych żandarmów i skierowało się ku ćwiczącym.

Ukryć się, ukryć cel zbiórki, było niepodobieństwem. Jedno słowo, jeden ruch nieostrożny — i, może nietylko dla nich, ile dla właściciela „koszar“ i pana Mieczysława — Sybir, albo śmierć!!! Przecież to rok 1915-sty! Klęska po klęsce! Stan wojenny!!

— Prawoje pleczo wpierod!... — pada komenda instruktora.

Na pierwszy raz słyszaną, niepolską komendę, oddziałek robi zwrot, jak na „Jesiennych manewrach“. Instruktor podchodzi do starszego rangą żandarma, staje na baczność i recytuje.

— Wasze Błagorodje! Mam zaszczyt zameldować posłusznie, że aspiranci „Wileńskiej Szkoły Praporszczyków“ szykują się do egzaminów wstępnych. Czy panowie życzą sobie przekonać się, co umieją?

— Ależ ja i tak widzę, że jeszcze nic nie umieją — odrzekł łaskawie wachmistrz, mile polechtany tytułem „Wasze Błagorodje”. — A skąd-to panowie?

Instruktor wymienił nazwę „koszar”.

— A znam, znam! Nu, to i dobrze, bo mnie chłopci donieśli, że tu plenne Austrjaki się zbierają. Aż tu ja widzę, że swój człowiek.

— A może jednak pan wachmistrz naprawdę wyda komendę — nastawał bezczelnie „instruktor”. — Sądząc z wyprawki pana wachmistrza, pan wachmistrz musi być wojenny człowiek!

— Nu! Na japońskiej wojnie był. Dali tam nam J a p o Ń c y zdrowo! — Prawoje pleczo wpięrod — wrzasnął przeraźliwie.

Atoli oddziałek pomieszał się znowu, jak kłamstwo z prawdą w raporcie policyjnym, więc pan wachmistrz machnął tylko pogardliwie ręką, zanotował nazwiska podejrzanych młodzieńców i znikł w tych samych gąszczach leśnych, z których wyszedł przed chwilą.

Podchorążacy spojrzeli na siebie, i nagle jeden żywiolowy wybuch śmiechu runął za odchodzącymi żandarmami. Na szczęście, potężny bas instruktora, wymyślający od ostatnich osłów i nieuków, zagłuszył niebezpieczną eksplozję.

Dnia tego i paru następnych nikt nie stał pod karabinem, ani pod dubeltówką. Pomimo tego jednak obaj rywale żółkli z zazdrości, gdyż instruktor stał się niezaprzeczonem bohaterem chwili.

Sam wujaszek wieszował mu przytomności umysłu, a „Abisynkom” musiał chyba ze trzy razy opowiadać, jak to było. Pan Mieczysław był trochę zaniepokojony niespodziewaną wizytą żandarmów, atoli wujaszek uspokoił go, mówiąc, „że może jakąś szynkę trzeba im będzie dać”.

* * *

W kilka tygodni potem, a może i później, bo nikt w „koszarach” czasu nie liczył, przyszedł do wujaszka stary Achrem z ważnymi wiadomościami. Ponieważ gospodarz „Szkoły Podchorążych” miał za dużo ziemi i kłopotów, ażeby jednocześnie brać czynny udział w życiu politycznym, Achrem zaś tylko trzy dziesięciny, więc do gospodarki achremowskiej należał „Litewski Kurjer” i żydowskie „co słyhać”. Właśnie jakoś Wilno zastrejkowało, ale depeza ustna „on mande de Pohost” donosiła o strasznej klęsce rosyjskiej i zdobyciu przez „Niemca” Warszawy, Kowna, Wilna i Mińska.

Wujaszek niebardzo się tem przejął, twierdząc, że od roku 1905 przyzwyczał się już do klęsk rosyjskich, ale pan Mieczysław bał się zostać odcięty od Wilna, skąd miał tylko „krótkoterminowy urlop”, i prosił o konie, w celu stwierdzenia Achremowych wiadomości. Pojechali więc obaj nazajutrz aż do samego miasteczka Berezyny („bo i co tam wiedzą w tym Pohoście”) i wrócili z bardzo tajemniczymi minami. Tegoż dnia pan Mieczysław, po krótkiej

naradzie z instruktorem, oświadczył podkomendnym, że w tym tygodniu jeszcze szkoła musi być skończona.

Twarze i twarzyczki szkolne schmurniały, ale — jak rozkaz to rozkaz. Wściekła orka zapanowała w Podchorążówce. Wreszcie kurs był skończony. „Egzaminy” pomyślnie przebyte. I nadszedł ostatni wieczór, ni to jesienny, ni letni, a właściwie ze słońca letni, a z usposobień melancholijny. Nikt nie rozkoszował się, ani wspaniałym baldachimem lipokwiecia przed gankiem, ani widokiem wysokich, dojrzałych law zbożowych, zaraz za płotkiem dziedzińca rosnących... Może zresztą dlatego, że całej Szkole jak na rozkaz: zębo...bo...lej! — rozboleły się zęby! Panienki siedziały cichutko w swoim pokoiku, bo i je też boleły ząbki. Naiwny Jerzy szukał naprawdę „walerjany” dla jednego z najgłębiej dotkniętych „podchorążaków”. Jeden tylko „instruktor”, winowajca panieńskiego bólu zębów, cieszył się, że „wraca do roboty”, i wyśpiewywał zawzięcie co ładniejsze legjonowe piosenki.

Nazajutrz jednak z rana, w sam dzień odjazdu, głazik („bo gdzieżby tam był głaz”) spadł z serc podchorążowskich. Dzień był piękny. Słońce ranne, niskie, zwieszane na błękicie nadleśnym... Zwykle powietrze wszystkich „koszar” leśno-polno-łąkowych. Hymn strzelecki szalał wśród podchorążaków! Radość życia, klęska tego, przeciwko czemu szło osiem pokoleń, a co nadeszło tak prędko, tak nieoczekiwanie, wcześniej od najwcześniejszych

spodziewań, rozkosz zmian, przełamań żyć szarych na tysiąc i jedną noc przygód, niebezpieczeństw, śmierci, ocaleń! Oszaleni przecuciem, pijani młodością, stali na wozie, który oddalał się szybko korytarzem z żyt rośnych, wykrzykując pożegnania i już zapominając niemal, że istniało jakieś wczoraj, jakaś Podchorążówka, jakiś dwór, z rektorem Achremem i agronomem wujaszkiem na czele, chlubnie zdany egzamin podchorążowski, a nawet „baby” w koszarach!

NA ZACHÓD.

W miasteczku Berezynie, dostojnej stolicy pół-powiatu, oraz mieście granicznym pomiędzy „Europą” i „Abisynją”, okazało się, że stary Achrem, jak każdy dziennikarz, trochę zelgał. Cofające się oddziały armji rosyjskiej nie doszły jeszcze do linii rzeki Berezyny. Jedynie tylko awangardy taborów i niemniej olbrzymich rzesz wygnańczych biwakowały w miasteczku. Jednakże wznoszono już z pośpiechem okopy i budowano mosty pontonowe. Wszędzie czuć było rozgorączkowanie, niepewność i niepokój.

W Berezynie „Szkoła Podchorążych” rozdzieliła się. Instruktor wrócił do Wilna, które wbrew „on mande de Pohost” nie było jeszcze wzięte. Część podchorążaków wyjechała do Mińska, pożegnać się z rodzicami — przed Piłsudskim. Pan Mieczysław zaś i Jerzy zostali na kilka dni w Berezynie, celem zabrania do Piłsudskiego jak naj-

większej garści „Europejczyków”. Z „Europą” szło jednak naogół oporniej, niż z „Abisynją”. „Europa” lubiła czasami mędrkować, kiedy w lasach „Abisynji” poprostu tylko kochano i wierzono.

— A co będzie — pytał taki, chrzczony na wiarę Piłsudskiego, poganin — kiedy Niemcy zawrą „separatywny” pokój z Rosją?

— Ale my nie zawrzemy — odpowiadał pan Mieczysław.

— A jak was zmuszą?

— Będziemy się bili!

— A jak was pobiją?

— Zbierzemy się znowu!

— A jak was jeszcze raz pobiją?

— To zbierzemy się jeszcze raz!

Czasami i apostoł przechodził do kontrataku.

— Czy pan będzie siał żyto w tym roku?

— Rozumie się, a jakżeż inaczej?

— Widzi pan, a przecież tu może być front, pierwsza linja!

— Pan sieje, i my siejemy!—Ależ to żyto—oburzały się „Europejczyki” na myśl, że ktoś żyto gatunkowe, aż z samych Bieniakoń, może porównywać do broszurek mieczysławowskich. — A i to żyto, panie—mówił odniehcenia pan Mieczysław, i wzrok jego nabierał jakiegoś szczególnego natężenia.

Wkońcu jednak akcja dowódcy „Podchorążych” zrobiła swoje. Ten cichy i małomówny człowiek, który nikogo nie agitował, a tylko wierzył publicznie, wywarł wpływ, któremu nie oparł się prawie

nikt. Oczywiście znaczna część młodych „Europejczyków”, częściowo pod wpływem logiki wypadków, w części stanowiąc dawne stronnictwo „naszego biednego pana Henryka”, apostołstwa nie wymagała. Tem bardziej zaś agitacji nie wymagał gościnnie gospodarz „Szkoły Podchorążych”, który ku wielkiej swojej radości mógł jeszcze raz w życiu uściskać jej dowódcę. Tym razem stary „Abisyńczyk” przybył do „Europy” „z interesem”, ujrawszy jednak kochanego pana Mieczysława, stary szlachcic zapomniał o wszystkim i dopiero w jakie pół godziny później zaczął mu się zwierzać ze swoich trosk i kłopotów.

— Czasy waszej szkoły to był raj, a teraz jest piekło. Ze dwa tysiące „bieżeńców” pasie konie na moich łąkach, ale to już niech sobie! I kartofli im dałem. Przecież człowiek nie zwierz, żeby patrzył jak kamień na taką nędzę. Ale wczoraj przyjechały tabory. Żołnierze jak byki i wszystko im daj! Za darmo! Czy ja Potocki, czy co. Przyjechałem po żandarmów, ale to takie same złodzieje, jak i oni! Chyba już ten wasz Piłsudski przepędzi tych złodziei-socjałów.

Należy dodać, że słowo złodziei-socjałów nie było bynajmniej lapsusem w ustach kochanego wujaszka. Zdanie Proudhona „własność to kradzież” trawestował zupełnie logicznie: „kto sięga po własność jest złodziejem”. Każde naruszenie własności prywatnej stanowiło dla niego przejaw tej fatalnej doktryny. Nieraz za czasów „Podchorążówki”, wy-

rywając z rąk siostrzenic jakiś szczególnie cenny słoik konfitur, wujaszek wołał: „socjalistka, czy co?”. Czemże więc mógł być Moskał, odwieczny rabuś własności narodu (a obecnie i jego prywatnej), jak nie „socjałem” w duszy, i kimże ów tajemniczy pogromca Piłsudski, jak nie naturalnym obrońcą publicznego i prywatnego prawa własności?

Niepokoiliła więc tylko kochanego wujaszka szczupłość sił strzeleckich (chce to chce, ale czy będzie mógł), iż tylko z tej strony pragnął zainterpelować kochanego pana Mieczysława. Ale zagadnięty pan Mieczysław zmarszczył się jakoś i wykręcił delikatnie od odpowiedzi co do sił i zamiarów Piłsudskiego na powiat ihumeński.

— Ostrożna szelma, ale to dobrze — pomyślał z zadowoleniem kochany wujaszek, konstatuując, że i dziennikarz Achrem stoi za blisko i furman Antoś kręci się niepotrzebnie przy koniach.

Czatował jednak wciąż na pana Mieczysława, który stale mu się wymykał, interpelowany to przez wojowniczych „Europejczyków“, to przez splekane matki, które mu powierzały swoje najdroższe skarby. Zbliżał się bowiem, ciągle odkładany, stanowczy termin odjazdu i szereg drabiniastych kar stał od godziny przed bramą małego dworku.

Pożegnanie z chłopcami nie obyło się oczywiście bez chwil ciężkich dla pozostających. Co godzinę niemal fale taborów zatapiały ciche mia-

steczko nadrzeczne i rozchodziły się nowe, groźne wieści. Prawe skrzydło armji rosyjskiej zostało przerwane pod Święcianami. Niemieckie patrole kawaleryjskie ukazały się pod Borysowem. Mińsk miał być wzięty lada dzień. Rozstanie zapowiadało się na długo.

Cóż więc było dziwnego, że, wyprawiając swoje najdroższe pociechy, przedstawicielki i „Europy“, i „Abisynji“ starały się to i owo dopełnąć do i tak już wypchanych wozów. Wiedziały przecież dobrze, że ich bachory są i niezaradne, i niepraktyczne, mogą więc sprawić wiele kłopotu i swemu podoficerowi, i oficerowi, i może nawet „samemu temu Piłsudskiemu“. Niechże więc poczęstują swoją władzę jakąś kurką, jakimś pierniczkiem, a chociażby i sucharkami, jak Moskale ogołocą Mińsk ze wszystkiego.

A skarpetki „cieplejsze“, a ręczniki „zapasowe“, a gruszki suszone. Intendentura berezyńska była w ciągłym ruchu „dopychającym“ aż do ostatecznych granic cierpliwości końskiej i furmańskiej. Wkońcu jednak magazyny się wyczerpały i pozostał tylko cichy płacz...

Zagłuszył jednak natychmiast „szlochy-fochy“ potężny bas kochanego wujaszka... — Cichoż, baby, a tradycja to co — i rzucił się przedewszystkiem z pożegnaniem do pana Mieczysława, albowiem ten kochany człowiek, ten meteor wileński, ten rok 63-ci w 1915, był mu teraz o wiele bliższy, niż własny siostrzeniec. Miał przytem i łzy w oczach,

choć wiedział, że tym dudkom nic złego się nie stanie. Wzruszał go też może sam odlot tego stadka żórawi wędrownych, z którymi lecieć już nie mógł.

Z drugiej strony jednak zmosfera tego, co się musiało dziać w tej chwili w „koszarach”, zmosfera rabunkowej gospodarki żołdackich socjałów, w dobrach wujaszkowskiach prowadzona, nie opuszczała go ani na chwilę. Dusząc więc w potężnych barach dowództwo podchorążych, szepnął (Antośfurman był daleko, Achrema wcale nie było): — No — kiedyż tam, panie Mieczysławie, uwolnicie nas od tych carskich socjałów?

Poczem nadstawił ucha, zupełnie pewny odpowiedzi twierdzącej, niepokojąc się tylko co do terminu. Jeżeli „ten ich Piłsudski“ spóźni się o jaki miesiąc, to siana „jakby nie było“, jeżeli o dwa, to i słoma „pójdzie“... Tymczasem pan Mieczysław nachylił się do ucha wujaszkowego i szepnął cichutko: — Ja sam jestem socjalistą. — A kiedy wujaszek prawie krzyknął: — Co takiego? — pan Mieczysław doszepnął: — I Piłsudski też!

— Jezus Marja! — jęknął właściciel „koszar“, oszołomiony, przybity, zdruzgotany, nierozumiejący, jak tacy porządni ludzie mogą się trudnić tak wstrętnem rzemiosłem. A ileż to ofiar poniósł dla tego Wallenroda, ile kur, kaczek i gęsi mu narznął?... I, nie pocieszając nawet płaczących niewiast, powłókł się w stronę swoich koni, „dopychających“ przezornie trawki dziedzińca... „pocz-

ciwych zwierząt“, rządzonych tylko przez instynkty w tych okropnych czasach, kiedy mózgi ludzkie znajdowały się w stanie niepoczytalnego fermentu.

* * *

Kiedy wozy ruszyły (i nie zostały zatrzymane po ruszeniu), rozległy się ostatnie krzyki pożegnania i płacz — jedna tylko babunia nie płakała.

Nie mówiono jej „prawie nic“. Nie wtajemniczono, ażeby nie martwić staruszki, w niebezpieczne plany „meteorów wileńskich“. A jednak domyśliła się odrazu, wiedziała, „że to nie były zwykłe skauty“, ani uchodźcy, którzy od pierwszego miesiąca wojny niemal wciąż przybywali do gościnniej „Abisynji“... Powiedziała sobie sama, co to jest!

To jej życie wracało do punktu wyjścia! Rok 63-ci, rok jej młodości, wrócił raz jeszcze! Z tym samym pogodnym i cichym zachwytem wpatrywała się teraz w twarze wnucząt, jak niegdyś w oblicza braci i kuzynów, idących do „partji“. Rozumiała „wojnę“ o wiele lepiej, niż jej dzieci, niż „pokolenie kapitału“, dla którego wojna była przedewszystkiem klęską z litanji. To, co niszczyło cały plon ich młodości — jej ten plon wracał.

Tymczasem kawalkada wozów znalazła się na gościńcu. Zaraz za Niehoniczami jadący napotkali olbrzymie tabory żołnierskie, zmieszane z niemniej olbrzymiami sznurami wozów, kar, bryczek i podwód wygnańczych. Stada bydła, tabuny koni, trzody świń, owiec, furgony żołnierskie,

furmanki na trzy metry wypchane zielonemi kuferkami, obwieszane czajnikami, rondelkami, workami. Na kuferkach kobiety i dzieci zamorzone, szerniałe. Obok wozów mężczyźni, pieszo, poganiający biczyskami lub kijami szczapy końskie.

Co chwila rzeka uciekających tworzyła zapory, rozlewiska, jeziora ludzkie, przez które trzeba się było przedzierać wśród przekleństw i złorzeczeń. Pierwsze falangi tych nieszczęśliwców były jeszcze spokojne. Im dalej jednak, tem głód był większy, zdenerwowanie nędzarzy rosło, czuć było węszenie mordy. Po kilkunastu kilometrach podróży jadący musieli być świadkami straszliwej sceny samosądu. Tłum masakrował dwóch mężczyzn, podejrzanych o kradzież. Niemal w jednej chwili siekiery, koły i kamienie zmieniły ich ciała w kupę skrwawionego mięsa.

Żony półżywych ofiar zwracały się do wszystkich świadków-mężczyzn z prośbą o pomoc. Gorący podchorążowie wydobyli rewolwery, chcąc strzelać do morderców. Na szczęście udało się przerażonemu panu Mieczysławowi powstrzymać podkomendnych. Cóż mogło znaczyć kilka rewolwerów przeciwko setkom zdziczałych z głodu półzwierząt? Jeden strzał byłby wyrokiem śmierci dla wszystkich jadących.

Jakoż wkrótce niedoszli wartownicy sami omal że nie stali się ofiarą tłumów. Zastąpiły im drogę pijane bandy „taborców”, zapytując groźnie, dokąd to jada. Istotnie na tle tej rzeki wozów,

bydła i ludzi, dniem i nocą płynącej z zachodu na wschód, dziwnie wyglądała gromadka wozów, wyładowanych tak samo, jak wozy wygnańcze, ale jadących w odwrotnym kierunku. — K' Niemcam jedut, wsio Niemcam wiezut — zaczął krzyczeć jakiś pijany żołnierz, nie słuchając tłumaczeń podróżnych. Były to iskry, rzucane na proch. Bardzo łatwo podejrzeni wędrowcy mogli skończyć tak, jak tamtych dwóch. Na szczęście jechał z nimi stary Czaszyński, szlachcic zaściankowy, pański zausznik, lizus i wyga, jakich mało, przemycający też syna „do pańskiego wojska” („żeby choć za młodu z panami pobyl”). Temu dopiero udało się wmówić napastnikom, że „państwo” wybrali się na odpust, aż do miasteczka Smiłowicz, że, jak ofiarowawszy się, tak i jadą pomodlić się na intencję oręza rosyjskiego, potem, sprzedawszy „co niebądź”, uciekać przed Niemcem, choć do samej Syberji.

Za Ihumeniem sytuacja uległa nowej zmianie. Harda, zdziczała, rozbezstwiona horda ludzka ustąpiła miejsca wielkiej ciszy śmierci. „Straże przednie” nieskończonych rzesz wygnańczych składały się z najsilniejszych. „Armja” z mających jeszcze nadzieję dostania się do niewygrzebanych kartofli i niewyżebanego kawałka chleba. Ale tym, którzy szli w arjergardzie tej hordy Wandalów z przymusu, nie pozostawało literalnie nic. Więc i umierali tysiącami: Mazury, Nadwiślanie z prawego brzegu, Grodzieńczycy, Poleszucy, Mińszczanie...

Marły zwłaszcza dzieci. Maleństwa z głodu. Starsze z dyzenterji i wycieńczenia. Tysiące małych i długacnych kostek ręcznych, powleczonej skórą, wyciągały się ku wozom z niewymawianą prośbą o chleb. Tysiące niespokojnych, zazdrośnych lśniń ocznych śledziły instynktem torturowanych zwierzątek ruch wyrzucanego z wozów chleba. Wówczas mordowały się tak, jak ich rodzice, biły się, gryzły, deptały najslabsze i najmłodsze, aż dopóki chleb rzucony nie skruszył się i nie zmarniał, nie nasyciwszy nikogo...

DRUGIE PIĘTRO PAŃSTEWKA.

Rachuby i przewidywania „Pierwszej Litewskiej Szkoły Podchorążych” nie sprawdziły się. Niemal zaraz po przybyciu karawany do Mińska, lawa niemiecka zastygła w okolicach Mołodeczna. Zaledwie tylko panu Mieczysławowi i kilku podchorążym-wileńczykom udało się „dać się” zagarnąć Niemcom w jakiejś wiosce i zostać po tamtej stronie. Reszta ugrzęzła w Mińsku.

Nikt nie brał tego do serca, największe bowiem autorytety militarne przypuszczały, że „pieredyszka jest tylko chwilowa” i że na wiosnę Niemcy dojdą do Dniepru. Tymczasem zaś, ponieważ kasa odciętych „podchorążaków” łącznie wynosiła niecałe siedem rubli, eks-prezes Lipski musiał pierwszy raz w życiu przestać być „państwkiem”, a stać się „pokoleniem kapitału”. Poszedł więc

do pani Malinowskiej, matki eks-prezesa Bratniej Pomocy, Janka Malinowskiego, przepytać się, czy nie wakuje gdzieś miejsce woźnego. Wobec olbrzymiego bowiem natłoku inteligencji uchodźczej z Królestwa, na każdą przemizerną posadzinę pchały się dziesiątki kandydatów i o innej trudno było marzyć.

Atoli dobra pani Malinowska powiedziała mu, że go właśnie zamierza uczynić profesorem języka polskiego i historii na pierwszej polskiej pensji żeńskiej, dopiero co zorganizowanej. Na skromne pytanie olśnionego kandydata, jakie właściwie on, maturzysta szkoły rosyjskiej, ma potemu kwalifikacje, pani Malinowska zaznaczyła z oburzeniem, że „jego zasługi w stowarzyszeniach młodzieży są przecież powszechnie znane”. „Podchorąży” nie oponował.

Zresztą ta pierwsza jaskółka szkolna, na którą uzyskano zezwolenie po niezliczonych zabiegach i staraniach, była i z zewnątrz i wewnątrz jeszcze bardzo, bardzo betlejemską. Gmach szkolny lilipuciał do rozmiarów małego, piętrowego domku, a i to jeszcze uważano za wielkie szczęście wobec niebywałego zalewu miasta przyfrontowego przez szpitale i instytucje wojenne. W małej ciupce, z której byłaby na pewno niezadowolona warszawska kucharka, mieściła się cała klasa 7-ma, nucąc prawie głośno na lekcjach profesora Jerzego „pokoik taki mały, dwa kroki wszereż i wzdłuż”... Nieznośne dziewczęta.

A jednak ten mały domek, tryskający entuzjazmem, życiem i gwarem, domek, chrzczony

w dzień przez ledwo widzialne „komary” z czar-
nym krzyżem, a w nocy przez zeppeliny, był naj-
ważniejszą zdobyczą narodową tego roku. Każdy
się cieszył z tego drugiego piętra „państwka”,
a benjaminek społeczny rósł jak na drożdżach,
przybywało mu uczenic, książek, pomocy nauko-
wych i sił pedagogicznych o cenzusie o wiele
wyższym, niż Erykowa „Sekcja Literacka”.

W następnym więc roku szkolnym eks-prezes
sam przyszedł do wniosku, że nie jest właściwym
człowiekiem na właściwym miejscu i pojechał na
uniwerek do Kijowa. Przewidywania odciętych
podchorążaków nie sprawdziły się. Linja niemiecka
nie ruszała na Dniepr. Przeciwnie, poczynano
mówić o ofensywie rosyjskiej. Z za kordonu nikt nie
dawał znaku życia. Podkomendni więc pana Mieczys-
ława byli całkowicie pozostawieni własnym siłom.

W Kijowie eks-prezes oddał się dawnej
pracy państwkowej, dziś już półjawnej, mile ude-
rzony jej rozmachem i potęgą. Praca polska na
Ukrainie była już naprawdę atomem państwa,
a raczej prawdziwym państwem bez ziemi. Było
tam nawet wojsko, stacjonowała bowiem I-a dy-
wizja strzelców i zakładano polski uniwersytet
prywatny. Uderzało bogactwo i tężyzna zrzeszeń,
a przede wszystkim wspaniale rozwinięta sieć
szkolna, obejmująca niemal każde skupienie pol-
skiej ludności.

Sam Kijów wrzał niesamowitem, gorączkowym
życiem wojny. Moc uchodźców, przybyszy, waga-

bundów różnych ras, celów i sposobów do życia zaludniała stary gród naddnieprzański. Filo-rusy i filo-lisy z pod „Lwowi”. Zrujnowani koloniści niemieccy z Wołynia. „Bieżeńcy” z różnych prowincyj. Misje aljanckie, czuwające coraz gorliwiej nad cnotą coraz mniej pewnej sojusznicy. Zwolnieni na słowo oficerowie czescy. Dekownicy wszechrosyjscy i mniejszościowi. Chmara kokotek różnych ufarbowań i stanu zdrowia. Wreszcie całe falangi patryotów kawiarnianych, oczekujących z utęsknieniem, kiedy to „jużnyj front” państw centralnych runie pod naciskiem ciał mużyckich i artylerji angielskiej.

Coraz głośniejsze półszepty mówiły o pokoju, i coraz liczniejsze fakty o wojnie. Już niemal wszyscy mężczyźni bez protekcji znajdowali się na pierwszej linii frontu. Dwunastomiljonowa masa ludzka szykowała się do skoku lwa. Aeroplany, francuskie i angielskie baterje szły masami. Zachwyty prasowe nad pomocą ze strony „gieroj-skich sojuźników” sąsiadowały z Rasputinem. Car chwiał się między pokojem i wojną, i zataczał się, jak „gorki pijanica”, ster rządu.

Atmosfera była parna, ciężka, zapowiadająca zmiany, niespokojna. Wojna szła do przełomu. Coś musiało się stać! Coś się stawało.—Ale co będzie, myślał Jerzy—jeżeli odrębny pokój niemiecko-rosyjski zakończy wojnę tylko nowym podziałem Polski? „Państwko“ nie może się przecież zhańbić nie-oporem? Rzuci się na dwa państwa i...

Na mękę tych myśli, które oplątywały mózgi coraz natarczywiej, coraz nieubłaganiej, szukał opjum w pracy... A i było w czem szukać zapomnienia. Energja południowców, olbrzymi kapitał Polaków ukraińskich, motylkowatość żyć ludzkich, żyć, które w tych krwawych czasach wybuchały i gasły, jak plany polityczne Petersburga, żyć, które chciały mieć potomstwo, pomnik litery na marmurze Wielkiej Epoki — wszystko to rzucało setki ludom nieznanym powolnych flegmatycznej „Abisynji”. A im szybciej wirowało koło rozpędowe pracy polskiej, tem więcej ust powtarzało na Ukrainie:

— Od powietrza, głodu i pokoju zachowaj nas, Panie!

I Pan Bóg wysłuchał prośb „państewka”. Pewnego wieczoru, podczas przechadzki na jakimś deptaku czy w parku, Lipski ujrzał jakiś mały tłumik ludzki, czytający olbrzymi afisz.

— Co to? — zapytał...

— A nic takiego, ot piszą, że „rewolucja” — odrzekł cichawo jakiś jegomość.

WINO HISTORJI.

Niezliczone orkiestry pułków grają Marsyljanke! Dziesiątki tysięcy głosów ludzkich podchwytują nieśmiertelną pieśń Romanów, fałszują, zesławiańszczają, robią z czynu frazes... Ale pierwszy raz śpiewa tłum pieśń tę (coś kradzonego, jak zwykle) bez akompanjamentu salw i tętentu kopyt

kozackich. Strach umarł. Źródła strachu opanowane. Jeszcze nikt nie wie dobrze, co się stało, co się ma zmienić i kiedy, ale każdy wie, że dziś wolno to, czego wczoraj było nie wolno. Pełnemi piersiami śpiewa więc tłum pieśń romańską. Jak gromy, huczą fale muzyczno-śpiewne w kamiennych wąwozach ulicznych. Idą z tym śpiewem stowarzyszenia-płody jawnych i tajnych „państewek” ukraińskich, polskich, czeskich, syjonistycznych, tworzonych w „epoce ładu i porządku”. Jednodniowa „rewolucja kijowska” pozwala im przejść się po ulicy, przepisując je na własny rachunek. We wzorowym jeszcze ładzie i porządku szaleć zaczyna rabunek psychiczny.

Kolejno zbliża się i pochód polski. Olbrzymi amarant z królewskim ptakiem gór, widzialny zdaleka, chwieje się nad niewidzialną jeszcze masą idących. Kilka chwil i oto przychodzi najstarszy kapitał starego życia! Ogłuszający huragan braw wybucha wśród mas! — Da zdrowstwujet Rewolucja!! Da zdrowstwujet Polska! — ryczą tłumy. — Da zdrowstwujet Polska Jedinaja i Niedielimaja!... — woła obok Jerzego jakiś Rosjanin i płacze ze wzruszenia.

Cywile przeszli. Ze zdumieniem dostrzega tłum uliczny wynurzające się z za pochyłości bagnety piechoty. Jakto, już?! Tak! To już i wojsko. To dywizja strzelecka, oplwana, bezczeszczona przez plemiona rozsądnych, bierze udział w pierwszych publicznych manewrach „państewka”. Eskplozja braw

wita upiór starego reżymu. — Da zdrawstwujet Rewolucja, da zdrawstwujet Polska!—krzyczy tłum. I znów ten sam głos starego Rosjanina powtarza uparcie: — Jedinaja i niedielimaja!

Za strzelcami idą pułki mołojców, piękny kwiat — las trzcin ludzkich, wysokich, czarnowłosych, smagłolicych. ...Potem wielkoludy z nad Wołgi. Potem już czerwoni kozacy dońscy, ani więcej czerwoni, ani mniej dzicy, niż wczoraj, ale witani taką samą porcją braw, jak i inne wojska. Za stadem byłych katów defilują związki zawodowe robotnicze ze śpiewem—„My żertwoju pali”...— Potem jeszcze jakieś związki i stowarzyszenia, które spóźniły się na pochód. Jeszcze jakieś zadyszane ósemki i czwórki... i tłum zwiiera się na środku jezdni w jeden nurt szarokolorowy, zasilany dopływami z każdej ulicy.

Nazajutrz o g. 10-ej z rana święto tylko polskie t. j. Dywizji I-ej. Pierwsza msza polowa. Dobrze było jednak wiedzieć naprzód, że to żołnierz polski, choć skóra ruska... szare szynele, czapki rosyjskie na zbitym murze ciał. Tylko lśnienie bagnetów urozmaica nieco kwadrat szarzyzny. Po wielkiem święcie wolności, pełnem sztandarów, kolorów, parad, mów, bankietów i krzyków, dziwnie skromnie, ubożuchno i prosto wygląda ta „armja“ maleńka, rzucona jak nieduża szara plama na jasno-seledynową ruń murawy wczesno-wiosennej. Na szczęście tam, gdzie stał ołtarz ze zwykłych, białych, prostych desek sosnowych, całkiem tutej-

szych, jak ta armja tutejsza, był niemiecki wzgórek, i ktoś spragniony kolorów mógł widzieć kilku księży w uroczystem, niedzielnem złocie ornatów. Wkrótce, nad kwadratem rosyjskich mundurów i złotym bukietem szat kościelnych polskiej wiary, idą słowa pierwszej polskiej komendy: „Prezentuj broń!“... i cichy szmer przebiega tłum, otaczający wzgórze.

A tłum to składkowy, uzbierany, utkany z najprzeróżniejszych gatunków ludzkich. Stoi gdzieś przyciśnięta do szpalerów żołnierskich elita polskich „dziesięciu tysięcy“ i wygnańcza bida z nędzą z Wołynia, Podola i ta, co aż „ta co“, z pod samego Lwowa. Zruszczeni polaczkowie z przedmieść kijowskich, którym w spadku po Polsce tylko „ski“ zostały. Studenci i uczniowie Polacy ze szkół kijowskich. Skauci. Robotnicy ze stowarzyszeń polskich. Jeńcy Słowianie z obozów jeńców, ciekawi obaczyć, co się to dzieje u Polaków. Oficerowie czescy. Delegacje Rosjan i Ukraińców. Gapie zwyczajni i przekupki z Darnicy, ziewające ze znudzenia, jak hrabiny, bo już dość im było „tych manifestów i manifestów“.

Każdy z tego bractwa wiedział coś niecoś o różnych obiecankach, czynionych „Polsze“. Każdy czytał przed paru dniami ukaz Rady Delegatów Żołnierskich i Robotniczych, proklamujący niepodległość Polski. Ale to dopiero dziś, w niedzielę, o 11-ej z rana, odbywa się w duszy tłumy półóg tego państwa. — „Wojsko polskie — Polska“ —

myśli tłum i klęka na odgłos dzwonek, zwiastujących ofiarę krwawą i niekrwawą...

Po jakiejś niedługiej chwili, pełnej niesłyszalnych słów łacińskich i ledwie dosłyszalnych świętań dzwonka, wewnątrz owego kwadratu i wianuszka z tłumy jakaś ledwie widzialna dotąd postać nieznanego księdza poczyną się wywyższać i rość nad tłumem i nad wojskiem. Jeszcze chwilę panuje w milczeniu ten przygodny monarcha tłumy. Aż oto głos o rosnącej wciąż skali tonu, głos przepyszny, obejmujący nieprawdopodobnie wielki krąg powietrzny, poczyną rzucać słowa znane, słowa wstępu do podręcznika historii, słowa, których ani zmienić, ani przeinaczyć nie można, i czyni z tych rzeczy powszechnych, rzeczy tysiąc razy słyszanych, jeszcze jeden rozdział Ewangelji.

— ...Chwilami wydaje mi się, że to sen — płynie ku słuchaczom głos nieznanego księdza — wydaje mi się, że to mara senna, a nie mur żołnierski stoi wokół ołtarzy pańskich. Tu, tu u stóp Złotej Bramy! Na szlaku Chrobrych i Witoldów! Na gościńcu walk heroiczych w osłonie chrześcijańskiej i niewdzięcznej Europy!

— Jesteście mało liczni, chociaż do wielkiego należycie narodu. Jak malutka szara wysepka, stoicie wśród potopu mężów zbrojnych, który zalewa świat. Ubożuchni jesteście, jak owo Miejsce Święte, w którym przyszedł na świat Pan. Ale mieszka w was tak samo owo Dzieciątko, któremu

na imię Idea! I oto kiedy na Liczbę Germanów idzie Liczba trzech części świata, i w proch się obraca nieprzeliczalna siła Rosji — wasze małe ziarenko rośnie, jak w kolebeczce, o której zapomniał huragan.

...Aż rzeknie Pan, i minie zło, jakie panuje nad światem. I zostanie pole bez oraczy, ale i bez stróży oraczowych. Nadejdzie czas, kiedy Historia wam krzyknie, że czas nadszedł, a czas będzie was prosił i zaklinał, aby się śpieszyć, bo zło może wrócić z półdrogi, jako fale morza Czerwonego, co się zwały za powróconemi z niewoli egipskiej...

A któż to wówczas pójdzie pierwszy na to pole krwawe i puste? Pójdiesz Ty, żołnierzyku szareńki. Pójdiesz Ty, młodzieży kochana. I zdobywać będziesz miasto po mieście, wioskę po wiosce, mieczem, kielnią i pługiem. Nim oto rzeknie Chrystus Pan do Dzieciątka waszego:

— Młodzieńcze! Tobie mówię wstań!

NOWY CZTERNASTY.

Upłynęło kilka tygodni od ostatniego pochodu i... ostatniego złudzenia. Wino historii wyparowało nadspodziewanie szybko. Na dzień pozostało trochę mętnej lury. Nikt już bez wstrętu nie mógł słuchać Marsyljanki, a czerwony kolor obrzydł najbardziej czerwonym usposobieniom. Rewolucja była skończona. Wypadało zacząć budować „Świat Nowy”.

Ale ów syn pierworodny Rewolucji nie zjawiał się wcale, chociaż na tylu wiecach zapowiadało jego przyjście. Dano mu zresztą na bagaż tyle nadziei różnorodnych, tyle karier błyskawicznych, tyle nieszczęść zażegnanych, tyle szczęść rozdanych bez liczby i bez zapłaty, że może, gdyby zjawił się nawet w całej młodości i krasie prymawery, powiedzianoby o nim: „Ech, to tylko to!?”

Zato zbliżał się szybko stary znajomy — rok 1914-sty przetłumaczony na walkę klas. W miastach pracowały już karabiny maszynowe. Czerwone koguty błąkały się wśród cichych Betleemów białoruskich, poleskich torfowisk i lasów dnieprzańskich. Wszędzie uwijali się agitatorzy, przypominając dzisiejszym silnym — krzywdy wczorajsze. Pojedyncze wybuchy eksplozji powszechnej dostojni społecznicy, specjaliści od żłobków dzieciennych i innych napraw grzechów staro-kawalerskich — usiłowali zażegnać w dalszym ciągu alkoholem słów. W Petersburgu szykowano nawet „wielką ofensywę Kiereńskiego”, tem różniącą się od wszystkich dotychczasowych, że każdy o niej wiedział i nikt w nią nie wierzył. Tak się bawiono, nim nie nadszedł w któryś dzień paraliż 6-jej części świata.

Olbrzymia masa „selanów” ruszyła od zniszczonego warsztatu wojny do chat. Był to nowy pochód Atylli, bez Atylli! W mgnieniu oka olbrzymie państwo carów rozpadło się na tysiące gmin-

państwerek, rządzonych przez tysiące Iwanów Groźnych. Znikł cień wszelkiego postępu. Najczarniejsza reakcja chłopskiej barbarji w ciągu jednego miesiąca cofnęła Rosję do czasów przed-Piotrowych. Nowy Świat padł — utkany z tysiąca nieszczęść! Piekło zeszło zamiast raj. Histerja zamiast prawa. Wybryk zamiast konsekwencji. Samowola zamiast woli! Pastwienie się — zamiast śmierci!!

Ten największy na świecie pochód Hunnów musiał wywołać reakcję i tu, i tam. Młodzież klas posiadających zerwała z moralnością zarzynanych kurcząt. Potrzeba hierarchji, niezbędnej do walki, zaczęła arystokratyzować równinę proletarjatu. Poczęły się tam załążki praw i zwyczajów rewolucyjnych. Słabizny zaczęły być tam, gdzie wpierw nie było nic. Straszliwa, okrutna wojna domowa jąła wchłaniać i asymilować stokroć dziksze despotcje państwerek chłopskich. Anarchja poczęła tonąć w wojnie. Morderstwo w terrorze.

Taki sam dobroczynny wpływ walki odrodził społeczeństwo polskie. Tak samo ginął w niem typ biernych ofiar epidemji socjalnej, pośredników od zgód niemożliwych, wielkich i małych Kiereńskich, producentów alkoholu słów, nieodpowiedzialnych przyémiewaczy usług realnych, sądów trzeźwych, kolorów szarych. Ginął wspaśniały paw historii, królujący na pochodach, estradach, ambonach i bankietach. Nowa epoka historyczna rodziła się w strasznych bólach porodowych z bagnetem, torturą, pożarem, jako no-

żem chirurgicznym. Wiek Ruryka wracał do Rosji. Wiek Zygmunta III-go Wazy zmartwychwstawał w Polsce.

WIECZÓR KWIETNIOWY.

Był ładny i zupełnie aspołeczny wieczór kwietniowy, kiedy Jerzy Lipski otrzymał zlecenie wizytacji prac młodzieży w Białej Cerkwi, Żytomierzu i t. d. Około godziny 6-ej wagon z młodym wizytatorem, odezwaniami we wszelkich językach i agitatorami wszelakich narodowości, ruszył flegmatycznie ze stacji. Wkrótce cały pociąg, ugarniowany od dachów do buforów bezrobotnem żołnierstwem, znikł wśród białych bukietów sadnych przedmieść kijowskich, ciągnąc za sobą chmury płatków wiśniowych. Całe masy tych białych towarzyszy podróży czerwonego kurjera osiadły na czarnych główkach dziewcząt ukraińskich, szczerzących białe ząbki do „czerwonych kawalerów“. Szczyty ścienne soboru Św. Włodzimierza wznosiły nad szarzyzną dachów, dymów i drutów białe owale, kryte łuską złotych blach. Czarne jak kontrrewolucja ziemie stepowe przekłuwały zielone igły runi i traw... „Towarzysz — wiosna“ szła od morza Czarnego do tego przepięknego ogrodu ze złotem cerkwi, wiszącym nad słupami dymów, szła, buntując młodzież przeciwko rewolucji, wyciągając ją z mityngów różnych, czerwonych i białych, na spacer *en deux*, każąc jej unikać placów miejskich i sal dusznych, gdzie

gardła chrypły od krzyków: — „Da zdrowstwujeť Rewolucja“; — gdzie katarynki grały: — „My źer-twoju pali“.

Towarysz-wiosna nie oszczędza i mniejszości narodowych na Ukrainie. „Wizytator“ Lipski czuje się też jakoś nieswój. Cierpi na atrofję odczucia wiosny, prawdziwej, zawsze pogańskiej wiosny, takiej samej, jak wówczas kiedy drewniany bo-żek Polan stał na dniewnym brzegu. Chciałby pozbyć się gdzieś wiecznej myśli o obowiązku, myśli nie opuszczającej go ani w dzień, ani w nocy, myśli towarzyszącej mu w niedzielę i w dzień powszedni, na przechadzkach, w teatrze, kinie, na mi-łych gruchaniach *en de ux*. Jakże byłby szczęśliwy, gdyby jakiś lekarz duchowy usunął z jego mózgu ten gwóźdź-bakcył epidemji idei!

A jednak nawet towarzysz-wiosna była w tym wypadku bezsilna. Cały wagon dyskutował za-wzięcie najprzeróżniejsze „pryncypja“ socjalne. Epidemja idei szalała. Cudny seledyn ziemi stepo-wych i białe bukiety wiśniane spóźnionej wiosny tegorocznej mijały, niedostrzegane przez młodzież. Wkrótce i Jerzy odwrócił się plecami do okna i zaczął słuchać. Jacyś dwaj oficerowie Polacy, porucznik i kapitan, dzielili się wrażeniami ze świeżo odbytego w Petersburgu zjazdu wojsko-wych-Polaków.

— At, co tu gadać, kiedy niema o czem mó-wić — opowiadał kapitan z widocznem przygnę-bieniem. — Konjunktury militarne, korpus, armja!

Wszystko djabli wzięli! Zmarnowane okazje! Same zmarnowane okazje!

— Jaktó — zaprotestował gorąco porucznik. — Przecież prasa pisze zupełnie co innego.

— Ach, panie, i pan jeszcze wierzy prasie — oburzył się kapitan. — Pan tam nie był, a ja byłem. Pewnie, że początek, jak każdy polski początek, zapowiadał się świetnie. Zapał ogromny! Nadzieje kolosalne! Obliczamy, że 300.000 bagnatów zbierze się, jak nic. Trzysta tysięcy! Pomyśl pan tylko! Teraz, kiedy Rosję biorą djabli, a Niemców Amerykanie! Więc sama logika dyktuje: pocóż u licha zjeżdżać się, poco sejmikować? Robić wojsko i basta! Ale lewica chce, ażeby było demokratycznie. A pał was djabli, myślę sobie, niechże już będzie i demokracja, byleby tylko była armja! A zatem zjeżdżamy się posejmikować. Pompa niesłychana! Chorągwie! Hymny! W lożach posłowie Ententy. Witają nas, jak przedstawicielei niezależnego państwa, jak aljantów, a nie jak poddanych rosyjskich. Temperatura, jak na równiku. Lewica coś tam knuje, ale my—jak mur! Rewolucja przygotowana! Buzię na kłódkę! Tworzyć armję i kwita!

Raptem jakiś drań stawia wniosek o otwarciu dyskusji. My contra, a tu ryk, jakby się sufit walił! Wniosek o otwarciu dyskusji przechodzi. Zapisuje się coś stukilkudziesięciu mówców. Jezus Marja! Mówię panu, panie poruczniku, takiej Wiśły słów jeschcem, jak żyję, nie słyszał. W obliczu

całego świata koalitionów, konjunktur, na które się czekało stopięćdziesiąt lat, Polacy zaczynają gadać, gadać. Francuzi, Anglicy słuchają zdziwieni. O czem to ci potomkowie żołnierzy napoleońskich tak rajcują? Moskale zacierają ręce. Pogadają sobie, Polaczkowie, i pójdą, a „Rosija ostanietsia jedina i niedielimaja”. Może pan sobie łatwo wyobrazić, co to była za dyskusja. Gada przeciw tworzeniu armji jakiś Leszczyński, czy Dzierżyński, teraz wielka figura w Moskwie. Mój sąsiad wyciąga rewolwer i najspokojniej mierzy w niego. Ja go za rękę. Bac! Strzał idzie w górę. Co pan robi, krzyczę, toż człowiekabyś zabił. — Psa a nie człowieka — odpowiada tamten. Ledwie go wyrzucili za drzwi, a już nowe bójki. Krzyk, hałas, piekło! Nareszcie po kilku dobach takiej dzienno-nocnej gadaniny, z wielkiej góry rodzi się mysz: „Polska Siła Zbrojna”, żeby to i Bogu była świeczka, i djabłu ogarek. Zapal młodzieży ostygł. Kłótnie przeszły na społeczeństwo i, co gorzej, na żołnierzy. Rząd Tymczasowy poczuł naszą słabość i przeszkadza, jak może. Ach, panie!

— I pan kapitan przypuszcza, że tego się już nie da odrobić? — zapytał z akcentem smutku w głosie nieznajomy porucznik.

— Nie! Może jestem pesymistą, ale nie! Mój panie! Nietylko na giełdzie, ale i w historii konjunktura — to wszystko. Nasze Antki nie mają przecież rachunków bieżących, ażeby czekać spokojnie, nim inteligencja się wygada. Cały więc zdro-

wy polski element, co tkwi jeszcze w carskiem próchnie, zaczyna się rozłazić na cztery strony, bo jeść trzeba. Coś tam teraz podobno Radecki z Dowborem kleją na Białej Rusi. Ale czy skleją co większego? No, już nie mówię, że trzysta, ale jakieś sto, czy dwieście tysięcy ludzi mogłoby zająć kawał kraju i bronić się do pomocy Boskiej i koalicji, teraz, kiedy Rosja jest nieczyja. Ale jakimuś maleństwu — to czy Szwab, czy Moskal łeb ukręci. Tak, tak, panie poruczniku! Była chwila, żeśmy się mogli odrazu stać państwem!...

Lipski nie dosłyszał już dalszego ciągu tej ciekawej rozmowy, gdyż pociąg stanął na dworcu białocerkiewskim. Idąc z dworca, myślał o słowach nieznanego kapitana. Znowu troska o przyszłość, troska o budującą się Łódź, miotaną w najsprzeczniejszych kierunkach przez fale drugiej burzy, która nadchodziła, kto wie, może jeszcze krwawszej, jeszcze okropniejszej — wróciła na dawne miejsce.

Ale w małym miasteczku, tonącym w olbrzymich, wonnych, ciepłych sadach, recydywa wiosny-kontrrewolucji przyszła z podwójną siłą. Ulice, pełne rozwrzeszczanych band, wepchnęły go wkrótce w jakieś boczne uliczki, pełne młodych parok i głosów słowicznych. Przy jakimś niskim płotku zeszedł śliczne, młodziutkie dziewczątko ukraińskie na schadzce z pięknym mołojcem w wyszywanej koszuli, smukłym, zgrabnym, wysokim. Dziewczyna podała mu usta, rozchylając

kwitnące gałęzie sadne i oglądając się trwożliwie na śpiący domek, który cichutko stał za nią... cicho i dyskretnie minął sielankę. Rewolta wiosny pchała go coraz dalej i dalej, aż do ostatniej nuty Marsyljanki, śpiewanej w ostatnim szynku, i pierwszych pól stepowych, ciemnych, ciepłych i pustych. Nieprzeparta pasja życia dla siebie targnęła nim nagle jak huragan drzewkiem, zabłąkanem wśród stepów. „Zmarnowane okazje! Same zmarnowane okazje!” Brzmiał w uszach wyrok kapitana na ich świat. „Jestem młody! Mam prawo żyć tak, jak Rosjanie, jak Żydzi, jak Ukraińcy, którzy też nie mają „państwa”. Jak moi koledzy wreszcie, którzy...” „Była chwila, kiedy mogliśmy się stać „państwem” — mówił nieznany kapitan. — „Bądź młody, kochaj, żyj!” Buntowała kontr-rewolucja wiosny. Ileżby dał za myśl wolną od trosk nieswoich i za tę noc, wolną od samotności!

* * *

Nazajutrz rano punktualnie o 6-ej wizytował już zbiórkę skautowską. Jakieś milutkie dziewczątko, w szesnastej wiośnie i zielonym kapelusiku, wpuściło go do ogródka, dobrze osłoniętego wysokimi sztachetami. W parę sekund rozległ się energiczny dzwonek koło furtki ogrodowej i na ścieżce, wysypanej żółtym piaskiem, ukazał się sam druh drużynowy.

Całe młodociane zgromadzenie przybrało natychmiast postawę na baczność. Kilka dziesiątków

ócz zatopiło w młodym przełożonym taki wzrok, jakby to był ich tatuś czy mamusia. Wizytatora uderzył wyraz tych spojrzeń, pozbawionych buntu i młodości, pełnych naiwnego zaufania i bezgranicznego posłuszeństwa.

Upłynęło kilka tygodni, zanim wizytacja prawo-brzeżnych miasteczek ukraińskich została skończona i Lipski „zaczął wracać” do Kijowa. Już na dworcu w Żytomierzu uderzyła go niesłychana zmiana w pulsie arteryj kolejowych, które mi-ljonowe masy zmobilizowanych wracały do domu. Dworzec żytomierski, wypełniony chmarą dezert-terów, stawał się co kilka minut objektem szturm nowych mas. Nieomal że pod nogami szturmują-cych była druga podłoga z błota, kału, „siemieczek” i ciał śpiących, zawieszonych nędzarzy, obojętnych na razy obcasów, krzyki, bójki i przekleństwa. Steroryzowana służba kolejowa nie mogła prze-ciwdziałać niszczeniu środków swojej egzystencji przez masę, wlewającą się jak żywioł wodny do wnętrza pociągu, bez względu na jego obładowanie i bezpieczeństwo jadących.

A przecież jeszcze tak niedawno! Jeszcze przed paru miesiącami... pułki pięknych mołoj-ców, pięknie ubranych, pełnych brawury i rado-ści życia szły przez ulice Kijowa... Szły przy dźwiękach orkiestr, wśród szpalerów ludzkich i kwiatów, rzucanych przez dziewczęta. Potem w godzinach urlopów, żołnierze, salutując, uśmie-chali się do swoich oficerów, a ci odpowiadali im

tym samym uśmiechem. Kraj i armja były jedną rodziną. Skądże ta zmiana tak nagle?...

Ściany, sztachety, kioski do ogłoszeń zdradzały przyczyny tych zmian. Czerwone, zielone, żółte, niebieskie „precze”, rozplakatowane staranną, dbałą ręką, były jedynym śladem „cywilizacji” w powszechnym chaosie i zniszczeniu. Cały szereg wielobarwnych na wiosnę trucizn: „Precz z oficerami”, „Nie salutować oficerów”, „Precz z oficerską reakcją” — były jedyną ozdobą ohydnych, plugawych ścian żytomierskiego dworca. Tysiące takich „preczów” podpalały na wszystkich dworcach krew zdziczałą w czasie pierwszej wojny. Ale była to dopiero teoria.

Na jednej z większych stacyj, w drodze z Żytomierza do Kijowa, Lipski, uczepiony buforu i dwóch brodaczy z „centralnych gubernij”, zobaczył „realizację preczów”. Wielotysięczny tłum łazęgów mordował grupkę oficerów. Jadący nie widzieli początku zajścia, tylko masę w konwulsji, strzały i kilka ciał napastników. Oficerowie wzięli ze sobą swój podwójny żołd polowy.

Cały dach wagonu Jerzego zaczął oczywiście żywo komentować, bądź co bądź niecodzienny jeszcze w tych czasach, wypadek („a dlaczegoż głupcy nie dali zerwać szlif, z tłumem nie poradzisz, choć ty i oficer“). I w jego duszy, jak i w duszach pozostałych pasażerów, narastał komentarz do wypadku.

Przypomniał sobie „swoją” Rewolucję. „Rewo-

lucję” z lat dzieciennych, którą, jak każdy Polak, wypieścił, wyapoteozował i ukochał. Rewolucję staroświecką, naiwną i czystą... Barykady na ulicach! Szarże kozackie, rozbijane o piersi robotników i studentów. Zwycięstwa nieuzbrojonych garstek komunardów paryskich nad „siepaczami” Trzeciej Republiki. Pieśń nowego Rouget’a de Lisle. Cha! Cha! Cha!...

...Szmaty ludzkie ze szmatami na ulicach! Wzmrożona konsumpcja alkoholu z kartofli i... histerji! Literatura „preczów” i mord kilku ludzi honoru przez tysiące!

Ale oni, oni? „Państwko?” Nie byłóż sprzymierzeńcem twórców tej rewolucji-rzeczywistości. Czyż wspólna walka z caratem nie uczyniła ich koalitantami z przymusu? W obliczu konjunktur, na które się czekało 150 lat, zaczynamy gadać, gadać, gadać... Dźwięczą mu w uszach słowa nieznanego kapitana. Dlaczego ludzie pana Mieczysława, którzy zużyli tyle sił na maleńki obóz skautowski owej „I-iej Litewskiej Szkoły Podchorążych”, nie chcą wyzyskać prawdopodobnie pomyślnych konjunktur nieobliczalnej wojny? Dlaczego wolą dziecinadę, niż wiek męski, „państwko”, niż państwo?

Czyż miłość dla procesu tworzenia jest słabsza u nich, niż dynamit idei?!

Pragnęli niszczyć teraz, kiedy życie niewoli niszczyło się samo przez się. Woleli to, niż budowanie własnej armji z ludźmi, których idee były im obce. Byli w zgodzie z tradycją i historją. W ciągu

całego wieku odkryć i wynalazków, gdzie tylko rozpoczynało się jakieś niszczenie, tam zawsze „gratis” stawali Polacy. W tradycji czci dla niszczenia, w bluźnierstwie Mickiewicza „o świętem dziele zniszczenia”, w psychozie niewolnika, nienawidzącego cudzej twórczości z braku własnej — Jerzy czuł się za całe swoje pokolenie półkompromisu spółnikiem zbrodni małej stacyjki. Ale jednocześnie czuł z radością, że rozkłada się i ginie wśród najmłodszych — wiek francuskich kondotjerów, rabujących Europę do spółki z polskimi sprzymierzeńcami, że niknie pod naciskiem rzeczywistości apoteoza płacht czerwonych buntu i zbrodni! Przypomniał sobie wzrok tych dzieci z Białej Cerkwi, wzrok idący od wolności ku ograniczeniom, od równości ku hierarchji. Wzrok krzyżowców „z Krucjaty Dzieci”, chorych na epidemję idei!

OFENSYWA REWOLUCYJNA.

Bataljon, w którym służył porucznik Bolesław Cholewo, syn pułkownika Jego Cesarskiej Mości Mikołaja II-go i prawnuk majora Jego Cesarskiej Mości Napoleona I-go, dość późno dowiedział się o rewolucji i swobodzie. Podwładni bezpośredni „porucznika dwóch cesarzy” nie dowiedzieli się o tem nigdy. Porucznik zbił na kwaśne jabłko pierwszego kolportera czerwonej bibuły, który się przedostał na teren kompanji, i odtąd wszelkie papierzyska poczęły same omijać kilka hektarów

starego reżymu, nietkniętych wśród czerwieniącej z dnia na dzień Rosji.

Ten nieostrożny krok młodego oficera nie był wynikiem jakiejś specjalnej animozji do nowego ustroju, ale raczej zasadniczym nieporozumieniem. Poprostu młody oficer, odcięty od świata i ludzi, potraktował odezwy rewolucyjne, jako prowokację niemiecką. Potem, kiedy już odczuł, że jednak coś w tem jest, postanowił utrzymać wszystko po dawnemu, aż do wyjaśnienia sytuacji. Mijały jednak całe tygodnie i miesiące, a sytuacja stawała się coraz bardziej zagmatwana.

Porucznik w swojej prostej, żołnierskiej logice nie mógł zupełnie pojąć, co się działo u góry. Ma być wojna aż do „rewolucyjnego zwycięstwa”. I jednocześnie niszczy się jej podstawę—dyscyplinę, podstawę starą jak sama wojna. Czy jakiegokolwiek zwycięstwo jest możliwe bez dyscypliny? Przecież nawet on sam, wolontarjusz w szkole wojny, poddaje się nietylko automatycznie mechanizmowi rozkazów, pewny swojej ogólnej linii moralnej, ale nie wszystkich jej fragmentów. Na przesmyku pomiędzy śmiercią a życiem żaden człowiek nie może ręczyć za swoje nerwy, i nieraz należy go postawić pomiędzy śmierć i śmierć, ażeby mu uratować honor, a nawet życie.

Ale jeżeli i armja, i dyscyplina są już niepotrzebne, w takim razie należy zawrzeć pokój. Utrzymywać jednak, że budulec jest potrzebny, i podsycać jego gnienie, tego — pomimo zupełnej

już lojalności — nie mógł wybaczyć młody oficer nowemu reżymowi.

Podzielając jednak ogólną animozję swoich kolegów do Kiereńskiego, porucznik Cholewo nie naśladował ich i „nie zwiewał” pod pretekstem urlopu. Czując organiczny nawet wstręt do dezercji, pragnął skończyć wojnę legalnie, zgodnie z honorem i złożoną przysięgą. Sądził, że wkońcu jednak rozsądek weźmie górę w nierozsądnym ministrze wojny, i że da on jakieś legalne zakończenie absurdowi teraźniejszości.

Tymczasem w początkach maja doszły go autentyczne wieści o tworzeniu się armji polskiej na Wschodzie i wielkich aktach politycznych, zasłanych w tym czasie. Złożył natychmiast raport o przeniesieniu go do I-go Korpusu wraz z żołnierzami Polakami kompanji i ruszył na długą, samotną wędrówkę, wytracony z równowagi przez radość.

A więc „szkoła wojny” jest skończona. Wraz z nią kończy się i jej internat. Wróci do swoich, zobaczy Zulę, kolegów. Będzie żył wśród swoich. Będzie służył swoim. Będzie pracował dla swojej sprawy. Odejdzie od tej zabójczej, monotonnej jednostajności. Zacznie żyć, pracować, bić się, bawić się, kochać, szaleć! Wojna zabrała go tak młodo. Za młodo! Nie zdążył nawet wydać drobnej sumki z olbrzymiego kapitału sił moralnych i fizycznych, nabywanych przez jego ród w ciągłych walkach kapitału, zasilanego przez jego

własne oszczędności życiowe. Czuł się posiadaczem składanych procentów, które teraz dopiero zacznie wydawać hojnie i bez rachuby.

Dnie od chwili złożenia podania wlokły się z niemożliwą powolnością. Porucznik Cholewo odczuwał nieraz pokusę „zwiania do Dowbora”, jak to było na porządku dziennym... Ale to byłaby przecież dezercja. Nie może przyjść do armji polskiej jako dezerters. Nie może tam przyprowadzić dezertersów.

Wielu kolegów por. Cholewy, wstydzących się przedtem polskości, która im zawadzała w karierze, uczuło nagle niebywałą miłość ku zmartwychwstającej Ojczyźnie. Pogranicze duchowe dwóch ras walczących usiane jest siedzibami prostytutek politycznych, oddających się danej rasie w zależności od jej zwycięstw i powodzeń. Ludzie tego typu plwali teraz na dotkniętą nieszczęściem Rosję, jak ongi uciekali od Polski, kiedy przegrywała. Jakże mógł utożsamić się z tą dwupłciową kanalją?!

Tymczasem w początkach czerwca, w związku z szykującą się wielką ofensywą rewolucyjną, nastąpiło pewne wzmocnienie frontu i zaczęły nadciągać rezerwy. Na odcinek por. Cholewy, świeżo odziedziczony po stopniałym baonie, rzucono ogromne masy wojsk „rewolucyjnych”, pijanych alkoholem i słowem „rewolucja”.

Młody porucznik był już zbyt starym żołnierzem, ażeby nie wątpić o prowizorjum, jakie się

znalazło na miejscu zniszczonego słowa „rozkaz”. Ponieważ jednak do ostatniej chwili kancelarja pułku nie nadesłała por. Bolesławowi Cholewie zezwolenia na przeniesienie się do I-go Korpusu, więc o minucie wskazanej przez rozkaz porucznik Cholewo, ze wszystkimi ludźmi, jacy mu jeszcze zostali, wyruszył na oznaczone miejsce.

O godzinie 3-iej nad ranem porucznikowi i jego ludziom, przywykłym już do długotrwałej ciszy frontowej, wydało się, że niebo i ziemia dostały pomieszania zmysłów. Intensywność kano-nady przeszła wszystko, co kiedykolwiek słyszeli uczestnicy ofensywy przemyskiej i obrony Iskiuła. Kiedy po długiej, jak nieskoczoność, ulewie pocisków kazano im iść do ataku, wszystko znikło... Ruiny jakiejś wioski, niemieckie betony, zarośla drutów kolczastych i to wszystko z życia, co mogło znaleźć się w obrębie ognia artylerji rewolucyjnej, stając się jednym wielkim zbiorowiskiem szarych studzienek, wybitych w ziemi przez pociski. Ani śladu ruin i zgliszcz. Jedno wielkie pole. — „Nic”.

Tyraljery rewolucyjne idą z brawurą do ataku! Idą „wykurzać” resztki „Niemca”, które mogły jeszcze ocaleć pomiędzy „polem Nic” i życiem.

Ale „Niemca” ani na lekarstwo. Śmiertelna cisza zalega pole Nic. Ani jeden strzał armatni, ani jeden terkot kulomiotu nie usiłuje zapobiec

zbliżaniu się „wielkiej ofensywy rewolucyjnej” ku burżuazyjnemu Zachodowi.

— Dojdziemy tak do samego Berlina — żartują oficerowie, dla dodania ducha żołnierzom. Ale ich samych zaczyna ogarniać pewien niepokój. Nie są pewni, czy jakiś pułk rezerwowy, idący za nimi, nie urządzi wiecu i nie uchwali, że dalej iść nie trzeba, i nie wiedzą, co znaczy ta pustka, jaki podstęp wojenny czai się na krańcu pola Nic?

Niepokój dowódców zaczyna się udzielać dowodzonym. „Zasadzka!” „Zdrada!” Niewymawiane słowa „rozkładu” nurtować zaczynają tak długo rozkładane dusze. Alkohol rewolucyjnego entuzjazmu mija. Nadchodzi otrzeźwienie. Tyraljera zaczyna tracić swoją tyraljerskość. Żołnierze zbijają się w gromadki. Krok marszu staje się wolniejszy. Ociąganie coraz widoczniejsze. Rodzi się depresja woli naskutek podejrzanego łatwości, skutkiem braku oporu, na który musi natrafić energia ludzka, ażeby się nie przepalić sama w sobie.

Na szczęście, pustka zaczyna mijać. Z czerwonych, rozprutych glin poczynają się wyłaniać trupy ludzkie, szczapy drewniane, beton. Na prawo podpala się cicho jakaś wioszczyna. Idący poczynają się uspokajać. To co jest, staje się podobne do tego, co było... tyle razy!

Nie!

Raz jeszcze spotyka ich próżnia...

Poharatany przez pociski lasek... zarośla, grzbiet wzgórze... wszystko puste!

Dalej — równina, równie cicha i pusta...

Powtórna fala depresji idzie od tej drugiej serji pustek, jeszcze silniejsza niż pierwsza. Żaden z idących do ataku nie przewidywał tak wspaniałego powodzenia ofensywy rewolucyjnej. I znowu wraca natrętna myśl, czy tam za nimi, w razie potrzeby, w razie jakiejś niebywałej „chytrości” Niemców, nie zastrajkują towarzysze broni? Czy zechcą przyjść im z pomocą?

Nagle z boku, w odległości kilkudziesięciu metrów, na końcu małej łączki zaczyna gdakać jakiś niedobity kulomiot niemiecki, i czyjś przeraźliwy krzyk — „Towaryszczy, spasajcieś!” — podpala z czterech stron naraz zdemoralizowaną masę żołnierską. Tyralljera rzuca się do uciezki. Napróżno oficerowie i łańcuch śpieszonych kawalerzystów, umieszczony przezornie za linią ofensywy rewolucyjnej, szablami i brauningami stara się powstrzymać uciekających. Napróżno tu i owdzie rozlegają się głosy ideowców z „Baonu Śmierci” — „Towaryszczy, wpieriod! Za swobodu! Za rewolucju!” — Fala byłych żołnierzy łamie te wątle tamy ludzkie. Porywa je. Unosi ze sobą.

Na placu zostaje porucznik Cholewo, oficerowie dezterterów i garstka żołnierzy. Bez komendy, automatycznie idą naprzód w obronie honoru armji rewolucyjnej. „To przecież nie jakiś tam jeden głupi kulomiot” — myśli porucznik. Nagle czuje uderzenie, wstrząs i płomień, rozlewający się po całym ciele... „Jestem ranny” — uświadamia

sobie z przerażeniem... Nowe uderzenie!... płomień!...
i porucznik usuwa się na ziemię... Ofensywa re-
wolucyjna skończona!

* * *

Nazajutrz wstrzemięźliwy, jak zwykle, Komu-
nikat Niemieckiego Sztabu Generalnego brzmiał:
„Dnia 18.VI.1917, po niebywale silnem przygoto-
waniu artyleryjskiem, Rosjanom udało się we-
drzeć do naszych pozycyj na 8 kilometrów w głąb.
Poczem, przez nikogo nie atakowani, cofnęli się
sami i odeszli w niewiadomym kierunku”.

CZĘŚĆ III.

BOŻE NARODZENIE W BYCHOWIE.

— Wiesz co, jest wielka nowina — krzyknął od progu kwatery plutonowy Pająk do czyszczącego zawzięcie „swój” karabin ochotnika Lipskiego. — Bolszewicy zażądali wprowadzenia „Rad Żołnierskich” do Korpusu. Cóż ty na to?

Atoli eks-prezes Bratniej Pomocy, Jerzy Lipski, od kilku miesięcy ochotnik i „oferma” I-ej kompanji, I-go baonu, I-ej dywizji strzelców, nie rzekł nic „na to”, całkowicie pochłonięty czemś innym. Oto właśnie zgubił rękawiczki po raz trzeci, a plutonowy zaklął się, dając mu trzecią parę, że czwartej nie da („bo i ciebie posądzą, że Żydom sprzedajesz, i mnie”). Myślał właśnie nad tem, jakby to podejść dyplomatycznie zwierzchnika, kiedy nagle plutonowy zaczął się przypatrywać karabinowi, czyszczonemu z całą pasją wolontarjusza (przezwiseko kompanijne „rekrut”), i krzyknął po chwili:

— Co ty robisz, idjoto! Przecież to nie twój karabin, ale Gedla.

— Jakże, kiedy stał w mojem stoidle — bro-
nił się oburzony „rekрут”.

— To ten Gedel szelma, leń, zamienia wie-
czorem karabiny, a potem opowiada w Klubie
Żołnierskim, że ma swego ordynansa. Patrz, twój
karabin ma numer 04,187, a ten 120,008. Zapisz-że
raz nareszcie numer swego na ścianie, i powiedz,
co myślisz o tych „radach”, panie akademiku.

Ale pan akademik wogóle o niczem takim
nie myślał, ponieważ myślenie o rzeczach po-
stronnych w wojsku było luksusem, dostępnym
jedynie dla takiego Pajaka, który wszystko umiał
i nigdy nic nie gubił. Natomiast „rekрут” w obli-
czu chwili historycznej myślał ze strachem, że
jeżeli zdemaskowany już Gedel opowie to wie-
czorem w „Klubie”, to jego prestiż, jako dobrego
żołnierza, i tak już nadwerężony, runie doreszty.

Nie miał jednak czasu na dłuższy niepokój,
gdyż nagle wszedł ordynans dowódcy kompanji,
i kazał „zbierać się zara” do pana porucznika”.

— Moi drodzy — zakomunikował im bez wstę-
pów faktyczny dowódca kompanji, por. Małagow-
ski — nasz szef, eks-pisarz gminny, „gławkwierch”
Krylenko, pragnie wysondować opinię naszych
żołnierzy co do ewentualnego wprowadzenia Rad
do Korpusu. Generał-dowódca dywizji musiał się
zgodzić na konsultację. Za kilka dni, na drugi dzień
świąt, odbędzie się wiec całej załogi bychowskiej,
na którym będą przemawiać dwie kanalje komisar-
skie, niestety Polacy. Oficerów na tym wiecu nie

będzie. Tem bardziej więc bądźcie wy!... No, cóż tam, wilja gotowa?

— Gotowa, panie poruczniku. A pan porucznik gdzie będzie, u żołnierzy, czy u dzieci?

— I tu, i tam. A i wy, plutonowy, bądźcie i tu, i tam! A jak tam z prowjantem?

— A no, śnieg i ryba na wilję jest.

— Tylko że śniegu mamy na pewno więcej, niż śledzi. No, dowidzenia, moi drodzy.

Irzeczywiście śniegu nie brakowało. Maleńkie, betlejemskie miasteczko Bychów, przytulone do olbrzymiego zamczyska Sapielów, na wysokim, prawym „polskim” brzegu dniewnym, tonie poprostu w zaspach śnieżnych. Chaty wyglądają jak zaspę, z zaczarowanymi światłkami wewnątrz.

Długie sope lodowe podpierają tu pagórki śnieżne, tęczowo lśniąć podczas śpiewu „Kiedy ranne wstają zorze!”

Nazajutrz o godzinie czwartej po południu plutonowy, Gedel i Jerzy idą na wilję „do dzieci”. Już na schodach widzą, że malutka salka ochronki Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny pełna jest dzieci „bieżeńców” z Królestwa i żołnierzy z dziećmi na rękach. Pośrodku stoi choinka, otoczona przez skaczący, biało-różowy murek ludzki. A mur wyższy stoi nieruchomo i w wielu tam oczach coś nieżołnierskiego wilgotnieje. Bo to było tak dawno... ich ostatnie Boże Narodzenie w domu! A ta dziatwa jeszcze tak rozkosznie mazurząca, dziatwa cudem wyrwana z morza ru-

szczyzny, przypomniała im ich Siedleckie, Lubelskie, Radomskie w tym dawnym roku 1913-stym. Cóż więc było dziwnego, że żołnierze stali sobie pod ścianami i coś miarkowali. Aż i kolędy! Tu już nie można było wytrzymać! Jak się nie zawiną żołnierska, jak nie hukną za dziećmi. Jezus, Marja! Zdaje się, że cały dom leci w powietrze razem z choinką i dziećmi. A po śpiewie rozpoczyna się rozdawanie podarków, przywiezionych z Mohylowa w najgłębszej tajemnicy przed dziećmi i długimi językami w mundurach. Dzieci krzyczą z radości, a że żołnierzom nie wypada dać się zakrzyczeć nieletnim, więc robi się ogólny krzyk, potem ogólny bałagan, a potem tak wszyscy są zadowoleni, że już nikomu nie chce się iść na własną „rybę”.

Ale biedny plutonowy Pająk musi tam iść z urzędu, zabiera więc ze sobą Gedla i Jerzego, ażeby „mu było weselej”. Nikt nie śmie sprzeciwić się pierwszemu dygnitarzowi kompanji, nawet wtedy, kiedy czyni bezprawie. Idą więc markotni wszyscy trzej „na swego śledzia”... bo ta reszta, to już została u dzieci.

Jerzego rozmarza trochę przepyszna noc, pełna śniegu, gwiazd, mrozu i ogników chat-zasp.

Tymczasem od Klubu Żołnierskiego, gdzie zastawiona jest Wilja, dolatują rzewne trąbki trębaczka (widocznie kucharze się złością, że nikt nie przychodzi)... Karność znikła od czasu, kiedy żołnierze zaczęli bratać się z dziećmi. Plutonowemu jednak nie wypada się spóźniać, bierze więc nogi

za pas i z małego szeregu robi się wąż... A tam za nimi, na stromem urwisku dniewrowem, vis à vis dalekiego, ruskiego brzegu, rozbrzmiewa ich pierwsza Wilja melodją kolęd i śmiechem dziatwy.

* * *

Na drugi dzień, o godzinie czwartej minut trzydzieści, przed ganek polskiego Klubu Żołnierskiego w miasteczku Bychowie zajechał elegancki samochód, z którego wysiadło niebawem dwóch eleganckich panów.

— A cóżto za burzuje — zdziwili się przybyli na wiec żołnierze. Okazało się jednak, że to byli właśnie ich pogromcy.

Goście podeszli do jednego z podoficerów i bardzo grzecznie zaczęli go indagować o różne szczegóły zebrania.

Tymczasem żołnierze zaczęli się gromadzić i „ogłądać bolszewików” na wszystkie strony, siedząc bowiem w małym miasteczku, niewiele mieli sposobności do poznania tego dziwnego gatunku, o którym tak głośno było teraz na świecie. W atmosferze powszechnego zainteresowania i podniecenia, przyzdyum ukonstytuowało się szybko, i wkrótce jeden z gości poprosił o głos. Cisza się zrobiła zaraz, jak makiem posiał.

Mowa komisarsza, biorąc obiektywnie, była zupełnie dobrze zbudowana, t. j. zupełnie komiarska. Było więc tam naturalnie „morze krwi i lez”, „zgniła burżuazja”, „gniew ludu”... Korpus

to była „mysia dziura dla oficerów wykurzonych przez „rewolucję” z byłej armji carskiej i t. d.

Słuchacze reagowali na to wszystko głuchem milczeniem. Ale „rekrut” Lipski, który na takich materiałach wybuchowych znał się o wiele lepiej, niż na pyroksylinie, pierwszy prosił o głos. Mówił prawie tak, jak na odczytach Bratniej Pomocy, otrzymał jednak rześiste brawa od swego plutonu (swoją czołwiek). Zanim komisarz zdążył zmiażdżyć nieśmiałego opozycjonistę, w tłumie rozległ się ryk „proszę o głos” i jakieś olbrzymie drabisko w mundurze podoficerskim wpakowało się na stół i wrzasnęło na całą salę.

— A cóż to za s...s... przychodzą tu uczyć nas?! Przedstawiciele proletariatu? Jakiego proletariatu? Proletariat nie chodzi tak, jak wy! Proletariat nie jeździ w samochodach! Ale jeżdżą w nich bydłeta, których pasie swojóm krwióm. Ja wam ta nie będę długo gadał, jak ta panienczka w mundurze, co przede mną mówiła. Ino wam powiem trzy słowa: a do budy, psia krew!

To mówiąc, wierzgnął w stół potężnemi nożyskami i rzucił się, jak szczupak, w tłum, przedzierając się ku komisarzom w zamiarach zupełnie niedwuznacznych. Za nim ruszyli inni. Atoli Pająk i kilku obecnych podoficerów, mając surowy nakaz dowództwa dywizji ochraniania przybyłych, osłoniło ich natychmiast szpalerem swych ciał.

— Chcieliśmy was oświecić towarzysze — zauważył gorzko jeden z gości, cofając się ku samochodowi za plecami podoficerów, ale piekielny hałas

i krzyki: — S... s..., pacholki bolszewickie, proletariusze w sobolach — zagłuszały słowa komisarskie.

Samochód zemknął śpiesznie, wśród wrzasków i wygrażeń żołnierskich.

Tak się skończyła pierwsza bitwa o dusze dywizji z bolszewikami.

SYLWESTER.

Ciemna noc sylwestrowa. Domy na urwisku dniewprowem, otulone zaspami śniegów i połączone czarną linją płotów, tworzą w jednym miejscu małą, pustą platformkę. Niski płot i przerwa pomiędzy budowlami pozwalają obserwować ciemności nocne na Dnieprze i na Zadnieprzu. To też tu właśnie stoi szyldwach. Od czasu do czasu stuknie butem o zmarzły drugi but, albo potrze zgrabiałe ręce. Poczem znów wpatruje się, nie nie widząc, w dalekie ciemności zarzeczne.

A tam daleko, za rzeką, jak na złość, nie się nie dzieje. Ani światła, ani salw...

Nareszcie szmer jakiś... Szelest cichych kroków ludzkich... Ale to za nim, od strony Bychowa... Już szyldwach ma zamiar wrzasnąć na całe gardło przepisowe „Kto idzie”, kiedy nagle, uprzedzając ten zamiar, odzywa się przyciszony głos.

— Tsss... „rekrut”, nie robić hałasu. To ja! Otóż uważajcie... przedwcześnie nie alarmować... Strzelać dopiero wówczas, kiedy światła miną zastawę i dojdą przynajmniej do połowy łąk, albo kiedy usłyszycie jaki hałas podejrzany, rozumiecie?!

— A no, to dobrze, panie poruczniku, proszę już być zupełnie spokojnym — odszepnął po koleżeńsku szyldwach. Oficer zniknął. Szyldwach ze zdwojoną uwagą począł „nie widzieć” spowitych w ciemnościach łąk dniewprowych. Oficerem był porucznik Małagowski, szyldwachem „rekрут” Lipski.

Rzecz prosta, pierwsza „bitwa”, stoczona w „Klubie Żołnierskim” dywizji, nie mogła nie mieć dalszego ciągu. Już następnego dnia rozeszły się pogłoski o wysłaniu z Mohyłowa samochodu opancerzonego, celem zaareztowania oficerów dywizji, podejrzrywanych o reżyserję niezbyt gościnnego przyjęcia komisarzy na wiecu.

Sytuacja prawna była niezmiernie trudna, gdyż nietylko dywizja, ale cały Korpus podlegał jeszcze formalnie „gławkowierchowi“ Krylence. To też stary i niedołączny generał Ostapowicz stracił zupełnie głowę, na szczęście jednak nie stracił jej wcale młody i energiczny porucznik Małagowski.

W 1-ej kompanji, jako najpewniejszej, zarządził ostre pogotowie, Pajaka zaś, Gedla, owego draba z wiecu i kilku innych zabijaków wysłał na trakt, wiodący do Mohyłowa, z nakazem urzędzenia zasadzki.

Oczywiście, że i „rekрут” napierał się na tę wyprawę, przypuszczając, że będzie niebezpieczna i przygodowa. Ale Pajak powiedział mu stanowczo, że takiego cherlaka jak on, na taki mróz, za nie w świecie nie weźmie. Widząc zaś smutną minę rekrucką, postawił go na warcie, uprzedzając,

że jak zmarźnie, to może iść do domu, bo on „i tak, i tak żadnego samochodu do Bychowa nie wpuści”.

Wartownik stanął więc na owej platformie, widząc z zazdrością, jak kilku ludzi schodzi ostrożnie wdół, a raczej ześlizguje się wzdłuż zlodowaciałej skorupy urwiska. Później słyszy skrzyp śniegu i wesołe głosy idących. Potem ucicha to wszystko.

Wartownik pozostaje, przechadzając się miarowo, jak prawdziwy wartownik, nie bagatelizując bynajmniej swoich obowiązków. A jeżeli bolszewicy przejdą zastawę? Wówczas on zostanie prawdziwym zbawcą dywizji!

Jego szacunek dla własnej misji zwiększył się zwłaszcza po wizycie Małagowskiego... Upływa jedna godzina i druga, dłużąca się jak cała noc, a samochodu jak niema, tak niema.

Wartownik marźnie na kość i uczuwa pokusę zastosowania się do światłej rady plutonowego. Odrzuca jednak z oburzeniem potworną myśl dezercji i zostaje.

Nagle, jako nagroda za żołnierską wytrwałość „rekruta”, z dalekich lasów na Zadnieprzu wybiegają ku niebu dwa tajemnicze światła.

Samochód bolszewicki!...

Światła nikną, jak ślepie wilcze w gęstwinie leśnej. Serce rekruckie nie przestaje jednak bić gwałtownie...

— Samochód! Na pewno samochód... — ściskając mocno karabin, wychylony wpół nad urwiskiem,

rekrut śledzi z biciem serca ruch, to niknących, to pojawiających się świateł.

Wkrótce światła przestają znikać. Dwie równe smugi poczynają nieprzerwanie sunąć ku miasteczku. Widocznie samochód minął szczęśliwie zaczonego Pajaka i wydostaje się z lasów na łąki zadnieprzańskie.

Lipski poczyną gwałtownie trzecią zgrabiałą rękę (znak, że „rekrut” przygotowuje się do strzału)... Ale próżne nadzieje... Jeszcze sekunda, i światła zatrzymują się gwałtownie... Po chwili daleki, ledwie dosłyszalny huk salwy dochodzi do uszu warty. „Ślepie wilcze” przestają rzygać światłem, cofają się, raz jeszcze zarzucają na niebo półkula smug... i „żelazny wilk” ginie w ostępach leśnych.

— Brawo Pajak! — myśli zadrosny i szczęśliwy wartownik.

W dwie godziny później zasadzka zmarznięta na kość, ale w bajecznych humorach opowiada na kwaterze jak to było. Stosownie do rozkazu zawalił drogę świerkami. Bolszewicy nie spodziewali się niczego, bo nawet świateł nie zagasili. — Zobaczył świerki, dostał dwie salwy i zwiął — zakończył relację plutonowy.

NA ZBIÓRKĘ.

W końcu stycznia 1918-go, Zyda i Malinowski, ongi koledzy Jerzego a obecnie ochotnicy, tak jak i on, znaleźli się razem ze swoją „III-ą dywizją” w wielkich opałach. Dywizja stacjonowała

w Jelni, małym miasteczku, hen, aż gdzieś za Smoleńskiem, o czterysta przeszło kilometrów odległem od koncentrujących się w Bobrujsku innych oddziałów polskich. Należy zresztą dodać, że w tych samych opałach znalazł się i cały „Korpus”. Z jednej strony podminowywała grunt „robota” dyplomacji niemieckiej w Moskwie, wywierająca nacisk na bolszewickie władze centralne. Z drugiej— lokalne władze bolszewickie usiłowały i same usunąć „białą drzazgę”, tkwiącą w „czerwonym” ciele Rosji. Wreszcie jeszcze jedno, i bodaj że największe, niebezpieczeństwo tkwiło wewnątrz wojska. Była to walka realizmu z idealizmem, zysku realnego z daleką i nieosobistą perspektywą „Ojczyzny”. Stary reżym twierdził, że karjera — to czas i posiadanie. Rewolucja postawiła tezę odwrotną: karjera rewolucyjna, to chwila i nieposiadanie. Bunt pułku polskiego w Białogrodzie i artylerji w Krynkach podwoiły energję agitatorów na terenie III-iej dywizji.

Niebezpieczeństwo było tem większe, że żołnierz-trzeciak — był to żołnierz młody i niewyszkolony, nie mający tradycji I-iej dywizji, złożonej z weteranów wielkiej wojny. Ale ta wysepka polska, zagubiona w morzu wielko-ruskiem, posiadała coś więcej, niż tradycje... Dywizja posiadała swego Jeremiego.

Dwaj przyjaciele wpadli więc odrazu w wir pracy, która była jedynem lekarstwem, ordynowanym przez surowego generała na bolszewicką

chorobę. Ćwiczenia, reorganizacja, musztra, zaopatrywanie oddziału w rynsztunek, amunicję, zapasy, słowem — w to wszystko, co marniało i niszczyło się w różowej, czerwonej i niczyjej Rosji — były specyfikiem leczniczym gen. Iwaszkiewicza. „Pierwsza bitwa” ochotnika Rydzewskiego na wiecu w Bychowie była nie do pomyślenia w tej atmosferze, jaka panowała tutaj.

Kiedy naprężenie stosunków polsko-rosyjskich doszło do maksimum, kiedy po zdradzieckim napadzie i rozbrojeniu II-ej dywizji generał Dowbór zdecydował się nareszcie zająć siłą Bobrujsk, a Łotysze zaatakowali „pierwszaków” pod Toszczycą, młoda dywizja otrzymała lakoniczny rozkaz stawienia się w Bobrujsku, odległym o czterysta kilometrów zbuntowanych wiosek i zasp śnieżnych.

Dnia 11-go lutego 1918-go roku, zmyliwszy czujność bolszewicką fałszywym wypadem, osaczony przez trzy potężne garnizony bolszewickie: Smoleńska, Homla i Mohyłowa, wśród napoleońskich mrozów lutowych — wyruszył oddział polski na miejsce „zbiórki”.

Armja Czerwona śpieszyła teraz na łeb na szyję ku Dnieprowi, ażeby nie dopuścić dywizji do przeprawy przez rzekę i połączenia się z Dowborem. Tymczasem na *à conto* partyzantka rewolucyjna poczęła szarpać białych z tyłu i boków. Nie była to zresztą rzecz „najgroźniejsza”. Od wieków wiecznych Rosja posiadała na najeźdźców broń o wiele niebezpieczniejszą, niż jej armja:

przestrzeń i głód. Ta straszna broń, nieużywana od czasów napoleońskich, zagrażała teraz dywizji.

Emisarjusze „czerwonych”, idąc przed nią, rozpowiadali niestworzone bajdy o okrucieństwach „białych wojsk”. Od stu sześciu lat groza wojny nie nawiedzała tych stron. A teraz szła ku nim!... szła straszliwa, groźna, grozę siejąca!... Szła od tych straszliwych „Polaków”, o których męstwie i okrucieństwach różne wieści krążyły między ludem. Głuche wioski zadnieprzańskie żyły teraz całkowicie odzyciem napoleońskich batalij i pochodów Żółkiewskiego na Moskwę... „Palaki idut”, „Palaki idut”. Słowa te — awangarda wojsk idących — wyludniały leśne wioszczyny, osady i miasteczka. Im dalej zagłębiały się wojska polskie w lasy Zadnieprza, tem częściej znajdowały chaty puste, wychłodłe, bez kawałka chleba i źdźbła siana dla koni. Los „armji napoleońskiej” z nieubłaganą systematycznością zdawał się zbliżać ku idącym.

Po dwóch tygodniach takiego marszu, pełnego alarmów nocnych, napadów leśnych, podstępów, zasadzek i zdrad, wciąż posuwający się naprzód „wąż” żołnierski począł wyglądać, jak korowód duchów, wynurzający się z lasów na białe, zaspowe drogi. Ludzie szernieli od znużenia, pożerali wciąż miarowym półmetrem kroku nieskończoną przestrzeń dróg leśnych i polnych.

Ten dziwny i nieco przydługi marsz „z kozar” na czterysta kilometrów odległy „plac zbiórki”

miał tylko jedną dobrą stronę: oto uwalniał od myślenia o przyszłości. Wszakże przed tem wędrownem „państewkiem cara Iwaszkiewicza” nie było ani państwa, ani „kraju”, ale tylko wciąż jeszcze mur „linji niemieckiej”. Mur, o którym nawet sam dowódca nie wiedział, czy znajduje się jeszcze „z Moskałem” w stanie wojny, czy też już w stanie przyjaźni. Miejscem zbiórki była ope-retkowa forteczka Bobrujska, dobra do odparcia ataków marszałka Ney'a, o której zresztą również nikt nie wiedział, czy broni się jeszcze, czy już wzięta?!... A więc może było i lepiej, że mózgi idących, poczynając od mózgu dowódcy, a kończąc na ostatnim łaziku taborowym, zaskrzepły na jednym bezmyślnem słowie: „dojść”.

Od 14-go lutego począwszy, mrozy stawały się coraz większe. Rankami, kiedy głodni, skostniali, klnący na czem świat stoi — żołnierze wychodzili z chłodnych, opustoszałych chat — biaława mgła, przenikająca do szpiku kości, stała jeszcze na oceanie śniegów. Wieczorami niebo paliło się czerwonym płomieniem. Oddechy końskie tworzyły białe słupki pary, unoszące się nad konnicą. A jednak pomimo tych akcesoryj roku 1812 nie był to już rok 1812. Nie był to już rozkład wielkiej armji, ale architektura maleńkiej. Dywizja gen. Iwaszkiewicza nie topniała, nie traciła ducha i ordynku. Przeciwnie, rosła i zagospodarowywała się po drodze. Rosła liczebnie, zbierając podczas marszu resztki Polaków ze stopniałych garnizo-

nów bolszewickich, a nawet pół-zmoskwiczałych zaściankowiczów, w których odezwała się „szlachecka krew”. Zabierała też skrzętnie sprzęt wojenny, niszczoney przez chłopską anarchję, jako symbol materialny znienawidzonej wojny. Posag dywizji, pomimo najprzeróżniejszych niespodzianek uciążliwego marszu, zwiększał się w miarę zbliżania się do Bobrujska.

Po trzech tygodniach „marszu na zbiórkę” strażę przednie wyszły wreszcie na jakieś olbrzymie, bezbrzeżne, białe równiny. Wojska witają je okrzykiem radości. To Dniepr i łąki dnierprzańskie.

Większa część drogi przebyta. Na dalekim, przeciwległym „polskim” brzegu migają wczesnowieczorne światełka jakiegoś niezbiegłego miasteczka.

Wojska poczynają się natychmiast przeprować przez Dniepr. Nadzieja wypoczynku w ciepłych, ogrzanych chatach podnieca żołnierzy do szybkiego marszu. Zaledwie jednak awangarda dywizji wchodzi w kontakt z miasteczkiem, z chat, płotów i zabudowań pada ulewa salw „maszynkowych” i artylerja poczyną „grać” nad lasami, z których wypelza wąż taborów i ludzi.

„Armja czerwona” zdążyła obsadzić przeprowy dniewrowe.

— Trzeba przecież jednak jakoś dojść — myśli gen. Iwaszkiewicz... — Trzeba przecież jakoś dojść — myśli jego młoda armja i po trzykrotnym ataku na bagnety, dzieciaki-rekruty wyrzucają z miasteczka Łotyszów i marynarzy, najtęższych rzeź-

ników „Wielkiej Rewolucji”. Dywizja idzie dalej na plac zbiórki.

W kilka dni po bitwie pobołowskiej, straże przednie znowu zaalarmowały wojska, donosząc, iż za pobliskim wzgórkim znajduje się jakaś kawalerja, która nie ucieka. Wysłano natychmiast silny podjazd z kulomiotami... tym razem zupełnie niepotrzebnie. Kawalerją, która nie ucieka, byli ułani gen. Dowbora.

Szalona, bezgraniczna radość żołnierska łamie po raz pierwszy żelazną karność dywizji. Tłum „trzeciaków” otacza wysłańców, ściąga z koni, niesie na rękach do generała. Poczem każdy ciągnie ich do siebie, częstuje resztkami resztek, szarpie, indague na wszystkie łady i sposoby.

— Bobrujsk zajęty! Oddziały skoncentrowane. A teraz do Polski! Do Polski! — woła pierwszy i ostatni „wiec” dywizyjny.

— Do Polski? — dziwią się ułani... — to wy jeszcze nic nie wiecie?

— A co? co?..—złe przeczucie ścisza entuzjizm.

— Niemcy idą za nami. Są już o kilka mil stąd.

SPOTKANIE Z KOLEGAMI.

Na Trzy Króle ostatnie mosty, jakie jeszcze istniały pomiędzy „gławkowierchem” Krylenką i korpusem, zostały spalone. Okres wahań, niezdecydowania i niepewności, okres papierowych i słownych utarczek był już skończony. Żywiły młode

i energiczne wzięły górę nad dyplomatami w mundurach. Dywizja zmniejszona liczebnie, ale skonsolidowana moralnie zdobyła i ufortyfikowała miasteczko Rohaczew. Odparła atak strzelców łotewskich pod Toszczycą i szykowała się do ofensywy na ważny węzeł kolejowy, Żłobin, celem uniemożliwienia przeprawy przez Dniepr gwardji czerwonej, wysłanej z Homla.

Lipskiemu polecono w tym czasie zorganizować biuro kontragitacyjno-wywiadowcze z żywiółów najpewniejszych, t. j. z „piłsudczyków” i Poznańczyków, wydobytych z obozów jeńców w Darnicy, pod Kijowem. Wewnątrz korpusu młodzież ta, zahartowana i patryotyczna, pełniła funkcję kręgosłupa moralnego, odpornego na powódź bibuły, zalewającą teren I-go korpusu. Legjoniści, pochodzący z b. zaboru rosyjskiego, oraz najpewniejsi koledzy kompanijni samego dyrektora, pełnili służbę nazewnątrz. Pewnego dnia, w wigilję ofensywy na Żłobin, wybrał się na wywiad i sam „dyrektor”, ażeby dać dobry przykład podwładnym i zarazem dowiedzieć się, czy „pietrogrodzka armja czerwona” przybyła już do Żłobina, czy też jeszcze nie.

Było to zadanie pierwszorzędnej wagi, eksprezes miał więc możność oddania nielada usługi „sprawie” i uwolnienia się raz na zawsze od nie miłego przezwiska „rekruta”. Niestety, o dwa kilometry od Rohaczewa zatrzymały dyrektora strażę dywizyjną, żądając okazania dokumentów. Tym-

czasem „dyrektor” dokumenty polskie zostawił w domu, rozumując zupełnie słusznie, że ze swoimi dogadać się można zawsze na tym, ale z tamtymi i na tamtym świecie. Warty nie chciały jednak uznać niewątpliwie słusznej logiki prezesowskiej, i poprowadziły go do jakiegoś pana porucznika. Rad nierad musiał więc iść z nimi, jakkolwiek była to pierwsza nieprodukcyjna zwłoka w odpowiedzi na pytanie, czy gwardja czerwona przybyła już do Żłobina, czy też jeszcze nie?

Po paru minutach brnięcia po śniegu naprzelaj, żołnierze z domniemanym ptaszkiem weszli do chałupy. Na odgłos drzwi otwieranych, jakiś młody człowiek w mundurze oficera korpusu okręcił się na ławie ku wchodzącym... i nagle wszystko, co miało jakikolwiek związek z teraźniejszością, znikło z mózgu nieznanego oficera i Jerzego. Wybuch przeszłości odsłonił jakiś stary, przed wiekami istniejący świat... Krzyk radości wyrwał się z piersi aresztowanego i, ku osłupieniu żołnierzy, „ptaszek” rzucił się w objęcia „pana porucznika”.

Komendantem warty był Julek Popow.

Nie widzieli się tylko cztery lata, tylko cztery... ale takie, w których można było zawrzeć pięćdziesiąt lat dziewiętnastego stulecia. Rozstali się w 1913, kiedy było jeszcze tak cicho, tak cmentarnie cicho w ich świecie, podminowanym przez „państwko”, kiedy świat cały wielbił niedawne męstwo Bułgarów i Serbów, i zachwycał się grą

na fortepianie „Polaka Paderewskiego”... rozstali się w ostatnim kwadransie przed wybuchem miny, która wysadziła w powietrze ich życie.

Zaczynają się obserwować, mówią sobie różne rzeczy, rzucając garściami imion i nazwisk. — Ten poczciwy fajtlapa nie zmienił się wcale — myśli porucznik Popow.—Zawsze taki sam prezes Bratniej Pomocy w mundurze! — Julek wysympatyczniał — myśli „dyrektor”. — Nie ma tej śmiesznej pozy, co dawniej, jest naturalniejszy i szerszy. Może dlatego, że dawniej był wielkim człowiekiem, a teraz jest tylko porucznikiem piechoty.

Ale mijają chwile i mija świętek sztubaczek i sztubaków, świat Eryków, Lil, Cześ, Zbisiów, Zaniewskich, szowinistycznego „Związku Narodowego” i kosmopolitycznej „Bratniej Pomocy”... Wschodzić poczyna świat sierżantów, poruczników, ułanów, wywiadowców. Zaczynają się już wstydzić staruszkowatej słabości dla starych, dobrych czasów. Przegroda stwardniałego życia uniwersytetu wojny staje pomiędzy sztubą i nimi... powoli rozchodzą się i ich światy. Wchodzą ludzie, znani tylko jednej ze stron. Pamięć przynosi zdarzenia jednostronne. Potem wraca wygnany korpus, dywizja, bitwa pod Toszczycą... potem Żłobin i niepewne jutro... Z pół godziny później gawędził z ochotnikiem Lipskim. A jeszcze później wyczerpują się ostatnie ich tematy.

— Dawno u nas jesteś? — zapytuje porucznik „rekruta”.

— Trzy miesiące. A ty?

— Rok w wojsku rosyjskiem, rok w brygadzie, pół roku tutaj.

— Jak to się stało, żeśmy się dotąd nie spotkali?

— Byliśmy rozkwaterowani w wioskach. Dopiero od paru dni jesteśmy w Rohaczewie.

Pożegnali się ze sztuczną serdecznością jak starzy, dobrzy znajomi, którzy się spotykają nie wporę, pochłonięci ważnemi sprawami. „Dyrektor” czuł nawet wyrzuty sumienia, że o całą godzinę opóźnił swój wywiad, ale któż w tym wypadku byłby liczył minuty. Najlepszy nawet żołnierz na pewno nie. Musiał to być jednak dzień feralny dla wywiadowców, gdyż o 10 kilometrów dalej „dyrektor” został znowu zatrzymany. Jakiś oddział polski biwakował już na szosie i strażę słuchać nie chciały o przepuszczeniu osobnika w stroju „czubaryckim”, tudzież bez żadnych dokumentów. Oficer zaś, do którego zwrócił się Jerzy, zrozpaczony nową przeszkodą, wyraził głośno przypuszczenie, że to jakiś „podejrzany ptaszek, pewnie szpieg, albo dezterter”.

Sprawa zaczęła więc przybierać niepokojący obrót dla dyrektora „Biura Wywiadowczego”, na szczęście jednak nadarzył się wkrótce jakiś kapitan, którego Jerzy znał z posiedzeń „Ligi Walki Czynnej”. Kapitan przypomniał sobie bez wielkiego trudu dość charakterystyczną indywidualność „rekruta” i zaręczył krewkiemu poruczni-

kowi, że owa „podejrzana osobistość” jest osobą godną zaufania.

— W każdym razie niema mowy o tem, ażeby pan robił jakiś wywiad dla nas — zauważył kapitan. — O Żłobinie wiemy już wszystko jak najdokładniej — i, pożegnawszy go uprzejmie, ruszył w swoją drogę.

— Z tego wynika, że jestem niepotrzebny — zapytał porucznika z akcentem rozżalenia w głosie niefortunny wywiadowca.

— Zdawałoby się, że tak — odburknął dość szorstko oficer — ale wybaczy pan, że nie mam ani czasu, ani ochoty do dalszej konwersacji. Jeżeli pan czuje w sobie animusz rycerski, to niech pan bierze karabin i idzie z nami.

Eks-prezes czuł tylko głód i znużenie, na takie dictum jednak poczuł w sobie odrazu animusz. Dostał też zaraz jakiś stary karabin i poczłapał na 5-go w ostatniej czwórce.

Marsz był niezwykle trudny, zwłaszcza dla „rekruta”, wciąż spychanego z utartej drożyny przez sąsiada z lewej strony. I ta jednak źle utarta droga kończyła się. Weszli w jakiś wąwóz, pełny śniegu, o ścianach wysokich, stromych.

Nagle pierwsza czwórka stanęła.

— A co tam takiego, u diabła — zabrzmiał czyjś głos z boku.

— Woda, panie poruczniku. Dniepr nie zamrzłszy — odezwał się czyjś wybitnie kresowy głos.

— Nie możecie przejść w żaden sposób? — rzucił pytanie ten sam oficer, idąc śpiesznie wzdłuż linii czwórki.

— W żaden sposób, panie poruczniku. Wy-rwa będzie sobie ze cztery arszynty.

— Psiakrew! — padło zaklęcie.

Idący doszedł do pierwszej czwórki i zatrzymał się. Chwilę cisza zapanowała.

— Może nam każe skakać — pomyślał ze strachem eks-prezes, przypominając sobie, że nigdy nie był dobrym skoczkiem w Sokole.

— Wracać! — padła komenda.

Oddziałek zawrócił... — Nigdy nie trzeba zmieniać raz powziętych planów — skrytykował w duchu przygodnego zwierzchnika „rekrut“.

Tymczasem wypadkowo macierzysty oddział eks-prezesa wy dostał się na jakąś rozległą płaszczyznę, potem na czyjeś magiczne zaklęcie kolumna poczyną się stawać długą linią tyraljerską. Eks-prezes błyskawicznie przypomniał sobie odnośny paragraf podręcznika musztry, ażeby wiedzieć, gdzie właściwie jest jego miejsce. Potężne jednak pchnięcie w bok od najbliższego sąsiada zastępuje podręcznik zupełnie wystarczająco.

Linja cichych, szarych widm poczyną falować, zbliżając się ostrożnie ku czemuś nieznanemu i niewidzialnemu. W szarości nocy, ani jasnej, ani ciemnej, widać za ledwie wciąż idące przed nimi kilkanaście kroków przestrzeni, oraz małe krzaczki, niemal całkowicie przysypane śniegiem.

Po upływie może godziny „przestrzeń ruchoma” poczyną wchłaniać jakieś cienie większe i mniejsze. Można już było rozróżniać płoty, obejścia gospodarskie i chaty. Serce „rekruta” bije mocniej, uspokajały go jednak „dwukrotne” doświadczenia wojenne.

Nic zresztą nie zdradzało czegoś żyjącego w tem dziwnem miasteczku, czy wiosce. Idący wchodzą na jakiś placyk pusty i bezludny. Gdzież, u licha, bolszewicy się podziali, myśli wojowniczo rekrut.

I nagle, jakgdyby na spełnienie życzeń, robi się jasno, jak w dzień. Huk straszliwej detonacji rozlega się wśród domostw lewej strony. Eks-prezes staje w miejscu, jak wryty. Widzi, jak żołnierze rzucają się pod osłonę ścian. Widzi lufy karabinów, wyciągające się ku jakiemuś budynkowi, z poza którego błyskać poczynają ogniki.

— Na ziemię — ryczy któryś z litościwszych towarzyszy broni.

„Rekrut” stoi dalej, jak osłupiały... Świat cały rozplywa się we mgle. Czerwone płomyki z za okien i domów przykuwają go do miejsca. Dopiero silne pchnięcie kolbą wypycha go na jakiś dziedzińczyk, osłonięty z trzech stron wysokim płotem.

— Wypada strzelać — myśli teraz... I poczyną wypełniać swój bitewny obowiązek z całą sumiennością nieposzlakowanego ideowca. Ile to wszystko trwało, nie mógł zdać sobie sprawy,

spostrzegł jednak po pewnym czasie, że się rozwidnia, i że widzi już twarze swoich przygodnych „kombatantów”, strzelających wzdłuż placyku. Uderza go dzika zaciętość wyrazu ich twarzy, coś, co zdaje się mówić tamtym zprzeciwka — nie ustąpię ci, psiakrew! Niedoczekanie twoje! — Po między obu grupami, przez środek placyku, wędruje od jednej grupy do drugiej ów arogancki porucznik, dla którego „rekrut“ czuje teraz głęboki szacunek.

Oficer ma już płaszcz przestrzelony, jest jednak tak spokojny, że „rekrutowi“ robi się wstyd kryjówki. Poczyna coraz energiczniej pracować nad swoim karabinem, który, jak na nieszczęście, zaczyna stawiać coraz większy opór. Nagle spostrzega, że część linii zmienia kierunek, ostrzeliwując się na boki. Huk powtórnej detonacji wstrząsa nerwami rekruta i jednocześnie czyjś przeraźliwy głos poczyna wołać:

— Samochód opancerzony! Samochód opancerzony!

— Cofać się! — pada komenda.

W kilkanaście sekund placyk się opróżnia. Wysoki płot zagradza „rekrutowi“ drogę do odwrotu, wdrapuje się jednak na niego z akrobatycznym zacięciem. Zaledwie jednak znalazł się na drugiej stronie, już jakiś kolega bierze na cel „czubaryka”.

— Swój, swój! — krzyczy rozpaczliwie rekrut, czując znowu strach i to nie byle jaki.

Poczem, nie separując się już, kładzie się

przezornie wśród tyraljery, która, ostrzeliwując się ciągle, cofa się powoli za miasteczko.

Nagle drzwi jakiegoś domku, znajdującego się pomiędzy linią polską i rosyjską, otwierają się narozcież. Staje w nich człowiek, a raczej widmo ludzkie w łachmanach, przenezianych sznurkami krwi.

— Towaryszczy, nie strielajcie, zdieś waszi plennyje — jęczy widmo.

— Trzech, na ochotnika, uwolnić więźniów — komenderuje oficer.

I sam porywa się z ziemi. — Trzeba się odważyć — myśli „rekрут” i biegnie z przymkniętymi oczyma przez półko śmierci. Wyprzedza go jednak dwóch drabów z najbliższego sąsiedztwa.

Drzwi izby pękają pod uderzeniami ich kolb. Trzech czy czterech żołnierzy wybiega z odwachu. Pozostaje jednak kilku „cywilów”, Żydów i chłopów, nieprzytomnych ze strachu, nawpół obłąkanych od ciągłego oczekiwania śmierci. Skomląc jak zwierzęta, leżą bez ruchu na ziemi. Porucznik kopie ich nogami, ażeby pobudzić do ucieczki. Wreszcie każe drabom wywlec ich z izby i pozostawić swojemu losowi.

Poczem ratownicy wracają do linii, znajdującej się już na skraju miasteczka. Punkt ciężkości walki przenosi się widocznie na lewe skrzydło, gdyż stamtąd dochodzą najgwałtowniejsze kaskady gdakań kulomiotowych i potężne detonacje pochodzenia nieznanego niektórym wolontarju-

szom. Daje to możność chwilowego wypoczynku tyraljerze dywizyjnej.

Po uporządkowaniu swojej trzódki, porucznik wysłał „rekruta” i kilku innych na poszukiwanie chleba. Rekrut zaproponował wyszukać „piekarnię”, ale żołnierze skłękli go i wleźli do jakiejś pierwszej z brzegu izby. Było tam jeszcze większe królestwo paniki, niż na owym odwachu, sztytm kulami z dwóch stron. Wszystkie sprzęty domowe, materace, kołdry, poduszki były zsunięte ku ścianie od strony walki. Na ziemi płakała jakaś młoda kobieta, tuląc do siebie dwoje maleństwa.

Odezwali się do niej po rosyjsku, prosząc o chleb. Odpowiedziała im najczystszą polszczyzną. Była to „bieżenka” z Kongresówki. Uciekła od wojny, ale wojna nie chciała od niej uciec. To też po krótkiej pauzie w płaczu, wywołanej daniem chleba żołnierzom, kobiecina zaczęła znowu płakać. Teraz już nad ich dolą.

— Biedne, nieszczęśliwe dzieci. Idziecie na śmierć tacy młodzi, tacy młodzi o, o...—zawodziła.

Jakgdyby na potwierdzenie tej defetystycznej przepowiedni — rozległ się huk o niesłyszanej dotychczas sile i czarny słup wybucha z zabudowań naprzeciwko. Potem drugie, trzecie uderzenie piorunu. Rekrut rzuca się do wyjścia i spostrzega ze swego podwórka, że linja tonie w słupach, wykwitających to tu, to tam, wśród ogłuszających piorunów i jęków ludzkich.

— Artylerja, artylerja! — rozlegają się przerażone głosy.

Rekrut widzi, iż żyjąca część linii poczyną biec przez to samo pole, które przebyli, podchodząc ku miasteczku. Czarne słupy i białe dymki kul, prujące śniegi, towarzyszą im i oddalają go od nich. Usiłuje ich dogonić. Ale napróżno. Czuje zupełny odpływ sił, zbliżające się omdlenie. Widzi przed sobą i z boków białe kosmyki „dymków” śnieżnych. — To śmierć — myśli z przerażeniem, ale nie może zmusić się do szybszego biegu. Nieodczuwalny dotychczas, straszliwy paroksyzm lęku paraliżuje ruchy nóg. Białe dymki łączą się w grzywy falne i girlandy, wijąc się jak żmije na drodze, która leży przed nim. Energia uciekającego słabnie. Ogarnia go bezwładna, apatyczna rozpacz zwierzęcia, które trafiło do klatki.

Na szczęście, jakiś dobroczynny „piorun“ artyleryjski pada zaledwie o kilkanaście kroków od rekruta i przywraca mu przytomność. Biedny zając ludzki, osaczony na tem strasznem polu, otrzymuje swoją ostatnią porcję energii. Brnie przez śniegi, pada... podrywa się... przedziera przez trzciny, krzaki i rowy, konwojowany wszędzie przez białe grzywy „dymków“ i coraz rzadsze pioruny artyleryjskie. Wreszcie, ostatnim wysiłkiem dopływającego do brzegu rozbitka, chroni się za jakąś pustą stodółkę na siano i, wbrew wszelkim teorjom o przebijalności materiałów drzewnych, czuje się ocalony.

Ocalony i połączony ze swoimi, gdyż o kilkadziesiąt kroków zaledwie dostrzega patrol ułański i wymachuje radośnie karabinem, zapominając zupełnie o swoim wywiadowczym przebraniu. To też zamiast równie przyjacielskiej odpowiedzi, rodacy zniżają nagle lance i pędzą ku niemu en carrière.

— Swój, swój — wrzeszczy rekrut z nieopisanem przerażeniem.

Ułani są tuż, tuż... I znowu to „coś”, jak na tem strasznem polu, przykuwa go do miejsca i odbiera przytomność. Staje znieruchomiały z przymkniętymi oczyma nawprost pędzących kawalerzystów... i w tej samej sekundzie, w której musiałby już mieć ostrze lancy w płucach, homeryczny wybuch śmiechu otwiera mu oczy...

Jego niedoszli mordercy — to Jaś Zaniewski i dawny rywal polityczny, Eryk Krasowski.

P. A. L.

Po rozstaniu się jesienią 1915-go roku z „panem Mieczysławem“, faktyczny dowódca „1-ej Litewskiej Szkoły Podchorążych“, czyli t. zw. popularnie „instruktor“, wrócił nad Stochodem do prawdziwej wojenki. Po wspaniałym wypoczynku moralnym i fizycznym w „koszarach“, które dzięki „babom” nie należały do koszar najgorzej urządzonych, młody oficer oddał się z zapalem wakacyjnie przerwanej pracy zawodowej.

Był to jednak rok „próby nerwów“ na froncie wschodnim, stworzony dla natur cierpliwych i flegmatycznych. To też wkrótce poczuł „instruktor“, że mu już nudno na kawałku błotnistej, stochodzkiej łąki. Odzwyczaił się widocznie „trwać“, jak to całe życie robił jego mistrz, pan Mieczysław. Sam gryzł się tem swoim psychicznem odrywaniem się od Stochodu, tem bardziej, że taktykę „na przetrzymanie“ jego wrodzony zmysł realny apróbował jak najzupełniej. Uznając jednak w zupełności czekanie, jako najskuteczniejszy środek szkodzenia carskiej Rosji, której nienawidził — jako socjalista, strzelec, piłsudczyk i wileńczyk — nie mógł czekać.

Tak coś w końcu r. 1916-go udało mu się dorwać szczęśliwie do jakiejś ruchliwszej „roboty“. Polecono mu robić w dalszym ciągu P. O. W. na Litwie i wskrzeszać umarłe. Jeździł więc po dworach i zaściankach w Grodzieńskim i Kowieńskim, wymykając się szczęśliwie żandarmom niemieckim, jednakże plon jego pracy równał się zeru. Poprostu nie było komu spiskować. Na zgliszczach sienkiewiczowskich Wołmontowicz, czyli Polski po „potopie“ ognia 1915-go roku, zostali tylko staruszkowie i wyrostki, kobiety bez chleba i mężczyzn, niedobitki męskie skazane na ideał worka kartofli, areszt na własnej chudobie i całodzienną pracę nad utrzymaniem przy życiu c. i k. armji.

Był to już rok 1917, zanosilo się na przedwiośnie, kiedy instruktor dowiedział się o wybuchu

rewolucji w Rosji. Nie mając narazie nic lepszego do roboty, machnął na „tamtą stronę”. Formalnie— w celu dokonania wywiadu. Faktycznie — ze zwykłej ciekawości, jak też to wygląda ów Mesjasz radykalnych kółek młodzieży, do których niegdyś należał.

Trafił na jakiś pochód rewolucyjny, potem na wiec, i upił się słowem. Jego życie dotychczasowe było życiem niemowy. Wprawdzie ongi w Wilnie, z ust wymownych liderów, dowiadywał się o słodyczach swobody we Francji i Anglii, atoli już u ojca w Oszmiańskim panował „reżym mikołajowski”, przytem jedynym parlamentem z głosem doradczym była matka, nigdy żaden z synów. Cóż więc dziwnego, że ten abstynent słowa, który milczał w domu, milczał nawet u postępowców, a potem poszedł słuchać i bić się do wojska, że ten odurodzeniowy pupil cenzur politycznych i wojennych, który całą swoją, tak wczesnie rozpoczętą, młodość przesłużył, przemilczał i przesłuchał, upił się teraz wolnością w pierwszej wiosce rewolucyjnej.

Mówił! Garściami rozrzucał dziś to, co wzbierało w nim przez tyle lat! Z entuzjazmem słuchali go żołnierze i chłopci, pijani wódką i wolnością, pokrywając wszystkie wykrzykniki mówcy huraganem braw. Mówił im o Polsce, która walczyła z carem 150 lat. Opowiadał im o polskich spiskach, więzieniach, glorii i śmierci! Powtarzał im słowa pana Mieczysława o Anhellim, Sybirze i idei strze-

leckiej! Deklamował „Redutę” Orдона i krzyczał coś, dopóki nie zaczęto go podrzucać w górę i poić „na ślub z rewolucją” w jakimś szynku, pełnym „rewolucjonistek”, gorąca i samogonki.

Po swoim wytrzeźwieniu, instruktor dowiedział się z nieopisanem zdumieniem, iż został jednogłośnie wybrany na prezesa miejscowego „sowietu”. — „Gawarił palaczok, a tiepier rabotaj” — oświadczyli mu jednogłośnie wyborcy na lekkie próby rezygnacji ze strony gościa.

Rządy instruktorskie niewiele miały w gruncie rzeczy pierwiastków rewolucyjnych. Były to raczej rządy reakcyjnych magistratów małych miasteczek galicyjskich. Kazał więc odremontować szkołę, do której z konieczności zaangażowano córkę popa, jako jedyną inteligentkę miejscową. Poza tem zaabonował jeszcze pan prezes kilka „Izwestij”, wybrukował główną i jedyną ulicę, kazał wysypać piaskiem podwórze „sowietu” i zażyczył sobie święto sadzenia drzewek.

Oczywiście, iż po wszelkiego rodzaju prywacjach wojennych, żywot prezesowski wydawał się rajem materializmu. Baby znosiły mu kury, jaja, kaczki, gęsi jak „isprawnikowi” albo sędziemu przed wojną. Chłopi — wiśniaki i żytniówki, a nawet stare wina dość problematycznego „kupna”. Wkrótce jednak mimo róż, jakimi życie uściślało drogę absolutnemu władcy gminy Bychowicze Wielkie, prezes począł tęsknić do szerszego życia. Jako jedyny klient zorganizowanej przez siebie

„Czytelni Ludowej”, obficie zaopatrzonej w cały ten potop wydawnictw, pism, ulotek, jaki zalewał podówczas Rosję, utwierdzał się coraz bardziej w przekonaniu, że Mesjasz rewolucji ruszył z miejsca nie tylko jeden kraj, ale całą kulę ziemską. Nic dziwnego, że konsument pierwszego puharu słów zapragnął wychylić i drugi.

Jego odjazd, niemniej nagły niż zjawienie się na horyzoncie gminy Bychowicze, nie wzbudził głębszego żalu w liderach rewolucji miejscowej. Dość leniwi z natury liderzy mieli doń cichą urazę, że zbyt do serca wziął słowo „rabortaj” i nie dał czerwonym robotnikom spocząć na laurach cudzych zwycięstw. W każdym razie na pożegnanie stawił się lojalnie cały sowiet, oraz dożywotni zwolennicy dobrych stosunków z każdorazową władzą. Zjawił się też i pop z córką, przygnębiony wyjazdem ostatniego, bądź co bądź, inteligenta ze światka, który stawał się coraz krwawszy i dzikszy. Pomimo bowiem dziedzicznej nienawiści do popiego rodu, „instruktor” bronił kilkakrotnie biednego staruszka od tortur moralnych ze strony pobożnych chłopów.

Odjeżdżającemu wręczono wspaniałe pismo pożegnalne, stwierdzające stylem i ortografią gminy Bychowicze czystość ideową i zasługi „prezesa” względem rewolucji „tutejszej”. Kilka miesięcy instruktor wałęsał się po eksplodującej co godzinę Rosji, wciskając się natrętnie za piękną, haftowaną wzorzyście kotarę idei. Widocznie jed-

nak—albo nie umiał wcisnąć się tam, gdzie trzeba, albo też za kotarą nie było dlań nic odpowiedniego.

Pomimo więc, iż alkohol rewolucyjny, jaki spijał codziennie na niezliczonych wiecach, mityn-gach, sesjach, naradach, a nawet na tajnych ja-czejkach, dokąd ułatwiły mu wstęp wspaniałe pa-piery wydane przez „sowieci bychowicki” — nie był już „samogonką” bychowiecką, ale likierem starej firmy S. D. — instruktor wciąż poszukiwał czegoś w chaosie rewolucji. Odrzucał mnóstwo ponętnych ofert, które byłyby go niewątpliwie zaprowadziły w najkrótszym czasie na szczyt dra-biny rewolucyjnej, i wciąż tylko jeździł, badał, przysłuchiwał się, nie mogąc na nic się zdecydo-wać, ani zorjentować się w niczem.

Może gdyby mu kazano ruszyć do ataku z jakąś armją neo-napoleońską na burżuazyjne Niemcy, Austrię czy Francję, gdyby go wysłano brać stаницe kozackie z hałasą, pozbieraną z ryn-sztoków i fabryk... rewoltować Indje czy Chiny, idąc naprzelaj z jakąś bandą przez pustynie i łań-cuchy górskie — byłby się może powoli przywią-zał do rewolucji i stał się jej najwierniejszym sługą. A stać się rewolucją-zandarmem, rozstrzeli-wać nie broniących się oficerów i zielonych jun-krów, robić pogromy na folwarkach, albo, co go-rzej, prosektować jakieś Somchozy, Komwozy, Importkule i inne nowotwory lingwistyczno-eko-nomiczne, do których czuł organiczny wstręt — to wszystko nie leżało „na linii” psyche instruktor-

skiej. Nie ciągnęło go jednak i do korpusu Dowbora, chociaż sama idea armji polskiej, z tej czy tamtej strony, była mu bliska. Cóżto u licha za „armja polska“, na której czele stoją starzy, reakcyjni generałowie, sługusy zaborców, pierwszorzędny materiał na strzelecką kulę w łeb.

Zaczął więc poważnie rozmyślać o robieniu czegoś na własną rękę. Robić! Ale co?! Ucywilizować jeszcze jakieś Bychowicze. Dać posadę jeszcze jakiejś popównie?! To trochę za mało, jak na te wielkie czasy, i jak na pogodzenie się jego, strzelca, z Moskałami.

Natura mniej samodzielna i energiczna byłaby się może zgubiła w tym labiryncie sprzeczności. Instruktor znalazł bardzo prędko wyjście jasne, proste: skoro idea armji z tej strony jest już w kółce dotknięta uwiędnięciem starczym, a rewolucja choruje na śmieszne zdziecinienie, pozostaje więc tylko jedna droga: stworzyć samemu „prawdziwie demokratyczną“ armję polską, stać się małym Piłsudskim i powtórzyć na wschodzie epopeję legjonów.

Jakoż jesienią roku 1917-go, na nieczyich historycznie terenach miasteczka Orszy z przyległościami, powstała pierwsza kompanja pierwszego baonu pierwszego pułku Polskiej Armji Ludowej (w języku skrótów ówczesnych — P. A. L.).

Czasy jednak były już inne, i sielanka bychowiecka nie miała się powtórzyć w Orszy. Po pierwsze, iż pomimo swojej nazwy rewolucyjnej,

P. A. L. została stworzona na zasadach ancien regim'u. Po drugie zaś, sowieci orszański, w przeciwieństwie do chłopskich realistów wsi Bychowicze, składał się z „filozofów” i „rezonatorów”, a tego gatunku człowieczego „instruktor” nie znośli organicznie. Była to widocznie antypatja wzajemna, gdyż coraz głośniej i coraz złośliwiej sowieci orszański począł zarzucać nieproszonemu przybyszowi burżuazyjność. Ponieważ zaś, analizując wiele rzeczy naraz, n. p. kapitał, pracę, zamienienie słońca, kobiety, komety, religję, demokrację i t. d., przymiotnika „burżuazyjny” filozofja orszańska nie usiłowała zgłębić, więc i przyczyn po temu nie brakło. Azaliż nie była częścią świata burżuazyjnego czystość, jaka panowała w koszarach, cóż innego mógł nakazać oficer czy podoficer carski, a karność, chociaż i bez salutowania, a emblematy polskie? Czyż to nie burżuazyjne pomniejszenie takiej ogromnej kuli ziemskiej dla takiego małego skrawka ziemi?

Oczywiście i instruktor począł się rozczarowywać do swoich niedawnych przyjaciół politycznych. Raził go zwłaszcza organiczny wstręt do wszelkich „nowatorstw”, o ile wymagały pewnej ilości pracy. Niewątpliwie n. p. czerwona Orsza posiadała wielu szczerych robotników na polu rewolucji, atoli każde przeciętne miasteczko burżuazyjne miało o wiele lepsze latarnie i bruk. Nadaremnie jednak „wnutrennie białyj Polak” usiłował zainteresować orszańskich Diogenesów

losami tak znikomej materji, jak szkło latarniane i kamienie polne. Robotnicy rewolucji oświadczyli mu wzgardliwie, że chuligani potłuką latarnie w godzinę po ich naprawie, a co do bruku, to nogi proletarjatu są inne, niż nogi burżuazji.

Po kilku takich odpowiedziach „instruktor” zostawił w spokoju biedny postęp orszański i utonął li tylko w pracy nad P. A. L. Ponieważ aprowizował ją sam, musiał więc robić częste wyprawy na wieś, tłukąc na własnej skórze różowe szkiełka niedawnej przeszłości. Obdarzony od natury o wiele większym darem wyczuwania praktycznej niż teoretycznej strony życia, przekonywał się z przerażeniem, że to, co pół roku temu brał za eksplozję postępu, po bliższem, bezpośredniem przyjrzeniu się rzeczywistości, stawało się czemś zupełnie odwrotnem. To, co w intencjach twórców alkoholu S. D. miało być kwintesencją postępu, było wybuchem najczystszej chłopskiej reakcji przeciwko europeizmowi.

Czerwony robotnik rewolucji walczył z człowiekiem cywilizacji. Czerwony chłop niszczył przede wszystkim maszynę. Nieraz w swoich wędrówkach rekwizycyjnych „instruktor” spotykał poniszczone żniwiarki, sprężynówki, młocarnie w drzazgach.—A nam na szto?—odpowiadano pytaniem na jego wymówki. Oficerowi wydawało się, że jego pogląd na świat, jako człowieka cywilizacji, rozbito na te same szczapy drzewa i żelastwa. Czemże się odróżnia stopnie cywilizacji, jak

nie maszyną. Ileż razy patrzyli z zazdrością w dzieciństwie, jak na polach obszarniczych, sąsiadujących z małym folwarczkiem ojca, uwijały się żniwiarki „aż z samej Ameryki”. A potem w wojsku cóż za zachwyty dla nowych armat, karabinów, kulomiotów?! Ileż kar spadało na jego żołnierzy za nieposzanowanie maszyny niszczenia. Mur z porozbijanych maszyn bodaj że silniej, niż dysonans czysto etyczny, począł odpychać instruktora od rewolucji.

Należy przyznać, że do ostatniej niemal chwili „sowieci orszański” nie rozpoczynał otwartej walki z „wnutrennie białym Polakom”, jak nazywali między sobą instruktora filozofowie orszańscy. Nawet podczas pierwszych scysyj ułanów gen. Dowbora z garnizonem w Mińsku cicho było jeszcze w Orszańskiem. Skoro jednak nastąpiło rozbrojenie II-ej dywizji, zajęcie Bobrujska przez dowborezyków, oraz wymarsz oddziałów gen. Iwaskiewicza, świat orszański poczuł się zagrożony i zażądał od instruktora reform.

Pierwszem żądaniem było utworzenie rady delegatów oddziału, na co, po długich targach i walkach, instruktor zgodził się ostentacyjnie, nie chcąc zaostrezzać i tak już drażliwej sytuacji. Wiedział zresztą, że potrafi dać sobie radę nawet w razie niepożądanych rezultatów wyborczych. Jednakże walne zebranie kompanji wybrało do sowietu P. A. L. kilku figurantów, którzy wszystkie wątpliwości życiowe załatwiali jednogłośnie

„jak pan porucznik chce”... Z pierwszą więc „reformą” załatwiono się pomyślnie dla obu stron, przy drugiej nastąpiła katastrofa. Zachęcony pierwszym ustępstwem ze strony instruktora, sowiec orszański zażądał przyjęcia do P. A. L. niedotopniałych resztek garnizonu miejscowego. Był to oczywiście cios wymierzony w polskość „armji” i jej twórca mógł na to odpowiedzieć tylko „nie”.

Postanowił jednak zakomunikować swoje veto w sposób możliwie przyjacielski, zaprosił więc prezesa sowietu do jakiegoś ustronnego szyneczku i przy butelce począł mu klarować sprawę. Argumenty polityczne „instruktora”, sprzymierzone z samogonką, przekonały bez trudu rozmówcę o słuszności tezy polskiej. Niestety, usłużny szynkarz podsuwał dygnitarzowi coraz nowe i nowe butelczyny, zachmurzając coraz bardziej horyzont polityczny miasta Orszy. W rezultacie wszczęła się mała sprzeczka, potem większa, potem jeszcze większa, aż wreszcie twórca P. A. L. gruchnął „prezesa” w łeb butelką.

Prezes zwałił się pod stół, instruktor zaś kazał przerażonemu szynkarzowi wylać mu wiadro wody na głowę i poszedł zwoływać drugie walne zebranie kompanji. Żołnierzom oświadczył, że nocy dzisiejszej, po dłuższej rozmowie z prezesem sowdepu, doszedł do przekonania, że pomiędzy czerwoną Rosją a białą Polską nie da się utrzymać nic różowego. Postanowił więc przedrzeć się z kompanją do reakcyjnego I-go korpusu i tam

prześnić ideę P. A. L. Kto się z tem nie zgadza, ten może pozostać w Orszy. Zarówno żołnierze, jak i sowiet wysłuchali tej decyzji w milczeniu, zapytując tylko poprostu, na kiedy mają być gotowi i czy mogą „wszystko” zabrać ze sobą do Polski! I nim ocucony przez szynkarza prezes sowdepu zdołał zatelefonować do Smoleńska o pomoc wojskową, już kilkanaście pękających sań mknęło na zachód.

Jazda przez Orszańskie wystraszone, steryzowane przez obrońców „rewolucji” i kontr-rewolucji, była stosunkowo łatwa. Chłopi nie żalowali swoich małych koników, pragnąc czem prędzej pozbyć się niebudzących ich zaufania pasażerów. Nie zatrzymywano się też nigdzie zbyt długo na postojach, zmieniając tylko podwozy. Mokre śniegi odwilży, wyjeżdżone i wyślizgane na traktach, leżały przed jadącymi, jak dwa szerokie pasma nieskończonych, białych szyn. Po kilku dniach takiej szlichtady świątecznej, jadący zapadli w wielkie lasy międzyrzeczne Berezyny i Dniepru.

Tu już jednak podróż stawała się z dnia na dzień trudniejszą. Droga wiodła przez olbrzymie latyfundja naczelnego wodza nieistniejącej już armji rosyjskiej, w. księcia Mikołaja Mikołajewicza, i rozległe dobra Potockich. Lud małorolny, zbol-szewiczały doszczętnie. Miasteczka żydowskie, pragnąc odwrócić od siebie uwagę „rezunów”, judziły przeciwko jadącym. Nieraz zdenerwowany „instruktor” po bezskutecznych dowodzeniach chłopom,

że jednak gdzieś jakaś półdechła szkapina musi się znaleźć, uciekał się do swego „orszańskiego” argumentu, który zresztą nie zawodził nigdy.

Po kilku etapach takiej podjazdowej walki z podstępem, chytryością, kłamstwem, a nawet strzelaniną z za płotów, dowódca polskiej armji ludowej zmienił się nie do poznania. Już nie próbował nikogo przekonywać, nie tracił czasu, ani słów, ale tylko poprostu za każde „niema koni” walił „w mordę” i konie rodziły się błyskawicznie w stanie dojrzałym i zdatnym do jazdy.

Raz jednak zdarzyło się coś, co osłodziło „instruktorowi” gorycz tych pomiodowych miesięcy z rewolucją. Oto pewnego razu, studjując mapę drogi, skonstatował z radością, iż droga wypada mu tuż, tuż koło „koszar Szkoły Podchorążych“, które zachowały jednak w jego duszy swój abisyński kącik, nie twardy, nie żołnierski i nie instruktorski.

Nazajutrz rano zabrał „swoich bolszewików”, t. j. sowiet, który w ciągu drogi stał się raczej jego gwardją przyboczną, i pojechał w odwiedziny do starego obszarnika. Siarczysty mróz okrył konie szurpatym pokrowcem. Biaława mgła wisiała nad chatami, jak drugi dach bielszy i większy. Puch waty śnieżnej zawiął cały las i giął ku ziemi małe sosenki. Jakąś radością życia technął ten jasny świat i udzielał jej hojnie jadącym.

W pobliżu folwarku Lipskich instruktor kazał skrócić na zaciszną i osłoniętą polankę, znaną mu

z ćwiczeń polowych „szkoły”, i zostawił tam konie i „sowiec”. Przyszła mu bowiem słuszną myśl, że jeżeli nawet „stary” nie jest zamordowany i ograbiony, ani też nie „drapnął” do miasta, to w każdym razie chłopci go śledzą. Wizyta kilku ludzi wzbudzić może podejrzenia. Nie trzeba go narażać.

Poszedł więc pieszo, nawet bez karabina, z naganem w kieszeni. — Ciekaw jestem, czy „baby” w „koszarach” są jeszcze, czy też nie?... — myśli. Mijają go jedne po drugiej dróżki leśne, starzyny, bajory o karłowatych sosenkach z garbami ze śniegu.... ot, zwyczajnie, jak w „Abisynji”. I wreszcie tak dobrze mu znane, tyle razy przemaszerowane pole ukazuje się jego oczom. Stary dwór... nowiutkie budowle.... „też wiedział „stary” kiedy stawiać budowle na taką zawieruchę”.... — mruczy z pewnem rozrzewnieniem.

Jeszcze paręset już znacznie szybszych kroków, i oficer wchodzi na podwórze swoich dawnych „koszar”. Niezwykła cisza panuje teraz w całej „Podchorążówce”. Pies nawet nie zaszczekał na powitanie. Nigdzie żadnego ruchu, nigdzie żywej duszy.

Podchodzi do głównego gmachu „koszar” i spostrzega przyczynę ciszy. Dwór jest doszczętnie zniszczony. — Ostatecznie można się było tego spodziewać — myśli... — Ale gdzież jest stary... W mieście, czy na piwie u Abrahama!... Trzeba znaleźć kogoś ze służby... — Idzie więc dalej, lu-

strując mimowoli zniszczenia. W oknach niema ani jednej całej szyby. Okiennice, w pół wyrwane, zwi-
sają na dolnych zawiasach. Podłogi usłane szcząt-
kami papierów, książek, gazet, odłamkami szkła
i fajansu. Wiatr — ruch jedyny w tym byłym domu,
porusza kawał obicia w pół oddarty od ściany, tam,
gdzie stało ongi jego „oficerskie” łóże.

Obszedł tak cały dwór, przeszperał wszystkie
zabudowania, czworaki, w poszukiwaniu „żywej
duszy”, któraby go mogła poinformować o losach
panienek i kochanego wujaszka. Ale nic żywego
nie zamieszkuje tutaj. Chata „dziennikarza” Achre-
ma, który ongi pierwszy zwiastował „szkole Pod-
chorążych” straszliwy pogrom carskiej Rosji, zni-
szczona bodaj więcej, niż dwór. Nic dziwnego —
pański zausznik — gorszy niż sam pan. — W gumnie
zobaczył „instruktor” nowiutką młocarnię, którą
ongi musiała obejrzeć i pochwalić cała generalicja
„Szkoly Podchorążych”... Teraz owa „idée fixe”
kochanego wujaszka leży porąbana siekierami...
Instruktorowi stanął w oczach jego własny „stary”...
Ojciec też marzył całe życie o młocarni, ale miał
za dużo dzieci, a za mało ziemi... A ci tutaj...

Porwała go nagle dzika, żywiołowa niena-
wiść... stara nienawiść... zaściankowicza do chamów.
Nawet młocarni nie zabrali, a tylko niewiadomo
na co zniszczyli... swołocz!... Przecież mogła służyć
całej gminie... A on dotychczas bił ich tylko
w mordę, tych psów wściekłych, tych czubarów!...
Trzeba było rozstrzeliwać to bydło...

Był już prawie pewien, że z właścicielem „koszar” musiało się stać coś złego. Ruszył jednak do najbliższej wioski, ażeby dowiedzieć się czegoś konkretnego. W głębi uliczki wioskowej spostrzegł kilka sań zaprzężonych, juki żołnierskie i karabiny, wyglądające z pod kożuchów.

— Oho! Obława! Może to na nas — pomyślał ironicznie.

Zapukał do pierwszej chaty. Wkrótce drzwi otworzono. Jakiś ogromny, ponury drab stanął w nich.

— A czto tiebie nado?.. — burknęło drabisko, patrząc z podełba na podejrzanego gościa.

Nerwy „instruktora” były już zbyt szarpnięte tem, co widział przed chwilą, ażeby nie reagować na grubiaństwo... zareagował więc „po orszańsku”, więcej instynktownie niż świadomie. Drab wygrzeczniał odrazu.

— Gdzie pan?

— Nie wiem, panoczku!

Instruktor wyjął z kieszeni nagan.

— Gadaj prawdę!

— Nie żyje, panoczku — zawołał szybko chłop, zdejmując jeszcze na wszelki wypadek baranią czapkę z głowy.

— A panienki?

— Pani i panienki w mieście.

— Chwała Bogu! A jaka pani — zapytał po chwili, przypominając sobie, że kochany wujaszek nie był żonaty.

— A nasz pan ożenił się pół roku przed śmiercią.

— Biedny stary — mruknął ze współczuciem „instruktor” — wszystko robił za późno: idee, obory, młocarnia, ożenek!..

— Kto zabił pana?

— Nie wiem, panoczku.

Oficer przystawił „niewiedzącemu” nagan do kozucha.

— Przyjechali i zabili — wykrztusił szybko chłop. — Gwardja Czerwona z Mińska... Mówią, że ich Niemcy gonia!...

— A nie wy?

— Jak Boga kocham, tak nie my, panoczku... Ot, trochę ich i stoi jeszcze... ale to nie ci zabili... tamci zabili i poszli!...

— Dawno?

— W sobotę będzie ze trzy dni... poszli traktem na Mohylów. A my, ot tylko grób zrobili i krzyż postawili.

— Prowadź na grób pana.

Chłop poszedł, spoglądając niespokojnie na nieznanomego. Z grobu, którym był wzgórek śniegu przy drodze i krzyż z sośniny nieociosanej, „instruktor” odesłał chłopca do wsi i modlił się trochę. Kiedy jednak wstał, ażeby iść do swoich, była już szara, cicha godzina przedwieczorna, kiedy to w czasach pokoju i wojny jednakowo biją dzwony na nieszpory, pośród cichych, białych pól.

ZYSK PRACY SPOŁECZNEJ.

— Widzisz, jak to dobrze, kochany prezesie — odezwał się ułan Krasowski ze zwykłym sobie sarkazmem, wyciągając z konia prawicę do niefortunnego wywiadowcy... — Widzisz, jak to dobrze, żeśmy pracowali razem społecznie... bo gdybym cię nie znał, jużbym cię i przetknął tym kijem. Ale swoją drogą, mój kochany, trzeba być tobą, ażeby, idąc do bitki, być tak ubranym, jak ty! Przecież tysiąc razy mogłeś być postrzelony przez swoich.

— I o mało tak się nie stało, kiedy lażłem przez płot. Ale ja chciałem zrobić wywiad, ażeby dowiedzieć się, czy Gwardja Czerwona z Petersburga przyszła do Żłobina, czy też jeszcze nie?

— Toż ona właśnie ciebie pobiła!

— A czy nie wiecie, gdzie tu można coś zjeść?

— No! Wszystkie restauracje są narazie zamknięte — drwił Eryk.... ale bywaj zdrów, kochany wojaku!

— Idź tam, tam jeszcze są nasi — krzyknął litościwszy Zaniewski, do Piotrowina więcej, niż do żołnierza podobnemu, kuzynowi, i obaj ułani wrócili śpiesznie do swoich..

Był to już największy czas do przerwania konwersacji, gdyż wkrótce na opuszczone przez nich miejsce padł granat i wykwitł ku niebu jeszcze jeden czarny słup. Wkrótce stadko kawalerji z tymi „dwoma” dołączyło się do całej linji, ata-

kującej jakieś szare punkty na jasnym polu. Biała płaszczyzna zakwitła naraz od czerwonych czak ułańskich. U góry nad bielą i czerwienią ziemi eksplodowały siwe chmurki szrapnelowych buketów. I płynęły nad nimi, aż dopóki nie znikli w pogoni za ledwie widocznymi, szaremi punktami, wtapiając się tak, jak i one, w bezkresny świat!...

* * *

Tymczasem niedoszła ofiara żołnierskiego animuszu przyjaciół-ułanów wędrowała z trudem ku „jeszcze naszej” stronie miasteczka. Słupy czarne, podtrzymujące dotychczas energję rekruta, pogoniły za ułanami. Wraz z ich zniknięciem wracał z podwójną siłą paroksyzm znużenia. Napróżno usiłuje je przemoc. Uczuwa coś jakgdyby paraliż.. Ciało bezwładnieje.... nogi jak z ołowiu.... drętwieją... to znowu uginają się w kolanach... Czuje dreszcze, potem gorączka pali go, i tak dalej... — Co to jest, nie mogę iść — myśli.... I czepiając się, jak pijany płotu, idzie w stronę trzeszczeń kulomiotowych.... idzie do swoich.... „odpocząć”.

— Pan ranny?... — dolatuje go pytanie po rosyjsku....

Ogląda się.... jakaś kobiecina, otulona w wielką chustę, wygląda bojaźliwie z bocznej uliczki na ulicę... Rekrut przeczy i idzie dalej....

— Pan chory?... — pada powtórne pytanie.

Przeczy i zatrzymuje się.... po chwili machinalnie, sam nie wiedząc dobrze, co robi, skręca

w uliczkę i idzie dokądś, trzymając się jedną ręką płotu, a drugą ramienia kobieciny.

Czuł później rozkosz ciepłego barłogu i gorącego napoju.... Obudziło go dopiero gwałtowne szarpnięcie.

Ujrzał nad sobą jakieś nieznane i od wieków niegolone, zużyte człeczysko.

— Niech pan idzie sobie stąd natychmiast — krzyczał, ściągając go energicznie z barłogu. — W nocy wasi wyszli.... całe miasteczko jest w ręku bolszewików.

W tej chwili weszła jakaś młoda kobieta, której twarz wydała mu się nie obca. Kobiecina dała mu kubek mleka i kawałek chleba. Przełknął w mgnieniu oka te boskie nektary, podziękował serdecznie dobroczyńcom i wyszedł bez karabinu na uliczkę.

— Teraz dopiero moje „czubaryckie” przebranie przyda mi się na coś — pomyślał, „robiąc” zimną krew.

Zaledwie jednak skręcił z uliczki na ulicę, natknął się na patrol bolszewicki.

— Kto, skąd? papiery?.. — posypały się groźne pytania.

Struchlały „rekrut” wy dobył śpiesznie przez samego siebie w Rohaczowie sfabrykowany dokument, opiewający, iż Iwan Andrejewicz Iwanow wraca z frontu południowego do stęsknionej w Rohaczewie żony, oraz aż do sześciorga dzieci. Dowódca patrolu spojrział przenikliwie na zaru-

mienione oblicze „ojca” sześciorga dzieci, oraz weterana Wielkiej Wojny i roześmiał się głośno.

— Ten dokument jest sfałszowany— oświadczył.

Po zwykłej zamianie najstarszych butów patrolu na buty jeńca, dobroduszny patrol wpakował „ptaszka” do jadącego w stronę komendy samochodu opancerzonego.

— Wstyd panie! Wstyd bić się za burżujów — powiedział mu surowo szofer najczystszą polszczyzną. — Ja sam jestem rodowity warszawiak, a tak prałem białych, aż miło.

Był to ten sam samochód, który zmusił ich wczoraj do pierwszej ucieczki.

* * *

W sztabie okazało się, że niema narazie czasu dla tak mizernej osoby. Umieszczono go więc w jakimś wagonie z konserwami i obuwiem, w celu zaoszczędzenia sił wartowniczych.

Osoby eks-prezesa, tudzież prowiantów, pilnowało dwóch czerwono-gwardzistów petersburskich. Jeden—szesnastolatek, o ślicznych błękitnych oczach mało-winnej panienki, i drugi, stary robociarz z pięćdziesiątką lat na karku i dobrymi oczyma, pełnemi mistycyzmu i cichej wiary. Obaj wartownicy zaopiekowali się jeńcem tak serdecznie, jakby był ich gościem raczej, a nie jeńcem. Z iście słowiańską gościnnością poczęstowali go konserwami i chlebem, przepraszając, „że doprawdy sami nic więcej nie mają”. Po nakarmieniu ciała, wzięli się do duszy więźnia. Oceniając jego fizyczne i psy-

chiczne skrępowanie w przeczeniu i wolnej dyskusji, wszczęli inspirowaną rozmowę pomiędzy sobą, mającą na celu nawrócenie więźnia na drogę „czerwonej cnoty”. Okazało się przytem, że „płomień rewolucji” ogarniać poczyna nietylko Berlin, Wiedeń i Budapeszt, ale Paryż, Londyn i Rzym. Potem wartownicy zaczęli omawiać „wypadki bieżące”. Teraz domniemany Iwanow sam nadstawił uszu.

— Wczoraj z rana tylko co nas przywieźli mówił młodzik — godzina piąta, czy szósta rano.... Raptem krzyk.... Palaki, Palaki.... Wyskoczyli my z eszelonów, pokładli się na szyny i do nich. Ale radyby nie dali, gdyby nie panczerka samochodowa i nie nasz Stanisław Kazimirowicz. Ten dopiero przepędził białogwardzistów.

— Pewnie, że on — potwierdził stary, walcząc z uporczywym atakiem kaszlu. — Na samochód opancerzony trzeba mieć artylerję, a oni jej nie mieli.

Potem ciągnął dalej młodzik... — Było już może pięć, czy sześć godzin tej strzelaniny, kiedy przyszły eszelony artylerji z Homla. Ta dopiero zaczęła ich prac. No, i wieczorem ustąpili.

— Polacy - białogwardziści — to dobry żołnierz — zauważył odniechcena stary — ale ich naczalstwo jest głupie. Był czas, kiedy na froncie można było kupić armatę za sto rubli, a oni czekali na pozwolenie Kiereńskiego. A co robić w wojsku bez artylerji?

— Mówią też, że jeden ich pułk spóźnił się. I że, gdyby przyszedł na jakie dwadzieścia minut wcześniej, już byłoby po nas.

Serce „Iwana Andrejewicza Iwanowa” ścisnęło się z markotności wielkiej. — Dwadzieścia minut — pomyślał. — Tylko dwadzieścia minut.

W parę godzin później sympatyczna warta odprowadziła więźnia do komendy.

Komendantem okazał się jakiś podoficer wątpliwego alfabetyzmu, który po półgodzinnem sylabizowaniu dokumentu Iwana Andrejewicza orzekł, iż jakkolwiek dokument jest autentyczny, jednak niech posiedzi z tydzień dla pewności.

— Za tydzień rozbiorimy białogwardzistów w Rohaczewie i pojedziecie sobie do żony pod pie-rzynę, „towarzyszu” — dodał na osłodę decyzji „komendant”.

Stęskniony jednak „do żony” Iwanow nie posłuchał rozsądnej rady komendanta. Po trzech czy czterech dniach zwiął na dworzec i szczęśliwie dostał się na pociąg cywilno-wojskowy, odcho-dzący w stronę Homla.... (Na pierwszym przystanku za Dnieprem zeskoczy i tyle go będą widzieli).

Tymczasem stoi w drzwiach wpółotwartych, rozkoszując się ruchem pociągu, który przynosi wolność. Długi, wielowagonowy pociąg zwolna przepelza most na Dnieprze. — Zaraz zeskoczę — myśli więzień.

— Wasz dokument, towarzyszc — przerywa słodkie marzenia o wolności czyjś głos...

— Jezus Marja! — przypomina sobie z przerażeniem, że jednak przezorny komendant nie zwrócił mu dokumentów.

— Nie mam przy sobie papierów, towarzyszu — odpowiada z udaną obojętnością. Odwraca się i kamienieje z przerażenia.

Jest to ten sam dobroduszny patrol, który tak po przyjacielsku aresztował go przed kilku dniami.

Tym razem jednak fizjognomja duchowa dobrodusznego patrolu zmienia się do niepoznania.

— To szpieg polski! Ładnie ich pilnują. Zabić go tu na miejscu — odzywają się rozwścieczone głosy. Lufa rewolweru dotyka skroni Jerzego.

Na szczęście czyjaś ręka uchyla nieprzyjemny dotyk. Jednocześnie delinkwent zostaje wepchnięty do przedziału i słyszy jak przez sen swego przerażenia ten sam spokojny głos: — Uspokójcie się towarzysze. Nam nie ucieknie.

W kilka minut później eks-prezes znalazł się w przedziale dla aresztowanych, gdzie już siedziało kilku innych ptaszków.—Teraz już wszystko skończone — myślał z rozpaczą... — Gdyby nie ten przeklęty patrol, w najgorszym razie sądziliby mnie, jak zbiega. Teraz będą mię sądzić, jak szpiega.

Ogarnęła go wściekłość. Być tak blisko swobody i tak haniebnie dać się złapać!!! Po wściekłości przyszła kolej na apatję. Wyciągnął się na górnej ławce, nie reagując dalej na wypadki, a „cóż to pomoże?”

Depresja jednak „rekruta” długo nie trwała. „Lipa, wiecznie coś robiąca” nie mogła poprzestać „na nic nierobieniu”.

— Trzeba jeszcze raz im uciec — pomyślał. — Uciec.... Ale jak?

Począł analizować pokolei swoje możliwości ucieczkowe. Wytłuc szybę i skoczyć.... są pewne szanse... dostania się pod pociąg. Próbować przez drzwi. No, drzwi nie są zamknięte na klucz, bo się wogóle nie zamykają, ale dwóch szyldwachów stoi we drzwiach. Nie puszczą go, albo złapią. Więc już chyba tylko w Homlu przy wysiadaniu.

Analiza ucieczkowa przyprawiła go o zły humor i dość rzadki w życiu eks-prezesa napad pesymizmu. Cała ta jego nieszczęsna wyprawa wywiadowcza była jednym pasmem głupstw. Niczego się nie dowiedział. Jego „Biuro Wywiadowcze” straciło swego „dyrektora” („zresztą to jeszcze najmniejsza strata”), on sam o mało nie zginął z rąk przyjaciół. A jeżeli cudem jakimś uda mu się wyjść cało z tych tarapatów, to i tak na dobre parę lat mogą go „wytrącić z pracy”.

I poco? Kto miał jakąś korzyść z tego wszystkiego. Nie sprawa w każdym razie.

Intencje miał słuszne. Chciał „robić to, co jego podwładni”... Chciał się „koniecznie narazić”. No, i naraził się... Ale cóż, kiedy bezużytecznie.

Teraz dopiero zobaczył wogóle jedną z charakterystycznych cech swojego światka. Oto „ofiara” obchodziła świętek daleko więcej, niż „użytecz-

ność ofiary”. Nie mierzono tam ludzi inną miarką, jak zdolnością do „narażeń się”.

Musiał więc postąpić tak, jak postąpił. Rzucił lekkomyślnie swoje obowiązki, ażeby się trochę „narazić”. Niedbale i po dyletancku sfabrykował swój dokument osobisty. Lekkomyślnie nie zaoopatrył się w przepustkę „u swoich”. W rezultacie był śmiesznym żołnierzem i nieudolnym wywiadowcą. Widocznie mało już jest tylko „narażać się”, trzeba umieć narazić się z korzyścią.

Wygnyany optymizm wrócił jednak po pewnym czasie. — E, co tam gderać samemu sobie, jak stara ciotka — zaopinjował, wyciągając się jak najwygodniej na ławce.

Pociąg z więźniem zatrzymał się wkrótce na jakiejś małej stacyjce przedhomelskiej, zabierając do wypchanego wagonu jeszcze sporą liczbę nowych obywateli. Na następnej stacyjce powtórzyło się to samo, wskutek czego prawie pusty przedział z czterema więźniami i dwoma wartownikami począł budzić ogólne niezadowolenie. W rezultacie wszczęła się ożywiona polemika pomiędzy duszącymi się w ścisiku pasażerami i wartą na temat, czy w czasach tak wolnościowych może istnieć burżuazyjna pustka, wobec czerwonego przepełnienia. Wartownicy bronili się „po staremu” rozkazem, otrzymanym od „władz rewolucyjnych”, atoli publiczność oświadczyła chóralnie, że ma już dość wszelkich rozkazów władz, wojny i rewolucji. Wkrótce też jakiś „drab” odepchnął brutalnie

jednego z wartowników, pakując do przedziału w pierw szmuglowany worek z żywnością, a potem swoją osobę. Za nim wślizgnęły się jakieś babiny z jajami. Potem parę dziewcząt, kilku Żydków z Homla etc. Słowem, areszt „dyrektora” zmienił się w zwykły przedział klasy trzeciej.

Całe to towarzystwo, nie wyłączając pogodzonej z faktem dokonany warty, poczęło sobie gwarzyć o drożącym chlebie, niepewnej pogodzie i niepotrzebnej wojnie... Tymczasem wśród czarności zaokiennej ukazywać się poczęły różnokolorowe światła latarń. Czyjaś głowa wychyliła się z przedziału na korytarz.

— Ej, towarzyszu-konduktorze, a co to za stacja?

— Homel towarowy—odburknął szorstki głos, płaconego spadającym rublem, dostojnika.

Na te słowa babiny poczęły uszczelniać jaja w koszyku. Chłop-szmuglarz zdjął worek z nóg Jerzego.... I w całym przedziale dla aresztowanych wszczęła się żywa krzątanina przedwyjściowa.

Sygnaly kolejowe czerwone, zielone i białe stają się coraz częstsze. Rozlega się przeciągły gwizd lokomotywy, zwiastujący przybycie... Zupełnie instynktownie, nie zdając sobie sprawy absolutnie z celów tego ruchu, Jerzy złazi z górnej ławki, spokojnie usuwa nabok jednego z szyldwachów i wychodzi na korytarz. Na końcu korytarza otwiera drzwi, wychyla się w pół... i czeka... Pociąg pędzi jeszcze zbyt „po carsku”, ażeby móc skoczyć.

— Kto zdieś — czyjś głos szorstki i światło latarki.... Więcej przeczuciem, niż wolą „rekrut“ powstrzymuje się od skoku... — A czto tiebie za dieło? — odpowiada z przesadnem grubjaństwem. — Aha! Ostrożnie, towarzyszu!... Możecie wypaść — ostrzega uspokojony konduktor — i idzie dalej... Pasma różnokolorowych światełek przemijać poczyna coraz wolniej... Jerzy decyduje się na skok i pada szczęśliwie na miękki śnieg, odgarnięty z plantu. Mijają go okna ostatnich wagonów. Jest wolny!...

DZIEJE „KONRADA”.

Dwukrotnie ranny i dwukrotnie „zdrów jak byk” — sierżant 1-go p. p. legjonów, nazwiskiem Konradowski, po drugiej i długiej rekonwalescencji usiłował przedostać się do korpusów wschodnich. Aresztowany na jakiejś poleskiej stacyjce nadgranicznej i przewieziony do Lublina, „zwiął” szczęśliwie do Krakowa. Tam dostał trochę „adresów” i gorączki.

„Adresy” dały mu aspiryny, korony i fałszywy paszport, poczem źle podleczoney sierżant zaczął się wybierać w dalszą drogę.

W kalendarzu i Krakowie była już wiosna, koniec kwietnia.

Planty jasno-zielonym wałem otaczały stare miasto, ciche podczas pokoju, a tem bardziej podczas wojny. Tam i sam snuły się kilkoosobowe stadka pańienek, w towarzystwie nielicznych

szczałków gatunku męskiego, rozproszonego przez gigantyczny mechanizm wojny. Niedogaszona przez „kriegs”-oszczędność lampki elektryczne siały cienie listne po drożynach. Jakieś kwiaty kwitły gdzieś, na którymś z klombów. Chłopcy „od Kurjerka” uwijali się z paczkami gazet w rękę, wrzeszcząc wniebogłosy: „Kur...jer! Co..o... dzienny! Kurjer! Co..o. dzienny!! Ge..ne..rał... Dow... bór Muśnicki... two...rzy... Ar...mję Pol...ską.. Trzysta tysięcy! Pięćset tysięcy... Mi...ljon... i pięćset tysięcy... Ilustrowany Kurjer Codzienny... Generał Dowbór!!” Każdy kupował gazetę i nikt nie wierzył. Nietylko arytmetyce chłopców ulicznych, ale i faktom. Całe społeczeństwo było już poza wszelką erą wiary i nadziei. Najobrzydliwsza mgła jesienna snuła się wśród kwitnących drzew.

Idea? Niepodległość? Armja? Przyszłość? Były to statuetki gipsowe z saloników klas posiadających! Byłych klas posiadających! Dziś nie posiada już nikt nic. Ani rodziny, ani chleba, ani nadziei! Posążki, do których się modlono jeszcze tak niedawno i tak namiętnie, wywędrowały na jakieś szczyty górskie, dostępne dla oczu najsilniejszych, najbardziej wierzących! Dla niewierzących — lasciate speranza!

Wiara? Entuzjazm? Nadzieja? Przyszłość? Cha! Cha! Cha!

Potrawki odgrzewane z r. 14-go. Potrawki dobre w r. 1914, kiedy wojna była czemś zniszczeniem, potężnym i błyskawicznym. Ale krótka bu-

rza lipcowa minęła i rozpoczął się deszcz po burzy, nieskończenie długi, krwawy, monotony, nużący!..

A teraz?

Teraz minęło nawet i to. Angielskie mgły rozpełzły się po całym kraju statuetek, mgły niepokoju przed pokojem, pokojem na status quo!

Ale i to tam, tylko tam, w tym nierealnym i nierzeczywistym świecie państewka „Galicji i Kongresówki“. A niżej, w świecie realnym — kominy odymione, ale niedymiące, jak las drzew niedociętych na spalisku pasieki. Resztki mężczyzn, ubijane kolbami do bydłowych wagonów, wiezione na zastępstwo „germańców“, ruszonych na wojnę z Romanami i Słowianami. Dzieci, mrące tysiącami. Kobiety—suki, prostytuowane i głodne, myślące jedynie o misie pomyj dla siebie i swoich szczeniąt.

Prawda! I na tym cmentarzu biła godzina, kiedy się zdawało, że „ziemia się rozewrze“ i że umarli powstaną. Olśniewająca zorza północna zapaliła się nagle na Wschodzie. Świat dobijany przez wojnę, dobijaną co każdy „wstępny“ i niekończącą się, jak nieszczęście, jak dżuma, jak zaraza, wykonał radośnie zwrot na lewo ku czerwonemu Oriente Lux!

Każdy ruszył tam z koszyczkiem po swoje. Pacyfiści — po idee pokoju! Przerażona Entente po nowy entuzjazm w jatce słowiańskiej. Niemcy po pokój odrębny. Socjaliści — po jedyne państwo uszczęśliwione przez ich osoby. Prawica — po re-

wolucję comme il faut. A Polska — po swój Kirchholm, Grunwald, idący na Warszawę, Wiedeń — nie orientacji austriackiej.

Ale przylaszczka z pod śniegu marcowego zwiędła już na prima-aprilis. Dzienniki niemieckie z dyskretnem szyderstwem podały konkretne cyfry „Wielkiej Armji Polskiej” na Wschodzie. Cyfry tak znikome, tak nieskończenie małe, że nikomu wierzyć się nie chciało, ażeby złudzenia ludzkie mogły być tak wielkie!

A potem rozchwiała się druga serja nadziei. Miał tam pójść sam Piłsudski, miał objąć komendę! I czy znowu ktoś zdradził — od wieków wiecznych szpieg idzie w parze z Ideą — czy może sama idea okazała się zbyt jasną i prostą, ażeby ją ukryć było można — dość, że jest to, co jest! Ostatnie przytułki nadziei zamknęły się, albo zamykają się zwolna! Legjony dogorywają, oplecione drutem koleczastym! Dognana i osaczona brygada Hallera! A tam gdzieś, koło bagien poleskich oczekuje swojej kolejki korpus Dowbora, ochrzczony szumnem przezwiskiem „armji”. Point des réveries! Na szpaltach pism centralnych wali się w gruzy niedosiężny Paryż!

Nawet Paryż, a cóż my!

Kraków Konradowskiemu umarł. Dawna „paczka” rozproszyła się po świecie. Połowa powiedziała — dość. Reszta stała się nałogową ofiarą idei, poszukującą swego grobu. Postanowił uciec „stąd” na Wschód, gdzie jednak tleje jeszcze coś...

Konradowski nie miał nigdy życia osobistego. Bieda żarła od maleństwa tego obszarnika na dużym kawałku grodzieńskich piasków. Był źle wychowanym, piątem czy szóstym dzieckiem przeciętnej rodziny polskiej, dzieckiem, które musiało sobie odmawiać wszystkiego, w domu, szkole i uniwersytecie, aż do chwili głodu, ognia i wojny dla wszystkich.

Tem mocniej związał ze sobą cherlaka-pesymistę świat idei. Dla innych był to kościół-warsztat, pełen wiernych i niewiernych, dewotek, faryzeuszy i płatnych zakrystjanów. Dla niego był to dom, w którym mieszkał, jadł i spał w braku własnego. Mieszkał w nim podczas dziecinnych konspiracyj uczniowskich i w wojsku, wysłanem na wymarcie, źle uzbrojonem, leczonem i żywionem... kiedy po pierwszych majach jesiennych przeszli całą gehennę pytań poco i dlaczego, posiadając tylko stopnie żołnierskie, ale nie żołnierski mózg.

Mieszkał w nim i wówczas, kiedy zdradził chłop-symbol „odrodzenia narodowego”, główny gospodarz „domu idei”. Chłop, który usiłował go wyrzucić z jego mieszkania, jak kamienicznik lokatora, płacącego nierealnymi wartościami. Chłop kielecki, który szepnął płatną nowinę o nocujących strzelcach temu samemu wrogowi od 3-go maja, który był niedoścignionym mistrzem w poniewieraniu t. zw. „klas pracujących”, którego cały program socjalny streszczał się w dwóch słowach: „bić w mordę”.

Ale ten „kacap”, ten znieprawiony symbol inteligentnego patriotyzmu, posiadał obfite koryto, koryto „żarcia”, jak mówił jego kapral, chłopak ze wsi i największy wróg chłopów. Kacap ten szedł od strony Rosji — symbolu bogactw i łatwych karier. Kacap ten niósł złoto, nahajkę i knut, co kto chciał w wiosce do wyboru... Więc i symbol padł!

Ale trzeba kończyć życie tak, jak się zaczęło.

* * *

Wkrótce po szczęśliwem dostaniu się do Warszawy, Konradowski dowiedział się od swoich warszawskich „adresów”, że do stolicy przybyło kilku dowborczyków i że warto się z nimi zobaczyć przed przedarciem się do korpusu. Adresów jednak dowborczyków nie umiano mu wskazać, to też czatował na nich to tu, to tam, aż nareszcie przydybał u Lourse'a.

Zanim dostrzegł ich wśród tłumu wchodzących i wychodzących, powiedział mu już o tem szpaler, jaki się tworzył przed nimi, i przesadnie żywy szepc „oni”, „oni”. Biegły ku szczęśliwym posiadaczom „chwili historycznej” spojrzenia, jakimi kobiety obdarzają tylko ostatnie wydania zwycięzców. Upłynęło kilka chwil, nim Konradowski zdołał to i owo zaobserwować.

Dowborczyków było dwóch. Jakiś krępy, niski, barczysty podporucznik o wybitnie głupkowatej twarzy, i młodziutki, osiemnastoletni może

ułanek, piękny, jak panienka, i widocznie oniesmielony pożądliwymi spojrzzeniami samiczek kawiarnianych. Nie chcąc im zawadzać przy odbieraniu hołdu od publiczności, ale zarazem i stracić z oczu, Konradowski siadł przy najbliższym wolnym stoliku. Podejdzie do nich wówczas dopiero, kiedy już będą wychodzili.

Rzucił przelotnie wzrokiem na swoje vis à vis. — „Skądże ja znam tego wysokiego huzara” — pomyślał. Prusak spojrział nań również badawczo. Ale ostatecznie było to tak zwykłe i tak małoważne w tych czasach, że znowu począł się przyglądać szczęśliwym amarantom.

Mógł czynić to bez obawy natręctwa, gdyż robiła to cała kawiarnia. Każdy stolik czytał, wzdychał i rozmawiał, ale z poza gazet, kaw, twarzy — vis à vis, udanego zainteresowania i mało — ważnych uwag, sęczyły się strumyki spojrzeń, skupiając się, jak w soczewce, przy amarantowym stoliku. Każdy był myślą tam, każdy chciał biec, o coś się zapytać, czegoś się dowiedzieć... gdyby nie *savoir vivre* i policja pruska. Cała ta poczta niewidzialna zawierała jedno pytanie: „Kiedyż przyjdziecie, drodzy, kochani, aby nas uwolnić od tych przeklętych Szwabów!”

Konradowski patrzył na amarantowy stolik z tem samem uczuciem, co i tłum. Z poczuciem, że jest to ostatnia deska ratunku psychicznego, ostatni skrawek tęczy, widoczny jeszcze wśród chmur...

Potem cofnął się trochę myślą ku przeszłości, ku dniom sierpniowym „z r. 14-go”, kiedy to i on sam był cząstką soczewki-nadziei. Przypomniawszy sobie z odrobiną melancholji, jak to tam było wtedy w Krakowie, kiedy to oni byli pry-mawerą historji. Kiedy to i im wznosili ołtarze wieczni wielbiciele ostatnich nadchodzących. Przypomniało mu się jakieś dziewczątko u boku grubego papy-wędliniarza, który klaskał końcami palców, nie fatygując się nawet zetknąć porządnie dłonie, zadowolony, że wędlina idzie w górę i że strzelcy idą na Moskała... Zato dziewczynka skakała, jak fryga, gotowa rzucić się na szyję całej kompanji... Swoją drogą... jak to jednak już było dawno.

Znowu spotkał natarczywy wzrok pruskiego huzara. — Gdzie ja go widziałem?... — myślał nieco zaniepokojony teraz ustawiczną obserwacją. Jako specjalista-obrońca „piastów i piastówien” od gwałtów i rabunków, miał tyle grzeszków wobec „armji sprzymierzonych”, że podniósł nieco gazetę, ażeby się ukryć przed natręctwem aroganckiego kawalerzysty.

Tymczasem przy stoliku-soczewce wszczął się ruch. W kapeluszu na głowie, z teką wyslizgującą się z pod pachy, z laską, grożącą Bogu ducha winnym ludziom, wpadł jakiś uprzywilejowany krewniak „bohaterów chwili”, demonstrując z dumą przed całą salą fakt pokrewieństwa. Po odtrąceniu dwóch kelnerów i potrąceniu (bez

„przepraszam”) kilku gości, grubas dopadł szczęśliwie niewinnego ułanka, który utonął błyskawicznie między brzuchem i ramionami „uczuć rodzinnych”. Poczem z nieco większą rezerwą grubas dokonał tego samego obrzędu na osobie głupekowatego porucznika.

— Kochani chłopcy! Bohaterzy najdrożsi! Jakże się niezmiernie cieszę, żeście żywi i zdrowi. A tyleśmy się napłakali i naniepokoiili o was... Daliście tego w skórę bolszewikom, co? Zuchy! No cóż tam teraz słyhać w tym naszym poleskim, błotnistym Piemencie?

— A co tam? Ot, kradną i koniec... — odpowiedział głupekowaty porucznik i roześmiał się bezmyślnie, zadowolony z dowcipu.

— Kradną i koniec — powtórzył Konradowski i roześmiał się również.

— No, cóż tam takiego, kradną, kradną!!! Wszędzie kradną! — oburzył się grubas. Poczem, najwidoczniej niezadowolony, odwrócił się plecami do nietaktownego oficera i począł odmawiać całą litanję wspomnień rodzinnych z kuzynem — ułankiem.

— Kradną i koniec — powtórzył jeszcze raz Konradowski niefortunny żart. Kradną i koniec, powiedział sam w sobie i dla siebie. I coś rozplynęło się w nim nagle... coś z tej przyszłości, która miała się stać.

Stolik-soczewka zgasł. Ażeby przestać „o tem” myśleć, począł patrzeć bezmyślnie w okno, przy

którem kelner zwijał wielką, żółtawą, płócienną roletę. Trochę jaśniejszego światła padło w głąb sali i uwyraźniło twarz Konradowskiego, twarz szaro-ziemistą, chudą, o wystających kościach policzkowych, o oczach palących się w głębi oczodołów, twarz mistyka, misjonarza, apostoła... I twarz pruskiego huzara, tępą, silną i bezlitośną, twarz człowieka o paru dogmatach, człowieka wojny i okrucieństwa, trudu i obowiązku.

— Znam go przecież... — przypomniał sobie nagle Konradowski, tym razem z bezwiednym niepokojem. — Znam, ale skąd, gdzie, jak... — To samo myślał huzar. Pamięć obu pracowała gorączkowo nad przypomnieniem sobie czegoś zblakłego i wypłytartego przez czas.

„Konrad” był tam pierwszy. „Kino” wojny (melodramat). Scenarjusz zwykły. Wioska. Chata chałupniczki. Dekoracja: pole — las. Bohaterka — biedna, wpółzdechła krowina, całowana po nogach przez stadko dzieci, i matka, całująca po nogach Prusaka. Huzar wściekły, tłucze ją po twarzy, krowa się wyrywa, dzieci krzyczą... ach, jaka śmieszna scena.

A potem „epilog”. Naiwny Prusak, widząc nadbiegającego strzelca, woła „kamerad” i żąda, ażeby wytłumaczył babie, że on przecież zapłaci za tę ostatnią krowinę... zapłaci gotówką.

I „kamerad” przybiegł na „pomoc” „sprzymierzeńcowi”. Drugi, który na nieszczęście zdążył zwać, to zdaje się ten z vis à vis. Ale krowina ocalała.

— Teraz ja muszę stąd „wiał”, póki czas — myśli Konradowski. Kładzie pieniądze i chce wyjść... ale nie wstaje... „A dokąd? Dokąd?” Znowu, jak usypiająca melodia katarynki, grana na podwórzu obskurnej kamienicy w jesienny dzień, kłują mu słuch słowa amarantów, słowa-komentarze żartu jowjalnego porucznika. „Dokąd? Dokądże?” Myśli, robiąc spóźniony ruch ku drzwiom... Widzi przed sobą, wyrosłe jak z pod ziemi, barczyste postacie huzarów, którzy biorą go pomiędzy siebie i prowadzą dokądś...

NARZECZENI A LA PAŃSTEWKO!

Po szczęśliwym przyjeździe do Homla bez biletu, eks-dyrektor „Biura Wywiadowczego” udał się do miasta na poszukiwanie homelskiego „państewka”, które istniało oczywiście w Homlu tak samo, jak we wszystkich większych miastach Polski, Rosji, Niemiec, Austrii, Stanów Zjednoczonych i zapewne w wielu innych krajach i kontynentach. Jakoż udało mu się odszukać szczęśliwie dwóch królów państewkowych, Łukaszewicza i Maczewskiego, których adresy i nazwiska znał ze zjazdów młodzieży i prezesowskich „wizyt inspekcyjnych”.

Oczywiście, liderzy przyjęli lidera z całą serdecznością, pomimo rewizyj i aresztowań, jakie rozpoczęły się w Homlu. Oznajmili mu również, że „siła zbrojna” „państewka” homelskiego, t. j. skauci miejscowi, przekradają się pojedynczo i grup-

kami do Dowbora i że wkrótce „spotkamy się tam wszyscy”. Po wysłuchaniu relacji z przygód prezosowskich, obaj królikowie homelscy poradzili mu jednak dostać się raczej do Mińska i stamtąd próbować przedrzeć się do Bobrujska. Z tej strony Dniepru byłoby to zbyt ryzykowne.

Eks-dyrektor chętnie na to przystał, po dwukrotnem bowiem aresztowaniu nie miał wielkiej ochoty trzeci raz próbować szczęścia. W Mińsku musi na pewno istnieć jakaś „Firma Transportowa Mińsk — Bobrujsk”. Z Bobrujska zaś dostać się do „kompanji”, to głupstwo, o ile zresztą po porażce żłobińskiej „kompanja” sama nie dostała się już do Bobrujska.

Drogę Homel — Mińsk via Łuniniec miał stosunkowo spokojną, wyjechał bowiem, jako Izaak Berkman, a więc rasowy przyjaciel wszelkich rewolucyj. Legitymacja „szkolna”, artystycznie podrobiona, chroniła go od wszelkich podejrzeń.

Do Mińska przyjechał o 6-ej z rana. Jediną istotą, żyjącą na dworcu oprócz pasażerów, był śpiący jeszcze bufetowy. Z niekontrolowanym i nieodbieranym przez nikogo biletem Izaak Berkman ruszył na miasto. Na ulicach nie było również żywej duszy. Ani milicji, ani patroli... Nic! Widocznie i władza, i publiczność uważały, że w czasach rewolucyjnych najlepiej jest wysypiać się na zapas.

Po długiej włóczędze kawiarnianej („od zamkniętej do zamkniętej”), dopiero o 9-ej z rana „Izaak” zaczął spotykać „istoty żyjące”. Miał jednak

pecha, albowiem były to istotki z „plemienia rozsądnych”, śpieszące do niedoniszczonych biur i zajęć. Przy spotkaniu z eks-prezesem udawały, że go nie widzą, zaczepione zaś szeptały ze zgrozą: — Pan tu? Jezus Marja! Ależ to warjacja! Pana tu wszyscy znają.

Dopiero o godzinie dziesiątej i pół strapiiony Izaak zetknął się z pierwszym przedstawicielem „rodu nierozsądnych” w osobie „długiego” i znajomego skauta. Skaut zabrał go prawie że przemocą „do siebie”, a prowadząc pustemi i cichemi uliczkami, opowiadał mu wiele ciekawych rzeczy.

Takie spokojne napozór miasteczko wyrabiało okropne historje. Przedewszystkiem wypowiedziało ono wojnę władzy bolszewickiej. W mieście znajduje się około dwóch tysięcy żołnierzy polskich, zbiegłych à la Izaak Berkman z niewoli bolszewickiej i około 17.000 „czubarów”. Ponieważ każda ze stron jest za słaba, ażeby zwyciężyć, a zbyt silna, ażeby dać się rozbroić, więc losy tej podziemnej batalji nie są jeszcze zdecydowane. — Mamy jednak niezbitą nadzieję, że wszystko będzie jak najlepiej — mówił skaut. — Właśnie wczoraj organizacja nasza wysadziła most na drodze do Bobrujska, aby utrudnić transporty wojsk przeciwko Dowborowi. A codzień w nocy wykradamy im pyroksylinę, granaty i naboje. Przedwczoraj buchnęliśmy im nawet kulomiot.

Taką miłą i krzepiącą eks-prezesowskie serce rozmową bawił „długi skaut” starego mistrza.

Wkrótce stanęli przed jakimś małym, o dziwo, dobrze znanym domkiem.

Drzwi obu „ptaszkom” otworzyła pewna bardzo młoda i miła panienska. Eks-prezes zarumienił się, ona również. Widocznie istniały pomiędzy nimi jakieś tajemnice.

— Moja narzeczona — oznajmił z dumą długi skaut. — Narzeczona — oburzył się w duchu gość. — Kiedy byłem „prezesem” ten smarkacz... ale widocznie to nie wpływa na takie rzeczy.

Śliczna panienska i jej starsza siostra, już męzátka, przyjęły apostoła dawnego „zrzyszania się” z niesłychaną serdecznością. Po pierwszym wybuchu pytań: — Pan Jurek? Skąd? Jak? — zmusiły go do położenia się na jakiejś kozetce, wmawiając weń, że „okropnie wygląda”, okryły pledem, przyniosły narazie doskonałej kawy i bułek... Poczem siadły obok z szyciem przedwczesnych bandaży dla przyszłych rannych i opowiadaniem „co słyhać”.

Po obiedzie, który był gorącym świadectwem, że dla gościnnych harcerek nie istnieje ani wojna, ani rewolucja, gospodynie wyszły na miasto, zalecając Jerzemu „solidny i zasłużony wypoczynek”.

Eks-prezes skorzystał z tej dobrej rady, myśląc trochę sennie (podróż via Łuniniec zdolna jest zabić najsilniejsze uczucie zazdrości), jak to kiedyś, jako wielki dygnitarz szkolny i państwowy, poznał pewne urocze dziewczę skautowskie... Jak to zapalał ku niej wielkim afektem!... Jak się jej oświadczył... i jak dostał kosza... pomimo,

że był taką wielką wielkością w jej światku... Teraz zaś?! Ach, ci najmłodszy. — Spał już, jak zabity, po ostatniej serji smutnych myśli, kiedy obudziło go nagle mocne walenie w drzwi frontowe.

— Jezus Marja! Rewizja!

— A kto tam? — rozległ się w przedpokoju zalękniony głosik skautki.

— To ja, panno Irko, proszę się nie bać — doleciał z zewnątrz stłumiony bas męski.

— A, to pan, panie Władku... Jezus Marja, jak nas pan przestraszył! Myśleliśmy, że rewizja. Dlaczego tak późno?

— Bo, bo są ważne powody!

— Otwieram panu, ale niech pan odrazu nie wchodzi, bo jestem nieubrana.

— Dobrze! Dobrze!

— Przeziębi się ta mała — mruknął niechętnie eks-prezes, do serca którego począł się najwyraźniej wkradać wąż zazdrości.

— Kolego Jerzy — zagadnął go spóźniony gość, wsuwając głowę gdzieś pomiędzy sufit i drzwi — muszę do was wpaść na chwilę.

— Ależ bardzo proszę — zawołał eks-prezes. Instynkt społeczny wziął górę nad węzem. Poczul, że „coś się święci”.

— Bo widzicie — ciągnął młody, szukając na próżno w ciemnościach wyciągniętej dłoni starego. — Moi skauci wykryli dzisiaj zapomniany przez czubarów nowy skład amunicyjny... Właśnie buchamy stamtąd, co się da... dajcie-no rękę.

„Długi skaut” dotknął jakimś przerażająco zimnem żelastwem wyciągniętej dłoni Jerzego. Eks-rywal cofnął śpiesznie rękę.

— To granat ręczny. A to pyroksyлина. Wszystko w doskonałym gatunku.

— A co myślicie z tem robić — zapytał z mimowolnym niepokojem eks-prezes.

— Schować to narazie pod waszą kanapką. Nie boicie się?

— Pyroksyлина wybucha tylko od piorunianu rtęci — wyrecytował „rekrut”.

— Są tu i zapalniki, ale w takim razie złożę je osobno — mówiąc to, długi skaut wcisnął część „pakunku” pod głowę, a część pod nogi Jerzego.

— Panie Władku, a co pan chce robić z tym wielkim workiem — doleciał pochłoniętych dynamitem rywali melodyjny głosik z przedpokoju.

— To pyroksyлина, więc trzeba ją schować tam, gdzie ta wczorajsza... wie pani?

— Aha! Zaraz dam panu klucz! Tylko ostrożnie, panie Władku, bo mamusia śpi nad tą piwnicą.

— A, to nic nie znaczy, gdzie kto śpi — oburzył się „pan Władek” na niefachową uwagę narzeczonej. — Mam już tyle tego, że wystarczyłoby na całą dzielnicę!...

— Miły zięciulek — pomyślał złośliwie rywal. — Nim się ożeni z tą małą, wysadzi ich wszystkich w powietrze...

W ciągu reszty tej „dynamitowej” nocy śnił się eks-prezesowi wybuch pyroksyliny, śmierć,

niebo i święci pańscy, obudził się jednak szczęśliwie na tym świecie, przed wystygłą kawą z bułeczkami. Niebezpieczny gość nocny znikł. Niewiasty też wyszły, gdzieś już pewnie konspirować na mieście.

NOC WIGILIJNA.

Zmierzch był już dość bliski, kiedy „instruktor” znalazł się w pobliżu polanki, na której zostawił swój „sowiec”. Szedł bardzo szybko, jakby chciał uciec czem prędyj od nieżyjącego już dworu i żyjącego jeszcze w nim grobu.

Dziś jeszcze zaczną się przedzierać przez olbrzymie lasy Potockiego w kierunku Bobrujska. Niema ani chwili do stracenia. Czuł wyrzuty sumienia z powodu eskapady. Przecież i tak można było przewidzieć, że stary jest albo w mieście, albo...

Ażeby skrócić drogę, począł iść wprost przez las jakąś drożyną utartą przez złodziei leśnych. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu i zaniepokojeniu oficera, „sowiec” nie było na polance.

— Zbłądziłem, czy co u licha — pomyślał...

— Nie, nie! Ta sama wysoka ściana starzyny, przez którą tyle razy prowadził „Szkolę Podchorążych”, kusy stożek, oskubany przez konie, i wreszcie kłoda za stożkiem, na której siedział przed odejściem.

— Tak, to ta sama polanka.

— Gdzież się podzieli u licha? Czyżby się ośmielili zejść do jakiejś leśniczówki?... Bydlaki! Żołnierze z wyboru!

Nagle jedno spostrzeżenie stłumiło gniew! Po między stogiem i lasem dostrzegł na śniegu sznurki krwi. Rzucił się w tamtą stronę... O jakieś trzydzieści metrów zaledwie od brzegu polanki „instruktor” natknął się na ciała poległych, a raczej szczątki ich ciał.

Wymordowano ich w sposób tak okropny, że oficer, który widział tyle strasznych scen podczas tej czteroletniej jatki ludzkiej, przyłożył machinalnie zimną rękę do głowy rozpalonej przez nagły atak krwi, jakby się chcąc przekonać, czy to nie koszmar wódczany podsuwa mu te obrazy!...

Ale nie!! To oni!! Oni wszyscy!! Cały „sowiet” narzucony P. A. L. przez „sowiet” miasta Orszy! Pierwszy o kilka kroków przed nim sierżant Smoła, ongi największy „bolszewik” kompanji, były szef opozycji przeciwko absolutyzmowi dowódcy... leży na śniegu z oczyma wylupionemi, z uciętemi organami płciowemi, z krwawemi lampasami wzdłuż nóg. Drugi — Jarecki, samouczek i filozof, ciche, łagodne, nikomu nie wadzące ciele ludzkie. Trzeci—Nowak, ulubieniec „instruktora”, prowodyr lojalnej większości P. A. L... prawa dłoń w pół zmiażdżona i wepchnięta w miążgę z mózgu i krwi!

...I tak dalej!

Kolana oficera poczęły drżeć i giąć się ku czerwonej pokrywie śniegu. Ocknął się dopiero,

słyszając zbliżające się głosy ludzkie, i wstał apatycznie, z ręką na rękojeści rewolweru, pewny, że to już jego kolejka!...

To z P. A. L. Przyszli i pokłękali zaraz na małym pobojowisku.

— Jakeście mnie znaleźli — zapytał przygnębionym głosem instruktor.

— Słyszeliśmy strzały. Chłopi nam powiedzieli, że to jakieś bandy czerwone poszły tym traktem do Mohylowa. Balim, żeby nie jakie nieszczęście. I ot! Ale dobrze, że choć pan porucznik żyje!

W pół godziny później oddział ruszył śladami morderców, pochowawszy wpierw swoich poległych.

A że nie mieli ani łopat, ani siekier, więc i zrobili tylko wzgórek ze śniegu i postawili na nim krzyż z brzeziny nieociosanej. Ale wróca tu jeszcze i uczczą ich pogrzebem prawdziwie chrześcijańskim.

Tymczasem ścieżka, niszczona od czasu do czasu krwawym sznurkiem, prowadziła pogoń w głąb lasu. Wieczór pogodny i jasny oraz blask śniegu pomagał im odnajdywać ślady wilków ludzkich. Wkrótce doszli do niewielkiej wioski, otoczonej czworobokiem wysokopiennych lasów sosnowych, zbyt hałaśliwej, jak na ciche osady leśne. „Instruktor” zatrzymał swój oddziałek.

— Trzeba zobaczyć, czy ich tu niema. Kto pójdzie na ochotnika?!

— Ja — odezwał się czyjś głos.

— Ruszaj!

Żołnierz znikł, jak cień wilczy w zagajniku. Upłynęło dobre pół godziny, zanim zjawił się przed dowódcą.

— A co?

— To oni! Przepijają chłopom rzeczy za samogonkę.

— Przyjezdni, czy miejscowi?

— Oboje, ścierwo, panie poruczniku! Starzy nie szli, ale młodzi byli.

— Wart niema?

— Nie!

— Dobrze wiecie?

— Jaż był między nimi! Ja swój człowiek, miński. A to wszystko pijane, wiadomo, Wilja!

— Wilja? — Zdziwił się instruktor.

— A tak, Wilja, ruska Wilja — potwierdziło kilka głosów.

— Wilja! Ruska Wilja.

Tak się już przyzwyczaił w legjonach do nowego stylu, że zapomniał, iż znajduje się w kraju o 13 dni wstecz! — Więc to jutro Boże Narodzenie! Co tam moi porabiają?! Pewnie, choć to i pod okupacją niemiecką, starzy obchodzą święta według starego kalendarza, ale przy stole same siostry. Z pięciu chłopców jeden w ziemi, jeden w Szczypiornie, dwóch już chyba w Bobrujsku, a ja tu... ryba pewnie na wilję jest!..

Kazał czekać żołnierzom pod jakimś pretekstem. Gotowy plan ukarania morderców, plan prosty i okrutny, jak ten cały krwawy rok, uległ

nagle nieoczekiwanemu zachwianiu... Wigilja! Boże Narodzenie! Największe święto religji, miłości. A gdyby darować winy winowajcom?! Gdyby chociaż rozdzielić winnych od niewinnych!... Chrystus przecie rodzi się w Betlejem... drzewko!... stół zaścieniają białym obrusem... w dzwony biją na Pasterkę!

Ach nie, nie, nie! Fotografia oczna z krwawego śniegu wraca!... Sierżant Smoła z czerwonymi lampasami u nóg, największy bolszewik P. A. L., prezes „sowietu”, prawie ich człowiek! Głowa biednego Nowaka, raczej kupka skrzepłego mózgu i krwi!... oczy wyklute bagnetem!!

— Podpalić wieś — rzucił cicho rozkaz!...

Potem uszykował oddziałek i czekał. Wioska leśna to cichła, to wybuchała powodzią śmiechów, pisków dziewczęcych i śpiewów! Coś jak tamta noc zeszłoroczna... noc jego ślubu z rewolucją!...

W kwadrans później cztery słupy ognia wybiegły ku niebu. Z chat poczęli wysypywać się ludzie i biec, krzycząc, w stronę najbliższego pożaru, jak na dłoni widoczni na szerokiej, białej drodze!...

Nagle krzyk zmieszał się z hukami salw. Tłum mężczyzn, kobiet i dzieci począł gnać ulicą, ściągając ją trupami i trupkami. Rozkosz zemsty czyniła ruchy rąk żołnierskich nieprawdopodobnie dokładnymi poruszeniami wirtuozów. Poczem, ani ścigając pozostałych, ani zbliżając się do wioski, żołnierze Polskiej Armji Ludowej znikli w lasach, z których wyszli.

ZWYCIĘSTWO.

Dnia 20-go lutego Mińsk Litewski został zdobyty. Ale, ani przez Niemców, którzy pomimo zerwania rokowań pokojowych z Trockim znajdowali się jeszcze o sto kilometrów od miasta, ani przez generała Dowbora. Stotysięczne miasto zostało wzięte od wewnątrz przez garstkę konspiratorów, trzystu piętnastu dowborczyków, zbiegłych z więzień bolszewickich, czeredę dzieciarni płci obojga. Siedemnaście tysięcy żołnierzy rosyjskich dało się wymieść garstce ludzkiej jak kurz miotełce, poruszanej ręką dziecka.

Jeszcze w wilgę zwycięstwa różne trwożliwe pogłoski krążyły po mieście. Była mowa o deportacji całej młodzieży męskiej, o krwawej łaźni, jaką mieli sprawić czerwoni konspirującej burżuazji polskiej. W rezultacie trudno opisać panikę, w jakiej załoga czerwona opuszczała Mińsk.

Olbrzymi brodacze nadwołżańscy, barczyste chłopstwo z pułków regularnych, którzy jednym zamachem pięści mogliby porozbijać łby dzieckom pułkownika Tuszyńskiego, dawali się rozbrajać bez oporu czternastoletnim skaucikom. Arsenaly, komendy, rewkomy, sowdepy brały na bagnety garstki ochotników, wspomagane przez skautów, uczniaków i różnego kalibru byłe „podsekcje ludowe”. Ochotnicze watahy miejscowe, rekrutowane z szumowin miejskich, niedotopniałe resztki garnizonu wielkiej gwardji, olbrzymie

mrowiska dezertersów i włóczęgów, zbiegłych z całego frontu zachodniego, dygnitarze i funkcjonariusze nowego regim'u — wszystko to waliło na dworzec moskiewski, jeszcze uzbrojone, ale już tylko fizycznie, zdemoralizowane, rozłożone, obojętne na olbrzymie plakaty też zbiegłej „rady delegatów”, wzywające do śmiertelnej walki z białą gwardją.

A tymczasem owa „gwardja”, której było daleko nie tylko do gwardji, ale do pierwszej lepszej kompanji rekrutów, jako tako przeciwiczonej, zajmowała jedne po drugich składy amunicyjne, instytucje, dzielnice. Nazajutrz całe miasto jest w rękę powstańców, a w niem olbrzymia zdobycz 60.000 karabinów, przeszło 400 karabinów maszynowych i olbrzymie składy furazju i prowjantu. A jednocześnie od strony Moskwy śpieszą na łeb na szyję posiłki dla wymiecionych. Od strony Mołodeczna posuwają się Niemcy. Od strony Bobrujska idą ułani generała Dowbora. Panem miasta będzie ten, kto przyjdzie pierwszy.

Więc czemuż u licha Dowbór nie przychodzi, myśli młode pokolenie. Krążą wieści, że się toczą pertraktacje z Niemcami! Ale nikt nie chce w to wierzyć. — Przecież miasto jest w naszych rękach — rozumie młodzież. — Czyż to wszystko, cośmy zdobyli, mamy oddać Szwabom?!

Instynkt tych szaleńców, dokonywających niesłychanego zuchwalstwa nawet w dziejach tego roku, tak obfitującego w stek nieprawdopodobieństw, instynkt twórców tej polskiej Andory, jak

orzech ciśnięty pomiędzy palce gigantów, jest słuszny: trzeba trwać!

Ale na tym świecie można zdobyć każdą fortecę, każdy fort, każdy skład z amunicją — nie można tylko zdobyć fortu z wiarą.

I nazajutrz o g. 11 i pół Niemcy wchodzą do nie przez nich zdobytego miasta.

* * *

Dnia 20-go lutego wieczorem jeden z przywódców powstania, pan Wańkowski starszy, zaproponował eks-prezesowi wspólne obejrzenie dworca moskiewskiego, gdzie „czubary burzą się podobno i chcą wrócić na miasto”. Wprawdzie Lipski nie był pewien, czy jego osoba zdolna jest odwieść bolszewików od tego planu, wolał jednakże to, niż nudne dozоровanie taśm kulomiotowych, znoszonych do Sokoła na ex-locum ćwiczeń i mazurów. Za chwilę więc pędzili, co auto wyskoczy, na dworzec moskiewski, dokąd pan Wańkowski wysłał również i oddziałek świeżo sformowanych ułanów.

Samochód wyprzedził oczywiście kawalerję i jadący w nim znaleźli się sami wobec tłumu.

Plac przed dworcem, dworzec i peron zalane były nieprzejrzanem mrowiem ludzkim. Przez wyłamane drzwi i okna widać było wagony, oblepione przez żołnierzy, od dachów do buforów. Setki ludzi wieszalo się rozpaczliwie drabinek, stopni, okien, drzwi — byleby czem prędzej opuścić miejsce, w którym nie groziło nic, i gdzie

całe „wzięcie miasta” kosztowało kilka żyć ludzkich i siedmiu rannych.

Pan Wańkowski miał na sobie mundur ułański. Amarant lampasów i czaka zakwitł nagle na tle bezbrzeżnego jeziora szarych szyneli. Tysiące ocz zwróciło się ku znienawidzonemu kolorowi! Ócz, w których zdumienie pochłonęło nawet nienawiść. Toreador ukazał się na arenie sam, w płaszczu czerwonym, bez eskorty i broni! Czyjś jeden krzyk, jeden ruch prowokacyjny wystarczył, ażeby ten tłum wielotysięczny rozszarpał żywe wyzwanie amarantu. Ale cisza śmiertelna panowała na szarem jeziorze. Powstała nawet przed wysłańcami ostatniej władzy ścieżka szerokości pół metra, usłana tysiącami spojrzeń, kłujących z bezdenną nienawiścią idący tą ścieżką amarant.

Pan Wańkowski poszedł do naczelnika stacji, nakazać w imieniu władz polskich natychmiastowy odjazd eszelonów w stronę Moskwy, Jerzy pozostał sam na sam z martwym morzem nienawiści. Odetchnął wolniej, kiedy ukazali się ułani i krąjąc poczęli rażoną paniką masę ludzką, „szwendając” się to tu, to tam, szukając kogoś, dzieląc masę na trójkąty, kwadraty, czworoboki.

* * *

Trudno opisać radosny nastrój, w jakim młodzież, która zdobyła Mińsk, wracała do macierzystych oddziałów w Bobrujsku. Wprawdzie losy rodzinnego miasta ułożyły się inaczej, wpraw-

dzie zdobycie fortu z wiarą okazało się dla starszyny rzeczą trudniejszą, niż zdobycie twierdzy bobrujskiej. Ale, bądź co bądź, korpus się obroził, wytargował od Niemców spore terytorjum, tworzył Andorę, w której można było trwać.

Korytarz drugiego wagonu klasy 3-ej opowiada, wspomina, pyta się, bilansuje. Padają nazwiska rannych, zabitych, zaginionych, każdy ma tam kogoś, i Jerzy też... Zabłocki!... Litauer! Liderzy z uniwerku! Dygnitarze! I Tadek Likowski, prawie dziecko!

Przypomina sobie szczegóły poznania tego ostatniego ze znajomych poległych. Było to w chwili największego natężenia gorączki organizacyjnej, u schyłku roku 1917-go. Pewnego razu wybrał się do pewnej młodej warszawianki, albo po statut P. M. S., albo po instrukcje dla P. T. P. O. W., bo tego już dobrze nie pamiętał, kiedy, o dziwo, zamiast zwykłego gwaru rozmów społecznych, doleciały go z małego pokoiku tony skrzypiec. Cichutko otworzył drzwi, ażeby nie płoszyć muzykantów. Przy stoliku, zawalonym broszurkami, siedział jakiś młody chłopak z czupryną cygańczyka i grał na skrzypcach, a naprzeciw odezw i skrzypiec siedziała para młodych. Trudno było orzec, czy dziewczyna jest piękniejsza od chłopca, czy chłopiec od dziewczyny. Społecznemu gościowi uspołecznionej warszawianki wydało się, że Dorjan Grey opuścił swój mglisty Londyn dla tej chwili i dla tej dziewczyny!...

Przed chwilą właśnie dowiedział się, że to „ten sam, który zginął w jakiejś wiosce”. Ale nie było czasu i posmucić się nawet, bo już jakiś nudziarz interpelował — a cóż tam kochany prezes sądzi o naszej obecnej sytuacji politycznej? Czy Niemcy dotrzymają swoich zobowiązań, czy też jak zwykle nie? — Wypadało odpowiedzieć jednemu, drugiemu, trzeciemu, wysłuchać ze dwa tuziny opowiadań. Wszystko to przecież były dzieci organizacyjne, rozproszone przez wojnę europejską, a teraz skupiające się do pracy na własnym zagonie. Konstatuje z zadowoleniem zmiany, wąsiki, barki, torsy tej zdrowej, pełnej sił i energii generacji, wychowanej przez Sokoła i skauting, wojnę, orkan rewolucji, a nie na podlipowych ławkach z książeczkami, tak jak on i jego pokolenie.

W jednym z przedziałów odkrywa Stefanowskiego, byłego ucznia eks-kierownika Podsekcji Ludowej, i rzuca mu się w objęcia. Nie widzieli się od czasu „Szkoły Podchorążych” („a widzisz, przydała się”). Ale Stefanowski jest jakiś nieswój. W walkach korpusu z bolszewikami udziału nie brał, bo jechał aż prawie z Syberji, spóźnił się, i to mu psuje humor. Eks-prezes go pociesza, słuchając jednym uchem jego opowiadania.

— Pierwsza rewolucja zastała mnie w Orenburgu na Uralu — zaczyna opowiadać Stefanowski. — Polaków dużo i różnych. I jeńcy, i „bieżeńcy”, i dyrektorzy, urzędnicy kopalni angielskiej.

skich, belgijskich, francuskich. Jak się to całe bractwo zaczęło organizować, to czegośmy tam nie mieli! I Sokół, i Skaut, stowarzyszenia, gazety, potem i wojsko! Ot, krótko mówiąc, całe państwo, tylko wziąć i w Warszawie postawić. Ja, rozumiem się, harowałem jak wół „po swojej części”. Zrobiłem Sokoła, kompanję dowborską zorganizowałem, a co czasu zostawało, to w innej robocie człowiek siedział. I oto przy jakiejś takiej pracy poznałem moją narzeczoną i zacząłem u niej bywać. Ale wtedy jeszcze ani mi do głowy nie przyszło, że tak się skończy, jak się skończyło. Bo chociaż to był dom zacny i patrijotyczny, i lubili mnie tam, jak syna, ale bogaty. A ja, jak wiecie, jestem synem praczki, więc i swoją ambicję musiałem mieć. A chociaż to niby i rewolucja, i wolność, i równość, ale nie pchałem się tam, gdzie nie trzeba, żeby na mnie krzywo nie patrzyli.

Więc tylko jeszcze więcej wlałem w robotę, żeby zabić swoją miłość. A najwięcej było mnie w mojej kompanji. Mówię wam, że jak maszerowała na 3-go maja, to ogień szedł z bruków, a na mszy polowej—to ludzie płakali jak bobry. Chciałem, żeby jak największa i jak najlepsza była ta moja kompanja. I to była trochę moja wina, bo trzeba było jechać odrazu tu, do was, jak jeszcze w Rosji był siaki taki porządek, a ja zmarudziłem. Myślałem sobie, niech porośnie moja kompanjka, niech powiększy się. Potem, kiedy obejrzałem się, już i porządku nie było. Wagonów niema.

Lokomotywy popsute. Nikt nie wie, kto rządzi: urzędnik czy sowiet. Złożyliśmy podanie: pozwolenia niema. Radzą niektórzy: rozformujcie kompanję, jedźcie partjami. Ale jakże zabić własne dziecko. Myślím: nieprawda, doczekamy się narreszcie. Przecie Kiereńskij pozwolił, prawo jest po naszej stronie. A tymczasem poco czas tracić, myślę sobie... Trzeba jeszcze jedną drużyne skautową założyć. I jak na nieszczęście założyłem.

— Dlaczego „na nieszczęście”?

— Poczekajcie, kolego, zaraz wam powiem. Raz, był to już coś sierpień, poprowadziłem ich na pierwszą wycieczkę w góry. Chłopcy się zmęczyli i chcieli się kąpać. Kazałem im wypocząć i pozwoliłem. Nie znałem tych przeklętych górskich rzeczek... zdaje się, płytko, a prąd taki, że stać nie można. Raptem ośmiu zaczyna tonąć. Dwóch wyratowałem — sześciu utonęło. Sześciu! Ale to jeszcze nie wszystko. Wśród tych sześciu było dwóch jedynaków!... No i ich rodziców trzeba było też zawiadomić. Trzeba było iść powiedzieć im: — „Zabierałem waszych synów na majówkę, ale zabrałem ich na śmierć”!... Ach, kolego, kolego! Co ja wtedy przeżyłem, co ja przeżyłem! Gdyby nie ta kompanja, nie obowiązek doprowadzenia jej do Dowbora, to chyba... ale trzeba było żyć i iść. Kiedy już stałem przed domem ojca jednego z nich, myślałem, że lepiej byłoby dla mnie nie żyć, bo myślałem, że będą mnie przeklinać, płakać, złorzeczyć! A oni objęli moją głowę rękami, płakali

razem ze mną i mówili: to dla Polski, mój chłopcze, to dla Polski!

Ale i to nieszczęście, i pogrzeb, i przygnębienie moje odwlekło znowu nasz wyjazd. Nie miałem siły szturmować o wagony tak, jak dawniej. A w tych miesiącach to już wiecie... Rewolwer do łba przystawić — to tylko działało. Potem październik — druga rewolucja!... Bolszewizm! Co prezes sowietu — to król, co maszynista — to gubernator, co miasto — to rzeź!

Niema rady. Trzeba było kompanję rozformować, broń zostawić i po kilku jechać. Z ostatnimi jadę sam. Na kilka dni przed wyjazdem idę do rodziców tej mojej panienci, a już ostatnimi czasy rzadko bywałem, bo i nieszczęście, i kłopoty mnie gryzły. Rodziców niema, siadamy w saloniku, gawędzimy. Ja mówię żartem, że za kilka dni wyjeżdżam, a ona w płacz. Ja jeszcze nie rozumiem, bo mówię Wam, kolego, że nigdy nie myślałem... taka bogata, ładna, kształcona, a ona obejmuje mnie za głowę, jak matka, całuje i mówi, że kocha!...

A wtedy przyszło dla mnie i niebo, i piekło razem! To się myśli o swoim szczęściu, to przypomina się tamto. To się czuje to największe szczęście, jakie Bóg ludziom daje, to się myśli, że za trzy dni trzeba to szczęście porzucić... i to w takich czasach. A zwlec ani godziny nie można, niehonorowo.

I ot, za trzy dni, pożegnałem się z moją, przejechałem całą Rosję, ale w Orszy byli już Niemcy.

No, powiedzcież kolego, czy ja bardzo winien jestem, że nie przyjechałem wporę pomóc panu generałowi?

Jerzy nie zdążył już rozstrzygnąć wątpliwości, trapiących przyjaciela, gdyż pociąg stanął na stacji Bobrujsk. W komendzie miasta dowiedział się z radością, że jego kompanja rezyduje w samym mieście. Ruszył czem prędzej, gnany radością i niepokojem, czy kto nie zginął.

Ale nikt nie zginął, tylko wszyscy osłupieli, bo to jego właśnie uważano za zabitego. Pierwszy plutonowy Pajak przestał słupieć i ryknął: — Jezus Marja! Lipski wrócił z tamtego świata! — Poczem zacny radomiak rzucił się w objęcia rekruckie, nie zwracając uwagi na różnicę szarży. Za jego przykładem poszli inni. Po skróconej relacji przygód, zaprowadzono go uroczyście do por. Małagowskiego.

Porucznik Małagowski uściskał również eksprezesa, wydając wieczorem tego dnia bibkę w intymnem gronie na cześć „zabitego rekruta”. Na bibce tej musiał oczywiście raz jeszcze opowiedzieć ze szczegółami, jak to było pod Żłobinem. Pito więc, a on opowiadał i wszystko szło dobrze, aż do chwili, w której mówca wyraził domniemanie, że bitwa pod Żłobinem była jedną z najkrwawszych batalij, jakie znają kroniki wojenne. Słuchacze z początku osłupieli, a potem wybuchli, jak na komendę, szalonym śmiechem — sam pan porucznik trzymał się za boki, powtarzając: — oj, rekrucie, rekrucie!

Potem, że to już niejedna kolejka kieliszków obeszła czcigodne grono, poczęto malować przed rekrutem obrazy prawdziwej wojenki. A więc kapral Dreczkowski opowiadał w słowach lapidarnych i prostych, jak to pułki pomorskie szturmowały pod Verdunem forty Douaumont i Vaux. Ochotnik Rydzewski opisywał malowniczo jakiś szturm nocny, kiedy ciężkie buciska żołnierskie chlapały po mózgach i trzewiach ludzkich i kiedy co chwila z pod nóg dochodziły jęki nieludzkie i prośby: „Bratiec, ubij mienia”. Franek Pajak wspomniał straszliwe Kałusze i Stanisławów, kiedy pijane żołdactwo rewolucyjne mordowało całą ludność żydowską, od dzieci do starców, i kiedy brygada strzelecka do spółki z czerkiesami dziesiątkowała wczorajszych combattant'ów. Porucznik Bader wspominał z lubością „stare, dobre czasy z 1914 roku”, kiedy wojna była jeszcze czemś tak barwnem i tak wielkiem na tle szarzyzny i małostkowości pokoju. Kiedy pierwszy podjazd gwardji, spotkawszy się nieoczekiwanie z huzarami węgierskimi, pożegnał się uprzejmem: „Au revoir messieurs!”.

Niewątpliwie jednak, jak wszędzie, tak i tu, największym mistrzem w opowiadaniu okazał się sam gospodarz bibki; Lipski oddawna już zauważył, że jego zwierzchnik kocha wojnę zupełnie inaczej, niż wszyscy. Nie była to miłość dla wywyższeń, dla władzy, nasycenia wyobraźni, ucieczki od siebie, sadyzmu, ale też i nietylko miłość idei, misji, po-

święcenia sprawy. Źródłem tej miłości u porucznika Małagowskiego był ciągły, nienasycony głód bohaterstwa, głód niepowszedniości moralnej, wstręt do kompromisu, drobiazgów i zastoju etycznego, w jakie obfituje pokój. I jego wojna nie była ani sprawozdaniem z jatki, jak u poczciwego kaprała Dreczkowskiego, ani przesadą literacką Rydzewskiego, ani romantyczną nonszalancją porucznika Badera. Była to burza, burza fal ludzkich, burza z jej prostotą, jej grozą i jej potrzebą przyjscia.

K L E S K A.

W kwietniu roku 1918-go najwięksi optymiści, rekrutujący się przeważnie z pośród prostaczków korpusowych, zrozumieli, że Niemcy dążą do rozbrojenia korpusu. Gdyby to jakiś mały oddziałek napół zbolszewiczony, bez energii i zapału, możeby go i zostawiono do czasu, zanim grube Berty załatwią się z Paryżem. Ale połowiczność polska stworzyła armję za małą do zwycięstwa, za wielką do lekceważenia jej. W dodatku korpus rósł jak na drożdżach przez napływ żołnierzy-Polaków z Rosji, szlachty zaściankowej, ochotników wszelkiego kalibru. Olbrzymie składy bobrujskie wystarczały do zaopatrzenia wielokroć silniejszej armji. Entuzjazm zwycięstwa porządkował oddziały, wzmacniał dyscyplinę, rodził inicjatywę. Korpus stawał się potęgą, z którą trzeba się było liczyć.

Trzeba się było liczyć chociażby i dlatego, że stosunkowo niedaleko od tego ostatniego Piemontu, wciśniętego przez kaprys historii pomiędzy Berezynę i Dniepr, leżała nad Wisłą stara ziemia powstańcza, która pracy, jak pracy, ale wojaczki nie bała się nigdy. Podejrzane manewry władz niemieckich zrodziły spisek oficerów i ochotników, mający uprzędzić Niemców w ataku, zaatakować osaczników i uratować wojsko od hańby i rozbicia.

Było to zadanie moralne niesłychanie trudne, niemal nad siły. Co się stanie, jeżeli grupka ich ludzi (porucznik Lis-Kula, kapitan Tuszyński, Wańkowski młodszy) nie zdoła umocnić gen. Dowbora w jego własnych bobrujsko-napoleońskich paradoksach? Co będzie, jeżeli rozkaz oficjalny stanie w sprzeczności z rozkazem spisku? Jeszcze kilka miesięcy temu walczono z bolszewikami o stare prawa moralne, o idee rozkazu, karność, hierarchję wojskową? A teraz w kilka miesięcy po: zamiast powszechnie znanego wodza — człowiek nikomu nieznany. Zamiast sztabu — spisek! Zamiast starej hierarchji — komórka jakobinów. Rewolucja wśród reakcji!

Tymczasem ruchy wojsk niemieckich stawały się coraz bardziej podejrzane. Wszystkie mosty i brody, i przeprawy dniewowe były już obsadzone — trudno bronić „sprzymierzeńcom” być, gdzie chcą. Pod naciskiem faktów lepsza część wojska zbliżała się moralnie do spisku, łamiąc się z bólem serca wobec widma Sedanu. Wśród stron-

ników starej, jak świat, orientacji „gdzie niebądź przytulić się”, wszczał się cichy prąd: „ratuj się, kto może!”.

Głośno i jawnie opowiadano o milionowych nadużyciach intendentury, o nocnych wyprzedazach Żydom opon samochodowych, medykamentów i t. d. Aresztowania malwersantów, niegroźne dla winowajców, wobec sytuacji politycznej, podejrzania, plotki, zajścia i pojedynki rozgłaszały coraz szerzej skandale, hen — aż do Mińska, Warszawy i dalej, gdzie niedoniszczony cmentarz wielkiej wojny z biciem serc wyczekiwał wieści z Piemontu.

W pierwszych dniach maja Lipski otrzymał polecenie od por. Lisa zawiezienia raportu do kijowskiego P. O. W. i nazajutrz siedział już na mostku sternicznym jakiejś parostaciny, poruszanej raczej prądem rzeczny, niż maszyną. Wody wylewu nie zeszły jeszcze z łąk Berezyny. Miejsca niższe tworzyły niezliczone jeziorka... Wyższe — ciepłe, płytkie kałuże, wśród złotych jeziorek kaczęńca. Pasy łożin jasno-zielonych używały jeszcze kąpieli, zanurzone w wodzie aż po przejrzałe paciorki „kotków”. I Kijów był zawsze taki sam piękny, jak królewicz z bajki, w płaszczu ze złota cerkiewnego i szmaragdach ogrodu Kupieckiego-Karola Marxa (teraz już Tarasa Szewczenki, ale to wszystko jedno).

Zato państewko naddnieprzańskie było już zupełnie inne. Era dyplomacji minęła i tam. Górę

wzięła partja wojenna Staszka Biegi, który dzielił ludzkość na mały i na żołnierzy. Wszystkie prawie agendy objęły niewiasty. Młodzież męska szła do Hallera. W niedzielę z rana panny zabrały eks-prezesa na majówkę do Darnicy, a w niedzielę wieczorem P. O. W. kijowskie wysłało go na zbadanie, czy można na odcinku Brody — Radziwiłłów przemycać dynamit do Lwowa.

Eks-prezes dostał się i wydostał szczęśliwie z Brodów, notując w raporcie, że i owszem, można, poczem wsiadł do jakiegoś erzac-kurjera, pełnego spekulantów i okupantów. W drodze na jednej ze stacyj udało mu się cudem wyrwać ostatni dziennik kijowski z rąk gazeciarczyka... — Bitwa Niemców z Polakami — wykrzykiwano na peronie. Na następnej stacyjce żandarmerja niemiecka otoczyła pociąg i zrewidowała jadących. Cudem jakimś udało się eks-prezesowi uchronić raporty i siebie. Zostawił Kijów pełen radości, nadziei, i dumy z posiadania własnej armji. Został go pełnego żałoby, gorączki i niepokoju. Los najgorętszej, najszlachetniejszej paczki młodzieży kijowskiej nie był jeszcze wiadomy. Od jeńców, zbiegłych Niemcom po drodze, wiedziano tylko, że bitwa była zacięta i kosztowała wiele ofiar z obu stron. Cały aparat „państwka”, zmobilizowany od dyplomacji do akcji samarytańskiej, pracował dzień i noc nad montowaniem rozbitych części gdzie indziej. Panienci z majówki były teraz zajęte aprowidowaniem rannych, wykradaniem

jeńców-hallerczyków. Bite kolbami, traktowane z niesłychaną brutalnością przez żołdactwo okupacyjne, bohaterskie dziewczęta ratowały setki istnień ludzkich, umożliwiając im dostanie się na miejsce nowych zbiórek. — Sam Haller wyjechał do Paryża dalszą drogą Kijów—Moskwa—Murmań. Łby jego hydry już nazajutrz poczęły odrastać to tu, to tam. Jeden taki „łeb” przemycił się najbezpieczniej do Bobrujska na statku, na którym wracał i Jerzy. Rewidowano ich kilkakrotnie, ale nie wykryto nic. Nuda, zniechęcenie, apatja — leżały na „automatach” od rewizji. Widać było, że żandarmi niemieccy woleli nic nie znaleźć.

Coś rozkładało psychikę okupantów. Wschodnie rozleniwienie ogarniało ludzi Zachodu. W Łojowie rewizja była surowsza, i tak samo nie wykryła nic. Tłumacz-poznańczyk łągał jak najęty. Upiętko się wszystkim, tylko statek podejrzany skierowano na wszelki wypadek do Homla.

Głupstwo, kilka godzin drogi więcej. Patrol niemiecki, kluty drwiącemi spojrzeniami przebranych „chłopów”, zeszedł z pokładu. Statek wypłynął na pełne wody dniewrowe. Tu kończyła się już wszelka „władza polityczna”, a zaczynała się władza bezkreśnych przestrzeni lasów i łąk.

Żaden „patrol”, szpicel żaden nie mógłby się już tutaj pokazać. Wrzuconoby go poprostu do Dniepru. Mniemani „chłopi” poczęli teraz bez ceremonji śpiewać piosenki legjonowe i Rotę. Potem owinęli się w swoje łąchmany i pokładli się na

górnym pokładzie. Byli między nimi i tacy, co ukrywali lżejsze rany, byli chorzy i ostatni nędzarze, których nie zdążono jeszcze zaopatrzyć w Kijowie. Jeden z nich miał gorączkę i bredził przez sen. Wśród kilkunastu nieśpiących uwijał się jakiś ksiądz i stadko dzieci w kapelusikach skautowskich.

Po rozdaniu słoniny i chleba, ksiądz i jego drużyna ulokowała się obok Jerzego. Z ich rozmów wynioskował, że to wycieczka skautowska. Skąd, poco i dokąd? Obie strony patrzyły na siebie, wiedząc, nie wiedząc, nie pytając, jak to było przyjęte w *savoir-vivre* „państwka”. Zresztą poco? Ot, ruch nowej sprężynki w olbrzymim organizmie, rozrzuconym po całym świecie. Słońce zaprzepaściło się gdzieś w Królestwie Polskiem i nad Sożą świeciło się tylko trochę od czerwonego nieba i pobłyskiwało pomiędzy rzadszym kaczeńcem. Zmęczeni hallerczycy spali, ksiądz modlił się, dzieci podśpiewywały sobie coś niecoś. Jedna z dziewczynek siadła obok Jerzego i patrzyła z tym samym, co i on, spokojem na święto łąk wiosennych... Lipski przestał myśleć o klęsce kaniowskiej, o jeszcze jednej klęsce... Nie mógł jakoś stać się smutnym, na obstalunek ostatniego niepowodzenia. Coś szło skądciś aż tutaj i mówiło „bądźcie spokojni”. Spojrzał na dziewczynkę, na której historia czterech lat zdołała już tyle wyrzeźbić. „Przed wojną toby się jeszcze bawiło w lalki, a dziś buduje państwo”. Siedział koło

niej taki dużo, dużo starszy człowiek, jak koło swojej małej siostrzyczki. Oczy dziewczynki spoczywały na nim z taką samą życzliwością. „Ja wiem, kto ty jesteś, ty wiesz, kto ja jestem” — myślała z dumą maleńka. Część domu rodzinnego, część „Abisynji” przywędrowała tutaj i cichutko stanęła na pokładzie. Wkrótce i ksiądz, skończywszy modlitwę, spojrzał nań tak samo i tak samo nie powiedział ani słowa... Słowa były niepotrzebne w tych czasach. Ten statek żydowski, z obsługą rosyjską, banderą ukraińską i publicznością białoruską, statek na pograniczu „hetmańszczyzny” Skoropadskiego i Ober-Ostu, pełny był wibracji duchowych, radjo-depesz, spisków i porozumień „mafji polskiej”.

* * *

Całe towarzystwo przybyło do Homla o g. 5-ej z rana. Jakieś śmieszne, pokraczne Szwabisko sprawdziło dokumenty. Jakiś tragarz od siedmiu boleści mógłby wynieść tłumoki, gdyby je kto miał. Jerzy ruszył na stację przez miasto puste, martwe i brudne. Są jeszcze Niemcy, ale już ani czystości, ani porządku. Zupełnie inaczej niż pół roku temu... Rozkładająca się Rosja rozkładała okupację. Na dworcu powiedziano mu, że żaden pociąg osobowy nie odejdzie do Bobrujska. — Gworiat, czto bitwa z Polakami. — Jezus Marja! A przecież on wiezie jakiś bardzo ważny list do porucznika Lisa-Kuli. Może to jakiś rozkaz, mający

związek z walką? Nie namyślając się długo, ruszył ścieżką wzdłuż toru kolejowego. Może towarówki pójdą.

Z tą nadzieją doszedł do małej stacyjki, odległej od Homla o jakieś 10 kilometrów, nie spotykając po drodze ani pociągu, ani żywej duszy. Na peronie pilnowało stacji dwóch wartowników, jeden kulomiot i cesarstwo niemieckie... bezgraniczny spokój panował na małej stacyjce...

Łamaną niemczyzną podał się Jerzy za stałego mieszkańca Bobrujska. Jeden z wartowników uprzejmie zgodził się obejrzeć papiery włóczęgi, zdecydował jednak „że z takim świstkiem teraz nie wolno mu wsiąść do żadnego pociągu“. Zresztą wkrótce nadjedzie z transportem „bieżeńców“ — żandarm, ten zadecyduje ostatecznie.

Eks-prezes wołał oczywiście nie czekać na decyzję żandarma, wtrynął się więc tylko między „bieżeńców“ i schował się za kuferkiem jakiejś babiny. Przedtem jednak oczekiwał dość długo na pociąg i myślał o warcie stacyjnej.

O kilkanaście kroków od linii kolejowej kończy się władza Ober-Ostu, zaczyna się natomiast królestwo band, zbiegów, rzezimieszków i kryminalistów, dla których nawet władze rewolucyjne są zanadto cywilizowane. Dwa strzały, rabunek pociągu i las-osłona, w którym pościg jest niemożliwy.

A jednak wartownicy ci są tak spokojni i jest ich tylko dwóch. Przypominał sobie rozmowy z profesorem na temat co to jest Zachód, prowadzone ongi przed wojną. Przypominał sobie swoje uwielbienie dziecinne dla tego słowa. Gdyby nie wojna, obaj byliby już może na Zachodzie. Ale przyszła wojna i Zachód przyszedł sam.

— Ale co to jest Zachód? Zachód — to przede wszystkim siła moralna — definjował Jerzy. Przypomnił sobie lawinę wielkoludów, jaka załaza Mińsk w r. 1914-ym i, ten śmieszny, pokraczny oddziałek landszturmu, wkraczający pół roku temu do miasta. A przecież to ta sama ziemia zrzuciła jarzmo Napoleona, Polski i dwudziestu sprzymierzonych narodów. Co się z nią stało dzisiaj?

Czuł teraz całą nieubłaganą konieczność walki, pomimo konieczności przegranej. Ziemia, która tak bezkarnie pozwalała się brać najeźdźcy, ziemia-prostytutka — była przecież i jego matką, pomimo różnic języka, krwi i wiary. Czuł się ostatecznie adoptowanym przez porucznika Lisa i wierzył, że, jakikolwiek będzie wynik walki z Niemcami, musi być tak, jak jest.

Ale walki nie było nigdzie. Wielki pociąg towarowo-„bieżeński“ mijał powoli stacyjki z odsłoniętą wartą i kulomiotem pod osłoną płyty pancерnej; ulistwione na jasny szmaragd brzoźki i wrzos na miejscach suchych. W powietrzu, oprócz szczęku żelastwa wagonów, nic innego nie hałasowało. Nie, nie było „bitwy z Polakami”.

Otucha wstąpiła w serce kurjerskie. Niema dymu bez ognia, więc coś będzie jutro, czy pojutrze, ale tymczasem on dojedzie i zawiezie list P. O. W. Kto wie, może i bardzo ważny.

Zbliżył się do niedomkniętych drzwi towarówki. Zdaleka zaczęła już połyskiwać szeroko rozlana woda dniewprowa. Pociąg zbliżał się do stacji Żłobin, obecnego locum sławnej III-ej dywizji. I tu, jak wszędzie, panowała cisza i spokój. Hen, daleko, stadka ptactwa wodnego porывały się z wysepek łożyny. Lokomotywa i pierwsze wagony poczęły już wjeżdżać na długą groblę łączną, kiedy nagle oczy Jerzego uderzył las bagnatów. Zsunął szybko drzwi i przez szczelinę obserwował.

W głębi naprędce wykopanego okopu tkwiła tyraljera niemiecka. Łańcuch piechoty w kaskach czał się w żółtych wyrwach. Co kilka niemal kroków szyjki kulomiotów wyciągały się ku „polskiemu brzegowi”.

Serce „rekruta” zabiło gwałtownie. A jednak coś się szykuje, jeżeli brzeg ruski jest strzeżony.

Mógł się spodziewać rewizji żandarmskiej i schował się za swój kuferek. Ale rewizji niema, nawet nikt nie sprawdza dokumentów. Na stacji Żłobin, ongi zdobywanej przez niego, wszystko w porządku. Ta sama warta walecznej III-ej dywizji we francuskim kasku z białym orzełkiem. Ruch zwykły. Żołnierze polscy, chłopci, „bieżeńcy”.

Kamień spadł z serca „kurjera P. O. W.” A więc to plotki homelskie, ta cała bitwa z Polakami. I zasnął snem sprawiedliwego. Obudził go dopiero krzyk. Bobrujsk, wysiadać! Noc! Stacja pusta, warta i „ordnung” ten sam. Resztki „kamienia” wałęsają się z serca. „Głupie plotki”! Jak to dobrze, że wziąłem klucz od bramy. Rozespany, wlecze się do domu przez piaszczyste, szerokie ulice, pełne pełni księżyca i dziwnej pustki... nigdzie, ani wart, ani patroli. Tem bardziej więc wszystko jest w porządku, tłumy w sobie resztki złych przeczuć, zasypiając...

Budzi się i widzi, że słońce jest wysoko. Jezus Marja! Raport! W kilka minut był ubrany i leciał galopem na Puszczyńską. Ale nikt w tem całym dziwnym towarzystwie, jakie zastał nadspodziewanie w konspiracyjnym mieszkaniu por. Lisa, nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Oczy wszystkich były zwrócone na jakiegoś nieznanego, olbrzymiego wzrostu, mężczyznę, który chodził nerwowo po pokoju.

— Panie pułkowniku! Pan musi wyjechać. I Lis, i wy wszyscy! — mówił ktoś z tego dziwnego grona.

Dalszego ciągu już nie dosłyszał, podał bowiem raport Lisowi i ulotnił się natychmiast. Czuł się zawsze onieśmielony wobec wszelkiej „starszyny” życiowej. Ale idąc, myślał. „Co to jest?” Uderzyła go twarz por. Lisa, tchnąca dawniej taką spokojną siłą, twarz dziecka i bohatera, uderzyły jego

oczy zmęczone i smutne, oczy człowieka tuż po nieszczęściu. „Coś się stało“ — myślał. „Czyżby żandarmerja Dowbora wykryła spisek“?!.. Niedaleko spotkał swego plutonowego, Franka Pająka, który też należał do spisku, i rzucił się do niego, jak do zbawienia.

— Franek, co się stało, co się u was dzieje?

— Co się stało? A to, że twój Dowbór poddał się Szwabom, poddał się, tak jak jest, z koniami, z armatami, z fortem Wilhelma. Ot, i jente-ligencja, psiakrew.

CZĘŚĆ IV.

SEDAN.

Statek parowy „Zwycięzca” zabierał się do porzucenia przystani bobrujskiej. Spóźnieni pasażerowie przechodzili szybko kładkę, łączącą brzeg z parowcem, statek bowiem gwizdał już trzy razy po raz trzeci i znawcy stosunków miejscowych przewidywali, że może wkrótce odejść.

Jakoż w pół godziny później największy pesymista pasażerski zrozumiał, że jednak parowiec naprawdę odchodzi... Rozległ się czwarty głos syreny. Koła szarpnęły błotko przybrzeżne, krótka fala wody i mułu uderzyła o brzeg i „Zwycięzca” począł flegmatycznie posuwać się w górę rzeki. Jeszcze przez czas dłuższy widać było czerwone mury staroświeckiej forteczki bobrujskiej. Potem domki miłośnicy, tonące w olbrzymich ogrodach. Kominy jedynej bodaj fabryki miejscowej. Wieża kościelna i... krajobraz stał się sumą lasów i łąk.

W jakimś pozawrażeniu odrętwieniu Stefanowski i Jerzy patrzyli na to, co tak oddalało

się, nikło i gasło z miasteczka, w którym uwięzły tylko trzy miesiące ich życia. Wszystko było już skończone — „korpus umarł”.

*
*
*

A jeszcze miesiąc temu wszyscy byli pewni i gotowi do walki z Niemcami. Twierdzono stanowczo, że gen. Dowbór dał się przekonać ludziom spisku, że przechylił się na stronę honoru żołnierskiego. Powtarzano z zachwytem jego ogniste słowa, groźnie brzmiące paradoksy. Spodziewano się, że człowiek tak niezwykle odważny, że generał okryty taką sławą bojową i mąż zaufania całej aktywnej części społeczeństwa polskiego na Wschodzie raczej wysadzi w powietrze fort Wilhelma, niż zniszczy wszystkie nadzieje, siebie i korpus.

I Jerzy uwierzył w to wraz z wielu innymi. Tak często stawał mu w oczach ów groźny dla Mińska dzień pierwszego zatargu dowborczyków z czerwonymi... Niezliczony tłum „załogi” bolszewickiej na ulicach w stanie zupełnej anarchji. Tłum, demolujący Związek Wojskowych Polaków, tropiący oficerów polskich. Krzyki: „Śmierć polskim panom—śmierć bielogwardziejcom.” A w samochodzie aresztowani już i wiezieni do „sowietu”, w samochodzie, który w morzu czerni posuwać się może tylko krok za krokiem, Radecki i Dowbór, obaj spokojni, zimni, dumni, opanowani, z całą świadomością chwili historycznej, którą przeżywają... Obojętni na ostrza bagnatów, które ślizgają

się już niemal na piersiach, na strzał, który paść może za chwilę... Z całą wolą obrony godności narodu, przed motłochem, prany po pysku. W całym majestacie siły człowieka rasy nad człowiekiem z gminu.

A dziś?

Dziś jeden z tych ludzi, zamiast ocalić honor żołnierzy, jak to zrobił Haller, zamiast rozpocząć walkę gerylasów w bagnach i puszczech Naddnieprza i Polesia, poddał się bez wystrzału. Zgasił dobrowolnie ostatnie gniazdo oporu, może na kilka miesięcy przed ostatecznym pogromem Niemiec. Cofnął się przed ostatnim kwadransem próby nerwów. Zbaraż zamienił w obóz pod Ujściem.

Cóż w tem jednak tak dziwnego — myślał Lipski... ze smutkiem, ale bez rezygnacji. Ci podporucznicy, podoficerowie, ochotnicy, Małagowscy, Stefanowscy, Pająkowie, Rydzewscy, byli z początku uczestnikami różnych dziecinad, później Sfinksów wszelakiego autoramentu, a potem coraz bardziej twardniejących form mility. Rośli więc i zbliżali się ku armji od wewnątrz. I armja rosła ich rośnięciem, jak wyspa koralowa pracą koralu. Jakże więc mogli nie wierzyć w zwycięstwo, kiedy zwyciężali codzien?

Ale grupa fachowców, która cofnęła się od państwa do państwka, w dodatku od państwa pobitego i gnijącego, musiała przynieść ze sobą defetyzm moralny. Pomimo obietnic i zapewnień, czynionych spiskowcom, nikt nie chciał stanąć na ich

czele, bo nikt nie wierzył. Nawet takie wcielenie odwagi cywilnej i wojskowej, jak generał Iwaszkiewicz! Nawet takie uosobienie obowiązku i poświęcenia, jak pułkownik Żeligowski! Dając tylokrotnie życie idei honoru, której służyli, nie chcieli jej jednak dać nazwiska.

W dramacie niedoszłej „Armji Wschodniej” widział Jerzy groźne memento historii. Dotychczas walczyli ze Wschodem, moralnie słabszym niż oni. Aż w maju tego roku musieli się zmierzyć po raz pierwszy ze straszliwą siłą moralną „zgniłego Zachodu” i — padli!

Pomimo osaczeń, ultimatum i pogróżek, Niemcy nie wydobyli nawet szabli z pochwy. — Umieli tylko czekać — w milczeniu, jak buchnie płomień słowiańskiej sterty i sam zgaśnie. Bronią ich był genjusz rasy germańskiej — genjusz czekania.

Nie powierzajcie ojczyzny człowiekowi, który nie posiada wiary, chociażby miał jak najwięcej zasług przeszłych! Niech to będzie raczej człowiek młody i nieznany! Raczej chłop, oszalały jak Joanna D'Arc!

ODRASTANIE.

Po lustracji „Kół Młodzieży” w zaściankach „Abisynji” i założeniu tam „jacjejek peowiackich”, Stefanowski i Jerzy opuścili byłe terytorja „I-szej Litewskiej Szkoły Podchorążych” i wrócili do Mińska.

Obcując przez czas dłuższy z plemiem nierozsądnych, Jerzy był ciekaw, co też mówią ludzie rozsądni i przewidujący o ich bobrujskim Sedanie. Oczywiście, jak to było do przewidzenia, wszyscy aprobowali jednogłośnie postępek gen. Dowbora. — Jakże można było — mówiły restauracje i kawiarnie rodzinnego grodu — myśleć o oporze, chociażby nawet i na Polesiu. Walka? Z kim?... Z tymi, którzy najdalej może za parę miesięcy zabiorą Paryż i wrócą tutaj na zawsze. Dla jakiejś tam głupiej ambicji narażać życie naszej szlachetnej młodzieży? Ależ pomnik wdzięczności należy się Dowborowi. Pomnik za życia „od wdzięcznych matek i ojców”. Czy mało wycierpieliśmy za 63-ci, ażeby urządzić jeszcze jedno powstanie?

Nikt oczywiście nie przypominał sobie, ażeby plemię rozsądnych cierpiało od Moskali. Przeciwnie, im kto był bardziej rozsądny, tem lepsze robił interesy. Nawet w czasach, kiedy Moskal zaczął uchodzić za bolszewika, „rozsądni” darowywali „wojsku polskiemu” konie, znajdujące się już pod opieką sielkorów i sielchozów. Ongi, kiedy pół roku temu nierozsądna krucjata dzieci walczyła z dziecinniejącem państwem rosyjskiem, rozsądni narzucali się jako pośrednicy pomiędzy rewolucją i korpusem. Dziś stwierdzili stanowczo, że stoją po stronie „cywilizacji zachodniej” (czytaj okupacji niemieckiej).

Dwaj przyjaciele nie mieli jednak czasu analizować matamorfozy plemina rozsądnych, zajęci

byli bowiem nawiązywaniem kontaktu pomiędzy P. O. W. i szkołami. Trzeba dodać, że całe szkolnictwo średnie i powszechne wyszło obronną ręką z klęsk. Jakże już dawnymi wydawały się te czasy, kiedy pensjonarki śpiewały w swoich salach szkolnych: „Pokoik taki mały, dwa kroki wszerek i wzdłuż“. Dziś już z czterech olbrzymich gmachów, własnoręcznie zdobytych przez uczniów i niektórych z uczennic, wysypywały się roje młodzieży, napętlając martwe ulice jedynym gwarem.

Ale ta zdobycz liczebna „państwka” była niczem wobec zdobyczy moralnej. Analizując społeczeństwo nierozsądnych, wśród których upłynęło osiem lat jego życia, Lipski znalazł je znowu zmienione na lepsze. Znowu uderzył go głębszy ton moralnego renesansu, zmężnienie ludzi i idei. Niemało pomogły do tego warunki. Znikły bez śladu pokusy łatwych karier rewolucyjnych, rozproszyła się spółka „gotowych” przedstawicieli do reprezentowania wszystkiego, z wyjątkiem nieposiadanej pracy własnego życia. Podział miar, dokonany ze Wschodu, ujednoczył dusze, usunął z sumień rozterki i wahania. Niebezpieczeństwa, rozczarowania, zwycięstwa i klęski stały się jak zwykle młotami charakterów. Tymczasowość władzy politycznej i wiara-przeczenie tworzyły ze szkół koszary ochotników. Walki na zachodzie Europy przybierały rozmiary coraz bardziej gigantyczne, i cała „cisza na wschodzie” wyczekiwała tylko znaków jutra. W początkach sierpnia

eks-prezes pojechał do Zydy na wieś, z zamiarem wciągnięcia go do P. O. W. Zastał go na polu w towarzystwie ojca i dwóch wyższych oficerów niemieckich, tak grzecznych i kulturalnych, że Lipski zauważył w sobie ze zgrozą objawy sympatji do tych Szwabów. Oficerowie, starzy rolnicy brandenburscy, byli niepomiernie zdziwieni, że tak daleko od cywilizacji zachodniej rósł taki wspaniały owies.

Po wymianie prezentacji i powitań, młodzież ruszyła naprzód, omawiając obecny stan pracy w powiatach, starszyzna zaś wiodła dalej ożywioną dyskusję naukowo-agronomiczną.

Nazajutrz z rana Zyda zabrał przyjaciela do zaścianka Taczanowic. Taczanowice — było to takie sobie zaściankowe Betlejem w okolicach Nieświeża, w którym pewnego razu pokumał się społecznie pewien młodzieniec miejscowy z nauczycielką niemiecką. Co kilka miesięcy rodziło się młodej parze dziecko: to kółko młodzieży, to biblioteczka, to kooperatywa. Młodzieńcowi przyszedł na świat nawet młyn.

Drogę do tego nowogródzkiego Liskowa wyzyskał eks-prezes dla zarzucenia sideł psychologiczno-agitacyjnych na duszę przyjaciela. Ale w momencie najbardziej dramatycznym (apel do ideałości) Zyda parsknął śmiechem.

— Przeczuwałem, stary, że coś knujesz i że to nietylko miłość, ale i interes sprowadził cię w nasze progi. Niestety, nie z tego, mój bratku.

— Jakto nic! — krzyknął odruchowo Lipski, zdziwiony, że materiał ideowy, mówiący mu całe życie „tak”, powiedział raptem „nie”.

Eks-uczeń spojrzał na eks-mistrza i spoważniał.

— Mój kochany, widzę, że jesteś zgorszony, ale cóż ja na to poradzę, że latka idą i swoje robią. Ja już jestem trochę inny, niż w czasach prezesury Bratniej Pomocy. Może poczęści dlatego, że byłem w prawdziwym wojsku, a nie w...

— Ale wojska już niema, ale sfinksy.

— Tem gorzej. Bo nie wiem, czego was nauczy wasz sfinks. Ale wiem, czego mnie nauczyło wojsko. Nauczyło mnie uznawać albo -- albo. Albo praca realna, albo nic. Ale kiwać palcem w patryjotycznym bucie, radzić z paru nieszkodliwymi bubkami nad unieszkodliwieniem armji niemieckiej, wówczas, kiedy na Zachodzie robi to bez waszej pomocy kolosalna potęga Ententy! Dawać fikcyjne rozkazy i odbierać fikcyjne zlecenia?

— A czy inna praca jest realna? Jakże można wierzyć Szwabom? Jakże można przypuszczać, że po zwycięstwie nie rozprawią się ze szkołami i kółkami młodzieży?

— A któż im wierzy — przerwał zniecierpliwiony Zyda. — Nie wiem, kiedy ty się nauczysz myśleć realnie. Właśnie w takich czasach, jak dziś, materją najtrudniej zniszczalną jest sam człowiek. Oczywiście, że szkoły mogą nam Szwaby poniszczyć, ale młodzieży nie. A o to właśnie chodzi, żeby w razie czego mieć ją pod ręką.

— Organizacja nasza ma poza tem cele samo-wychowawcze — wygłosił sakramentalnie eksprezes.

— Kiedyś tak, kiedyś trzeba było szesnastolatkom wrywać z rąk Oskara Wilde'a i pakować podręczniki skautowe, ale nie dziś. Dziś już piętnastoletnie skautki umieją lepiej obchodzić się z bronią, niż mężczyźni przedwojenni.

— A wywiad?

— Dla kogo? Poco?!

— No... chociażby dla Koalicji!

— Więc ty myślisz, wieczny dzieciaku, że najpotężniejsze państwa świata będą się posługiwały wiadomościami, zdobytymi przez kilka niewinnych pańienek, a nie oficerami swoich sztabów generalnych?

— Jak widzę — zauważył dość kwaśno nieszczęśliwy agitator — jesteś generalnym pesymistą.

— Wcale nie. Jestem tylko rekonwalescentem dyletantyzmu, a ty jeszcze leżysz w łóżku. Na pociechę mogę ci tylko powiedzieć, że nie ty jeden jesteś w tym szpitalu moralnym. Bo i czemuż my właściwie jesteśmy — zapalał się Zyda — my, jako pokolenie, jako generacja? Matury, studia? Chyba od stowarzyszeń konspiracyjnych. Wojsko? — Ani oficer jeszcze, ani żołnierz już. Ot — członek pospolitego ruszenia. A przecież od takiej społecznej Kaśki do wszystkiego życie też może zażądać w każdej chwili odpowiedzi na pytanie: kim się jest? Działacz społeczny! A cóż to za

stworzenie? Trzeba być czemś, nawet w czasach, kiedy wszystko staje się niczem.

Zyda umilkł, zgorączkowany. Jerzy zesmutniał i odwrócił się urażony. Jasne, że cały teren bryczki jest bezpowrotnie stracony dla mińskiego P. O. W.... a przytem ton! Tonem takiej wyższości Zyda nie mówił doń nigdy jeszcze! Starał się nie myśleć o drażliwych tematach, poruszonych przez przyjaciela, i błędził wzrokiem po przyleśnych polankach, pełnych dojrzewającej hreczki. Jak ta wiosna i lato znowu minęły niepostrzeżenie.

— No cóż, Lipa, widzę, że gniewasz się na mnie — odezwał się Zyda. — Ale tyle już rzeczy przykrych ci powiedziałem, że dodam jeszcze jedną kropelkę do tego morza. Myślisz sobie w tej chwili, jak ten były mały Zyda, sztubak i smarkacz, bo na tem stanowisku miałem zaszczyt na wieki wieczne pozostać w twojej wyobraźni, śmie mówić mi takie rzeczy! Mnie, liderowi! Mistrzowi! Bo przecież był czas, kiedy nietylko ja, ale i wielu innych było pod twoim wpływem. I nie powiem, żeby to nie był wpływ dobry. Ale życie wezbrało nagle gwałtownie. Wszyscy rzuciliśmy się wpław. Nas poniósł mocny prąd, a ty zostałeś na spokojnej przybrzeżnej wodzie. Płyniesz już za nami, uważając się za prowodyra, bo do tego daje ci prawo twoje dawne kierownictwo duchowe. Jeżeli jednak naprawdę chcesz wrócić do dawnej roli, musisz zrozumieć, co ciebie dyskwalifikuje jako przywódcę: twoje czysto polskie „cośrobienie”., Coś-

robienie”, graniczące z partactwem. Bo, widzisz, w życiu, jak w przyrodzie, są pory roku. Kiedy jest zima, to nie można orać par force. Trzeba zbierać kapitał na wiosnę, trzeba się kapitalizować. Tymczasem ty, zamiast ratować jedyny kapitał, jaki nam jeszcze pozostał, t. j. młodzież od apatii i rozproszenia, rzucasz pracę, w której z takim pożytkiem pracowałeś, dla chimery. Współdziałaś w tworzeniu kooperatywy dyletantów, która kiedyś oświadczy armją, usuwając nabok tych, którzy szli na wojnę, jak do szkoły.

— No, Dowbór przecież nie był dyletantem — przerwał z ironją Lipski — a jego „armja” jednak nie istnieje.

— Owszem, istnieje, istnieje! Jest na przechowaniu w obozach koncentracyjnych, w domu, w konspiracyjkach, w różnych mysich norach, ale jest. Jest, bo jest u siebie, bo jest na tym terenie, na którym zacznie się przyszła walka i może przy pierwszych ruchawkach chwycić za broń. Zresztą, a cóż wy z nią robicie? Wysyłacie ludzi na... Murman dla zrobienia przyjemności Koalicji. Uwolnienie Polski od okupantów może chyba prędzej być dziełem naszych własnych Maćków czy Bartków, niż strzelców marokańskich, czy nowozelandzkich. Ale właśnie dlatego trzeba ich mieć pod ręką, a nie wysyłać w najkrytyczniejszym czasie na oglądanie bieguny północnego.

— Oczywiście, więc i nasz Sedan bobrujski hańbą dla ciebie nie jest?!

— Jaki Sedan? Nie widzę tu żadnej analogji! Za Sedanem była jeszcze cała Francja, a za nami kto? Dniepr i bolszewicy! Chcieć, ażeby 30.000 ludzi broniło się w fantastycznym państewku, jak Twardowski zawieszonem pomiędzy dwiema potęgami — to nie honor, to romantyzm!

Zyda umilkł. Jerzy nie wszczynał już dysputy. Widział sam, że dystans pomiędzy wozem życia, na którym siedział przyjaciel, a jego skromną osobą, biegnącą teraz za tym wozem na piechotkę, jest zbyt wielki. Nie warto się śpieszyć, bo się nie dogoni. A zresztą i nie warto.

* * *

Ponieważ Zyda był nietylko realistą w polityce, ale i w podróży, mostki zaś na groblach były tak mało pewne, jak ich własna przyszłość, zajechali więc na noc do Zasula Krupskich. Gospodarze, obaj eks-ułani dowborscy, przyjęli ich duszeniem w uściskach i rzuceniem się do dorzynania niedorzniętych przez Niemców bydlatek. Wkrótce też nieproszeni goście ujrzeni niewojenne jadło, zastawione pod wspaniałym dachem z lip, nieba i gwiazd, bo reszta dachu była spalona.

— Cóż wy teraz zamierzacie ze sobą robić — zapytał chytrze eks-prezes nie bez nadziei powetowania na terenie zasulskim porażki z poniesionej na bryczce. Świece niebieskiej ich werandy dopaliły się do zmierzchu, wszystko, co było do zjedzenia i do opowiadania, zostało już skonsumowane.

— Jedziemy do Warszawy — odpowiedzieli wszyscy trzej chórem.

— Jakto, i ty? — zagadnął Zyde ironicznie Lipski — przecież masz zamiar się „fachować”! — włożył w te słowa cały dość szczupły zresztą zapas złośliwości, w jaki wyposażona została od natury natura prezesowska. Zły był bowiem jeszcze na realistę z bryczki, że tak sromotnie między laskiem i piaskiem pogrzebał jego wiarę w swój romantyzm.

— Właśnie poto jedziemy do Warszawy, ażeby zostać fachowcami — odparował spokojnie Zyda. — Jedziemy narazie na uniwerek. A i tobie radzę zrobić to samo. Przyda się.

— Przytem w takich czasach zawsze warto być w Warszawie — dorzucił jeden z Krupskich. Bo jak się w Polsce coś zacznie dziać, to tam się najpierw ruszy. Właśnie mówił mi pewien znajomy Poznańczyk...

Nazajutrz o 11-ej z rana byli już w Taczanowicach. Musieli długo błądzić po polach i łąkach, zanim odnaleźli „pana prezesa”, który nie tylko czynił cuda społeczne, ale i zamasyście kosił trawę na jakiejś dalekiej, podleśnej łączce.

Po powitaniach, zebraniach, wizytacjach, wydobyciu z walizek podróżnych podręczników warszawskich, broszur wileńskich i instrukcyj mińskich, obaj delegaci zaczęli badać grunt, oczywiście każdy w innym celu. Obaj jednak doszli do wspólnego wniosku, że tak wysokim rozumem pracy nie może

się poszczycić ani „Abisynja”, ani Kojdanów, gdzie od wieków wiecznych grasował przeciw społecznie ród „Zydów”. W tym zaścianku bez mężczyzn, trzy lata pracującym na rekwizycje okupantów i rabunki „towaryszczej”, pełno było entuzjazmu, planów i inicjatyw na przyszłość, jakgdyby minęły już dawno wszystkie burze historii i gdzieś w którymś miejscu Europy ukazywać się zaczęło niebo bezdżdżyste.

Wrażenia taczanowickie obu wizytatorów były tak krzepiące, że Lipski, zmęczony psychicznie ciągłą zmianą konjunktur i rozdrażniony niedawną walką z Zydą, począł zazdrościć budzicielowi Taczanowic. A możeby już tak raz nareszcie zaprzestać ciągłego zbawiania ojczyzny, zrzucić skórę agitatorsko-dygnitarską, zagrzebać się w małym światku, pokumać się społecznie i małżeńsko z jaką miłą panią i zacząć wypychać ku niebu piątą, czy szóstą część powiatu.

Musiał jednak narazie zapomnieć o tych planach, nikomu bowiem nie pozwolono zbyt długo filozofować w Taczanowicach. Przecież trzeba było zwiedzić młyn, sklep spółdzielczy, pierwszą przekąskę, zebranie walne, teatr amatorski, biblioteczkę, drugą przekąskę i t. d. Poczem wieczorem tegoż dnia odbyła się herbatka organizacyjna liderów w malutkim pokoiku nauczycielki. Było tam dużo herbaty, konfitur, miodu, świeżego masła i chleba, hałasu i wesołości. Okna były otwarte i gościnnie taczanowicki sierpień siał zapachy

ziół i cykania świerszczy na ciasteczka, wędliny, bułeczki, sucharki i to wszystko, co skoczyć może na stół nowogrodzki w czasach głodu, ognia i wojny.

Po herbatce młodzież ruszyła na spacer. Była piękna i ciepła noc sierpniowa, i Jerzy tonął we wspomnieniach, słuchając ćwierć-uchem dyskusji społecznej. — Szkoły u nas idą zupełnie normalnie — mówił z ożywieniem Zyda. — Bolszewicy nie mieli już czasu zniszczyć ich na odchodnym. Niemcy narazie do niczego się nie wtrącają. Mój ojciec sprowadził właśnie pierwszy od roku 1915 transport książek i podręczników wprost z Warszawy. Co się tyczy kół młodzieży, to...

— Jacy my jesteśmy inni, niż nasze i szwabskie pokolenie kapitału — przyszła nagle myśl i obraz starszego pana Zydy i oficerów brandenburskich — jak my już jesteśmy daleko od ziemi — myślał Jerzy.

— Najlepiej przedstawia się praca w samych Taczanowicach — opowiadał gospodarz — no i w Nieświeżu. Nieśwież to nasza chluba.

Całe towarzystwo znalazło się na jakimś wzgórk, oblanym jak wyspa zbożem jesiennem i ścierniskiem. Na prawo migotały ogniki dalekiej wioski, z łąk chłopskich dochodziły rżenia koni i odgłosy dzwonek. Zaścianek i cały świat tonęły w ciemnej, bezksiężycowej nocy. Niezwalczona żądza powrotu do ziemi, zagrzebania się, jak w latach dziecinnych, w pustce, zdolnej wchłonąć nieskończone ilości ludzkie, zawsze samotnej, zawsze gościnnej dla wędrowców i przechodni — ogarnęła

naganiacza do P. O. W. Ach, odejść-że raz nareszcie od piramidek ludzkich, tworzących się i rozsypujących jak domki karciane! Zapomnieć o obowiązkach marszu ku celom dalekim i niewiadomym!... Raz spojrzeć na swoją ziemię tak, jak te Szwaby w pikelhaubach patrzyły na cudzą!

Oczywiście było to niemożliwe. W przededniu politycznego trzęsienia ziemi, jednego z najsilniejszych, po którym całe ich dawne życie zostało ostatecznie wysadzone w powietrze, oddalali się od niej, zamiast się zbliżać. Dla starszego pana Zydy jego dwór był jeszcze dworem, dla junjora było to już dzieciństwo sielskie, anielskie. Dla Lipskiego każdy dwór był tylko terenem, na którym, z najmniejszym nakładem czasu i energii, można było zarzucić sidła psychologiczne ad gloriam jakiejś P. O. W. na jakiegoś Zyde.

KOMANDOR REWOLUCJI ZACHODNIEJ.

W kilka miesięcy po rozbiciu dywizji gen. Hallera pod Kaniowem, odwrócenie legjonów czeskich przez Syberję, wobec którego odwrót Ksenofonta był zwykłą wycieczką turystyczną, i rozbrojeniu Dowbora — kiedy potęga państw centralnych zdawała się panować bez przeszkód nad olbrzymim lądem od Charkowa do Pas de Calais i od równiny Lombardzkiej do Helsingforsu, nagle ziemia podbita na Wschodzie drgnęła pod stopami zwycięzców. Nie były to jeszcze

drgnienia odczuwalne dla wszystkich, ale już notowały je z niepokojem sejsmografy komend policyjnych przy armjach okupacyjnych. Sejsmografy raportowały, że „państwko” odrasta raz jeszcze.

Tworzenie się dywizji gen. Żeligowskiego nad morzem Czarnem, organizacja brygady syberyjskiej, sączenie się najwytrwalszych i najnieugiętszych na Murman — do Anglików, gorączkowe narastanie sieci tajnych stowarzyszeń w Polsce etnograficznej, partyzantka na Zadnieprzu i Ukrainie — oto, co zapowiadało niedalekie trzęsienie ziemi.

Tym razem odrastanie „państwka” było aktem eksterytorjalnym. Nielegalne czasopisma, wydawane w Warszawie, a czytane wszędzie jak proroctwo ewangeliczne, donosiły o tworzeniu się armji gen. Hallera we Włoszech i we Francji, o nieopisanym entuzjazmie, z jakim Polonja amerykańska słała swych synów na oswobodzenie starego kraju.

Tu i owdzie jakiś odważniejszy dziennik przemycił pod przykrywką drwinek na temat „dolarowych zajęcy” wiadomość o nieskończonych transportach wojsk amerykańskich, lądujących w portach francuskich. O chmurach aeroplanów i straszliwych tankach, pod których naporem „dzielnie się trzymał” niemiecki front zachodni.

Takie wzmianki, międzyszpalty, półsłówka, cyganione od Poznańczyków, stawały się tlenem dla „państwka”. Im bliższa była zima roku 18-go,

tem więcej ziemia pęczniała od soków wiosennych, zbliżając się do swego ostatniego kwietnia.

Niepokój czuć było wszędzie. Wszędzie obok tajnych robót polskich ryto galerje podziemne i kopano przekopy. Ziemie byłej Rzeczypospolitej od jeziora Pskowskiego do Śląska i od Pucka do Odesy i Charkowa kielkowały. Państewka podziemne lotewskie, ukraińskie, estońskie, litewskie rosły tam szybko i tysiące młodych serc biły unisono, oczekując wieści z Zachodu. Po śmierci starego opiekuna Rosji i zajęciu się młodego dziedzica gruntownem trzebieniem Wielkorusów, dla runi tych narodów pozostał tylko jeden możliwy front. Był to front antyniemiecki.

Oczywiście, jedna armja, przerzucona z frontu zachodniego, byłaby z łatwością zgmiotła tę porwulucyjną „Wiosnę Ludów”. Ale na stół zachodni padały coraz nowe karty i zwycięski dotychczas gracz niemiecki nie mógł ani na chwilę wstać od stolika karcianego. A tymczasem, pomimo pozornej ciszy, coraz silniejszy wiatr wiosenny zrywał się na terenach Ober-Ostu.

W jakiś dżdżysty i mglisty wieczór listopadowy dwaj zapeowiaczeni Poznańczycy zakomunikowali poufnie liderom „państewka” o straszliwej klęsce Niemiec na Zachodzie i wybuchu rewolucji w Berlinie.

W mieście zawrzało. Komitet Obywatelski (Radecki, generał Wejtko, pułk. Kobordo, Bobrowski i t. d.) postanowił zmobilizować całą młodzież.

W razie wyjścia Niemców zająć miasto. Jeżeli to się nie uda — wysłać jak największą ilość ludzi do Królestwa.

Spółeczeństwo polskie było zaniepokojone zupełnym brakiem wieści z Warszawy. Od kilku dni przestano otrzymywać stamtąd listy i gazety. Komunikacja urwała się zupełnie. Coś musiało się tam stać. Warszawa nie mogła się przecie zachować obojętnie wobec tego, co się stało we Francji. Reszta ludności drżała na myśl o krwawych porachunkach ze strony bolszewików, albo rodzimych mętów, na wypadek wyjścia Niemców. Wieść o strasliwym pogromie Rygi i rzezi patrycjatu niemieckiego przez szumowiny wielkowiejskie przeraziła miasto. Najnieszczęśliwsi jednak byli Rosjanie.

Ludność polska, wyzuta ze swego stanu posiadania przez inwazję, równą w sile niszczenia chyba tylko najazdowi tatarskiemu z czasów króla Aleksandra, odzyskiwała jednak przystań moralną w zbliżającym się państwie. Tracąc własność prywatną, odzyskiwała własność zbiorową. Przegrywając, jako pokolenie, zwyciężała — jako ród.

Natomiast niedawni właściciele jednego z największych gospodarstw kuli ziemskiej w przeciągu roku spadli do rzędu parjasów, wobec których bogaczem był ostatni proletariusz warszawski czy łódzki. Szczęśliwsza młodzież mogła się przedrzeć na południe, albo się wślizgnąć do arki bolszewickiej, budującej się wśród potopu kiereńszczy-

zny, ale biedni starzy, ogłuszeni przez kataklizm, który wziął się niewiadomo skąd, burząc do ostatnich błahostek każdy szczegół dawnego życia, byli skazani nietyle na gilotynę, ile raczej na krematorjum.

Nikt nie czuł już do nich tak niedawnej jeszcze niechęci, ale tylko poprostu litość. Klamry sztuczne, stworzone przez rozbiory, opadły. Wschód odchodził na wschód. Zachód garnał się ku zachodowi. Pax świtał wśród szykującej się wojny.

* * *

Pewnego dnia Jerzy Lipski wyczytał w którymś z dogorywających pism miejscowych wzmiankę o walnem zebraniu garnizonu niemieckiego w celu dokonania wyborów miejscowego Soldatenratu i poszedł zobaczyć, jak to też wygląda „rewolucja u Szwabów“.

Zebranie odbywało się w teatrze miejskim. „Szwaby” niebardzo chciały go puszczać, ale ostatecznie przy pomocy jednego ze znajomych Poznańczyków dał sobie radę i w kilka chwil potem mógł już słuchać i obserwować bunt cywilizacji.

Największa w mieście sala, w której rewolucja rosyjska odprawiła już tyle swoich mszy i kazań przy akompaniamencie ryków internacjonau i szelestu gryzionych „siemiaczek”, teraz posiadała pewien szyk, a nawet się umyła. Parter, loże, balkony i ich dawna sztubacka „jaskółka” pełne były ludzi w zielonkawych szynelach, zapiętych na

wszystkie guziki i ściągniętych pasami. Stosunkowa szczupłość miejsca wobec nadmiernej ilości obecnych tworzyła coś w rodzaju zielonego dywanu i obicia dla podłogi i ścian teatru.

Na scenie stał duży stół, okryty zielonem suknem, a o parę kroków na lewo mównica, ze szklanką wody, stojącą na białym, fajansowym spodku. Sześciu ludzi, siedzących za stołem, pracowało tak powoli i spokojnie, wertując papiery porozrzucane na zielonym pokrowcu, jakby nie tylko nie było na sali „zielonego obicia“, ale wogóle nie było nikogo.

Upłynął kwadrans, potem pół godziny. Jerzy zaczął się na dobre niecierpliwić, ale tylko on jeden. Żywe obicie zachowywało spokój niemal zupełny. Wreszcie rozległ się energiczny, krótki dzwonek przewodniczącego. Audytorjum znieruchomiało ostatecznie. Jeden z członków prezydium powstał, oznajmiając tonem sucho — protokółarnym, że zebranie jest rozpoczęte. Po chwili wstał drugi i przeczytał jakąś depezę z Berlina. Późem znowu podniósł się przewodniczący i takim samym tonem sucho-protokółarnym poprosił zebranych o uwagę, gdyż ma zamiar postawić kandydaturę na stanowisko prezesa „Soldatenratu“ i ma nadzieję, iż wybór zostanie dokonany przez aklamację.

A potem oznajmił zebrany tonem, pełnym spokoju i równowagi, jakby to była rzecz najzwyczajniejsza pod słońcem, że tym kandydatem jest

generał von Falkenhayn, dowódca armji X-ej, i że on, przewodniczący walnego zebrania garnizonu, prosi go, ażeby objął ponownie władzę nad nimi, przedtem z nominacji cesarza, a dziś z wyboru i zaufania żołnierzy.

Teraz dopiero po raz pierwszy od początku obrad to tu, to tam, rozszedł się szept, w dwóch czy trzech wypadkach przechodząc w półgłosny szmer, ale groźny dzwonek przewodniczącego uśmierzył te objawy anarchji rewolucyjnej i znowu parter, balkon i łoże stały się zielonem obiciem.

W tym samym jednak czasie około bocznych drzwi wejściowych wszczął się jakiś ruch. Tłum począł się rozstępować gwałtownie. Szybki ruch falisty ogarnął cały parter, tworząc na środku szeroką, wygodną ścieżkę dla tego kogoś, kto znajdował się jeszcze we drzwiach. Wreszcie ścieżka, gorączkowo poszerzana, zastygła. Ktoś szedł po niej... Całe najbliższe otoczenie Jerzego pochyliło się naprzód. Upłynęło kilka sekund, zanim udało mu się znaleźć trochę miejsca między czyjśm ramieniem i głową i dostrzec obiekt zainteresowania powszechnego.

Był to olbrzymi, nieco pochylony człowiek w kasku, z orderami na piersiach. Bukiet lamp elektrycznych, palący się nad stołem prezydjalnym, rzucał jasne światło na szeroką, czerwoną twarz, osadzoną na krótkiej szyi i grubym karku. Rysy twarzy i budowa cielesna idącego były czemś prze-rażająco ogromnem, miażdżącym!... Zdawało się,

że to jeden z grunwaldzkich krzyżaków ożył i wstępuje na scenę.

Upłynęła długa sekunda ciszy, zanim olbrzym - generał znalazł się na wzniesieniu sceny i, odwracając powoli swój kolos cielesny w stronę tłumu, stanął nad parterem, potężny, wielki, ogromny na tle zmalełego prezydium i zastygłej u jego nóg masy żołnierskiej.

Jerzy spostrzegł, że całe jego otoczenie wstrzymuje dech w piersiach i że cisza śmiertelna zapanowuje w tem i tak już niegłośnem zgromadzeniu. Domyślił się więc, że ów żywy posąg ludzki, stojący w tej chwili na wzniesieniu scenem, jest nie kim innym, jak kandydatem na prezesa Rady, generałem dowódcą von Falkenhayn.

— Żołnierze!... Nie nazywam was towarzyszami, ponieważ dla mnie byliście, jesteście i pozostaniecie tylko żołnierzami. Jestem, byłem i pozostaję człowiekiem starych czasów, który nie rozumie tego, co nadeszło, i nie uważa tego za dobre.

Pomimo to pragnę jednak wam podziękować, iż, pomimo różnic w naszych poglądach na świat, okazaliście zrozumienie ducha starych Niemiec, t. j. dyscypliny Niemiec. Jest to dla mnie wielką pociechą w tem potrójnem nieszczęściu, jakie mnie spotkało: Klęski Niemiec! Rewolucji w Niemczech! I abdykacji cesarza!!

Ale ja... dzieci!... jakąkolwiek władzę mógłbym przyjąć ponownie tylko z rąk tych, które mi ją dać miały prawo w starych czasach, to jest

z rąk cesarza. Tu niech przyjdzie ktoś z pośród was samych. A ja... odejdę... Za moim starym cesarzem, tam, gdzie odeszła już sława, zwycięstwo... i ludzie starych Niemiec!

Niech żyje cesarz!

Dwukrotny, potężny, przenikający krzyk „niech żyje cesarz“! wydobył się z piersi generała. Ale ani jeden człowiek żywego obicia nie powtórzył go. Cisza śmiertelna panowała dalej w zgromadzeniu i wśród tej ciszy - odpowiedzi rozległ się ponownie szmer tworzącej się ścieżki... jeszcze szerszej niż ta, którą Komandor Rewolucji Zachodniej szedł ku swemu słowu. Potem widziano, jak „On“ zstępuje ze sceny, jak idzie z głową tłoczoną ku ziemi... jak znika w cieniach drzwio- wych... jak zwiera się za nim fala ludzka i wszczynają się wśród niej cichy szmer...

ZMIANA WŁADZY

Pierwsze wieści o wybuchu powstania w Krakowie i Warszawie, rozbrojeniu Austrjaków i wypędzeniu Niemców dotarły wreszcie do Mińska. Trudno opisać radość, z jaką polska ludność miasta przyjęła wiadomość, iż słowo stało się wreszcie ciałem.

Zatętniały natychmiast arterje „państwka“. Wszystkie jawne i podziemne zbiorniki energii, zachowki ludzkie, rezerwy, kadry niedoniszczone przez wojnę i rewolucję — wychowańcy szkół,

skautingu, b. jeńcy z „Galilei“ i Wielkopolski, legjoniści i dowborczycy, młodzież zaściankowa, ciągnąca „z panami do polskiego wojska“ — całe to bractwo zaczęło gromadzić się w Mińsku w celu przedostania się na tamtą stronę.

Nie było to wcale zadanie łatwe, gdyż Niemcy, rozwścieczeni niedawnym rozbrojeniem garnizonu warszawskiego, ani słyszeć nie chcieli o przepuszczaniu na zachód młodzieży w wieku poborowym. Trzeba więc było zorganizować „Biuro fałszywych przepustek”, do którego dyrektor Lipski zaangażował uroczą i zalotną pannę Jadzię, oraz jej dwóch wielbicieli w myśl swojej dawnej zasady: eksploatować przyrodę dla celów społecznych. Panna Jadzia pisała na maszynie tekst niemiecki, podpisując zarazem przepustki, jako porucznik von Müller, wielbiciel-blondyn figurował, jako Herr komendant pułkownik von Berger; Soldatenrat, konduktorzy i żandarmi niemieccy brali łapówki, a młodzież jechała szczęśliwie na tamtą stronę.

Pewnego razu zgłosił się do „Biura przepustek” jakiś podejrzany obdartus. Jerzy już miał się go pozbyć przy pomocy roślejszego z wielbicieli panny Jadzi, kiedy nagle ptaszek roześmiał się głośno, szczerząc białe zęby w szelmowskim uśmiechu.

— Zaniewski! Jaś! — krzyknął dyrektor, wylatując z za biurka.

— We własnej osobie — odpowiedział obdartus, rzucając się w ramiona dygnitarskie.. —

Ale od kiedyż to, wielki człowieku, nie raczysz poznawać najbliższych krewnych?

Nie widzieli się od czasów szkolnych, z wyjątkiem dramatycznego spotkania pod Żłobinem, które nie zachęcało oczywiście do rodzinnego „co słychać”. Dzieje pokojowe Jasia, według jego własnych słów, były głupie i bezbarwne. Kochał, pił, bawił się i wogóle nic nie robił, aż do chwili, kiedy z nastaniem „wojen i rewolucji” zaczęły się nareszcie dobre czasy. Zwłaszcza mógł „sobie użyć”, kiedy bolszewicy wszczęli walkę z Dowborem. Kręcił się wówczas w okolicach Mińska, wystrzeliwał patrole, wieszał komisarzy, aż wreszcie dowiedział się z zadowoleniem, że — „wyobraź sobie, ci poczciwi bolszewicy wyznaczyli cenę na moją głowę, o której każdy kiedyś mówił, że jest pusta”. Po kapitulacji Dowbora Jaś zaczął robić to samo Szwabom, „bo i co go jakieś safanduly bobrujskie mogły obchodzić”. Teraz dowiedział się, że Warszawa zmańdrzała wreszcie, więc „może by warto i tam”!

Opowiadania Zaniewskiego były tak barwne, że eks-prezes posądział z początku kuzyna o trochę blagi, do której zresztą Jaś był nieco skłonny od dzieciństwa. Skoro jednak nazajutrz zaczęły się zgłaszać do „biura” różne typy z Jasiowej partyzantki, eks-prezes doszedł do wniosku, że jeżeli Jaś i „nakoloryzował”, to w każdym razie niewiele.

Zatrzymał kuzyna jeszcze na jeden dzień, wy-

ciągając go na opowiadania o sobie i swoich. Jasia nigdy nie trzeba było ciągnąć za język, jednak o losach Lili nie mógł się od niego nic dowiedzieć. Zaniewski odpowiadał niechętnie, tłumacząc się brakiem listów. Zresztą kuzyn nie nalegał tak bardzo, gdyż primo czasy, nawet według Jasia, były jak najdalsze od bab, secundo zaś, urocza sekretarka, panna Jadzia, oddawna już zajęła w sercu dyrektora miejsce należne pierwszej miłości.

Wkrótce Zaniewski ze swoimi „Kiemliczami” pociągnął na zachód, Jerzy zaś stoczył ciężką walkę z samym sobą:

— Zostać w Mińsku, czy przekradać się do Warszawy?

I jedno, i drugie było w równej mierze obojętnością. Ale w tym odlocie na zachód było dużo radości życia, rozmachu, impetu! A tu znowu trzeba będzie schodzić do podziemi, tłoczyć tam swoje tworzywa tak wspaniale rozrosłe na słońcu i deszczu burz niedawnych. Znowu dziecinnie staczając się z powrotem ku „państewku”, kiedy tymczasem tam, w Warszawie, w tempie zawrotnem powstaje i rozrasta się państwo.

Z drugiej strony, wbrew smutnym proroctwom Zydy na temat przyszłości dyktantów, czuł się potrzebnym, jak nigdy. Miasto było wystraszone, przygnębione i apatyczne. Dawni przywódcy wyjechali do Warszawy, nowi nie zdążyli jeszcze wyrosnąć. Ostatecznie postanowił więc zostać na czas przejściowy. Jeżeli wszystko będzie spokojnie,

odda pracę Stefanowskiemu i wyjedzie do Warszawy. Istnieje prawdopodobieństwo, że wobec rewolucyj, wybucłych w Europie centralnej, bolszewicy zechcą się okazać wspaniałomyślnymi.

Pozostał więc i był świadkiem jeszcze jednej zmiany władzy i tym razem bezkrwawej. Niemcy wyznaczyli termin oddania miasta czerwonym na godzinę 4-tą po południu. Już jednak o godzinie 11-ej z rana podjazdy bolszewickie wdarły się do śródmieścia, widocznie w celach rabunku. Odwrót na wypadek niepunktualności słowiańskiej miała osłaniać tyraljera z kulomiotami. I oto w tem samym mieście, w którym 17.000 ludzi dało się rozbroić 315 dowborczykom i słowu „Niemcy idut” — piętnastoletnie wyrostki z szumowin podmiejskich rzucają się na weteranów, rozbrajają, bijąc po pysku, i gnają jak stada gęsi.

* * *

Hipotezy Jerzego co do charakteru nowego okresu bolszewizmu sprawdziły się co do joty. Nie była to władza, ani już twórcza, ani jeszcze terrorystyczna. Pomimo pewnego stwardnienia i zorganizowania wewnętrznego, dbałości o formy i hierarchie — czuć było na każdym kroku kłopot z ideą, która znajdowała się w chronicznej ciąży, ale nie chciała nic urodzić.

W stosunku do społeczeństwa polskiego przybysze zachowywali się tak, jak przeciętny handlarz

farb. Był czerwony kolor szedł. Zresztą, nie było narazie powodów do ostrzejszych wystąpień. Po między rozszerzającą się Polską a Mińskiem istniała dość wolno spełzająca izolacyjna strefa niemiecka. W przeciwieństwie do mordów i okrucieństw, w jakich pławiły się inne prowincje byłego państwa, na Białorusi, a zwłaszcza w miastach, było jeszcze stosunkowo spokojnie. Coprawda czasopisma ówczesne notowały tylko większe wypadki polityczne, jak np. rozstrzelanie 2.000 oficerów w Kijowie, albo wyrżnięcie 15.000-nego miasteczka żydowskiego na Ukrainie. Cyfry poniżej stu morderstw nie nadawały się nietylko do depesz własnych, ale i do kroniki bieżącej.

Bezkrwawo i sennie poczęły płynąć miodowe tygodnie „ich miasta” z nową władzą. Nikt jednak nie ludził się, że się da coś uchować z dawnego tworzywa. Wszystko wędło pod tchnieniem doktryny nierealnej i nieuchwytnej — prawdziwej mozaiki z despotyzmem indywidualnym. Pomimo różowego pokrowca, uprzejmie dostarczanego przez miejscowych radykałów, śmierć wciskała się do domów „państwka”.

Rozpoczął się więc w historii miasta nowy okres męczącego wyczekiwania. To samo dało się zauważyć i u przeciwników. Pomimo wypadków, zaszłych w Europie centralnej, nie byli jeszcze pewni, czy uda się przyłożyć pochodnię ze złota i fanatyków do austro - niemiecko - węgierskich beczek z prochem. Po między prochem i lontem

znajdowało się ciało izolacyjne t. j. Polska, co do której nie byli zdecydowani, czy należy ją usunąć czy zapalić.

ROZDZIAŁ Z „KONRADA WALLENRODA.”

Pewnego dnia grudniowego straszna zamieć rozszalała się nad miastem, zasypując je niemal od ziemi do dachów. Na placach, po ogrodach i rogach ulic wirowały prawdziwe trąby powietrzne, a Lipski zaniepokoił się, słysząc gwałtowne kołatanie do drzwi. Zamiast jednak patrolu bolszewickiego, który jedynie mógł włóczyć się w czas tak okropny, ujrzał jakieś dwie zapłakane kobiety-Rosjanki. Okazało się, że mąż jednej z nich, biedny urzędniczyna pocztowy, ojciec czworga małych dzieci, został aresztowany i istnieje obawa, że go rozstrzelają. Znalezione u nich na strychu czyjś stary, zardzewiały rewolwer i oskarżono o przechowywanie broni. Dowiedziały się wypadkiem, że Lipski zna dobrze jeszcze z dawnych czasów komisarza Bersona, i proszą go, ażeby się za nimi wstawił. Bo teraz i z chłopem ciężko jest wyżywić czworo, a cóż dopiero bez chłopca.

Wzburzony eks-prezes ruszył natychmiast do Bersona. Kobięciny towarzyszyły mu czas jakiś, obsypując go na wszelki wypadek błogosławieństwami, wreszcie znikły na którymś rogu. Lipski brnął dalej w śniegu, chwytany w pas przez wichurę. Nie pamiętał takiej pogody. Białe tunele

uliczne były puste, jak wnętrza olbrzymich trumien. Od czasu do czasu migał tylko jakiś patrol bolszewicki, obdarty, przemarzły, klnący. Ni stąd, ni zowąd stanął mu w oczach Kijów z maja r. 17-go, w ryzie ze złota-zieloni, ze złocistemi czapami swoich cerkwi, na tle szarzyzny słupów dymnych, zbratane tłumy, święto wolności.

I tu się kiedyś tak bratano w tem szczęśliwym mieście bez rzezi i pożarów, umierającym z anemji i wycieńczenia.

W biurze nie było nietylko Bersona, ale wogóle nikogo. Z trudem dowiedział się od jakiegoś zamorzonego głodem stróżyny, gdzie mieszka pan komisarz, i poszedł tam śpiesznie.

Dyktator Mińska zabierał się właśnie do kolacji i zaprosił przeciwnika politycznego na chleb, kielbasę i herbatę. Dodał przytem, przypominając sobie jakąś powieść z rewolucji francuskiej, że za czasów Dowbora byłby kazał rozstrzelać kolegę Lipskiego, ale dziś zwycięska na całej linii rewolucja może już być wspaniałomyślna i częstuje swego wroga kielbasą.

Oprócz Bersona siedział przy stole jeszcze jakiś bolszewik. Korzystając z dobrego humoru obu komisarzy, Jerzy wyłuszczył sprawę aresztowania („taka jasna i prosta”). Ale wbrew jego oczekiwaniom Berson skrzywił się, jakby mu kto nalał octu do gęby.

— Ostatecznie w tym wypadku mogę zainteresować, ale na przyszłość dajcież nam spokój

z nieszczęśliwymi żonami i dziećmi. Cała nasza siła jest w tem, że się nas trochę ludzie boją. Uwolnimy jednego, drugiego i cały strach djabli wezmą.

— Więc lepiej jest skazać niewinnego na śmierć — wybuchnął Lipski, do żywego zadraśnięty w swoim „burżuazyjnym” poczuciu sprawiedliwości.

— Rozumie się -- odpowiedział z chłodną krwią Berson. — Oczywiście Wy, ze swoją burżuazyjną psychiką, nie zrozumiecie nigdy, na czem polega istota terroru. Terror to abstrakcja śmierci. Kto ginie, to wszystko jedno, byleby ginął dla postrachu innych. Jak skończymy wojnę domową, będziemy bardzo „korekt”, ale dziś jeszcze nie mamy czasu na sprawiedliwość. Czczewyczajka...

— Ach, już ta wasza sławetna czzczewyczajka — burknął z obrzydzeniem Jerzy... w tej samej jednak chwili Berson trącił go mocno łokciem, a jednocześnie drugi gość komisarza drgnął i zaczął się przypatrywać uważnie Lipskiemu.

— A to właśnie ja jestem szefem wszystkich oddziałów czzczewyczajki — wycedził powoli nieznamy, kładąc swój ciężki wzrok na osobliwym gościu komisarza Bersona.

Gościowi zrobiło się zupełnie przyjemnie, ale milczał. Nawet poczucie własnego bezpieczeństwa i interes skazanego na śmierć nie mogły wydobyć upokarzającego poprawienia się... ograniczył się tylko do milczenia.

Tymczasem szef „sławetnej” instytucji przyglądał się Jerzemu, jakby chciał dobrze zapamiętać jego wygląd. I odwrotnie — badany — badał. Nic jednak szczególnego nie było w powierzchowności dygnitarza „czeki”. Chyba kontrast energicznych rysów twarzy i łagodnych oczu, owianych melancholją i smutkiem.

— Pan jest nacjonalistą polskim? — padło pytanie.

— Nie wiem, ale wypada powiedzieć, że tak — pomyślał eks-prezes i odpowiedział — tak!

— I prezesem, przynajmniej byłem, wszystkich stowarzyszeń młodzieży, przeciwko nam skierowanych — dorzucił, śmiejąc się, Berson.

— Oczywiście należał pan do stowarzyszeń patriotycznych — indagował dalej nieznajomy.

— Tak. Od 4-tej klasy. Osiem lat.

— A więc jesteśmy kolegami, bo i ja też należałem do nich... coprawda nie do patriotycznych, ale to wszystko jedno. Za moich szkolnych czasów wszystkie organizacje młodzieży bez względu na odcienie miały w swoim herbie niepodległość Polski. Czy i teraz tak jest?!

— Ależ naturalnie — krzyknął gorąco Jerzy, nie dostrzegając ironji w pytaniu.

— Więc dlaczego pan tak pogardliwie odezwał się o instytucji, która stworzyła wasze państwo?

— Nasze państwo?! Przecież sam pan widział, że oswobodzenie szło od wewnątrz.

— A jednak, gdyby nie rewolucja, nawet generał Dowbór byłby tylko jednym z generałów rosyjskich.

— O, onby się tem wcale nie zmartwił, brałby większą pensję — wtrącił Berson.

— A czy pomimo rewolucji istnieje jakiś korpus ukraiński, albo białoruski?

— Wyzyskaliście konjunktury.

— Ale do wyzyskania konjunktur trzeba być przygotowanym. Trzeba mieć ideę, wiarę, wolę i organizację.

— Więc i interesom cioci Ententy nie przypisujecie żadnego znaczenia w dziejach obecnych zbrojeń się Warszawki? — zapytał Berson.

— Nie.

— Rewolucja w Berlinie, Wiedniu, Budapeszcie nie ma dla Was żadnego znaczenia?

— Oczywiście. Były rodziny. Z rodzin splotły się organizacje. Z organizacyj powstały „państwka”. Z „państewek” tworzy się „państwo”.

— No, mniejsza z tem. Powtarza pan „Odeę do młodości”, trochę za późno i na wiek pański, i na wiek historii. Przypuśćmy jednak nawet, że tak jest, i że Polska, jak rzepa, wyrosła nagle od wewnątrz, a wy byliście organicznym składnikiem tego wyrastania. W każdym razie musi pan przyznać, że nasza rewolucja była dość niezłą tomaśką dla tej waszej, jeszcze bardzo wątłej roślinki. Interesuje mię więc już poprostu tylko z psychologicznego punktu widzenia, dlaczego pan

z taką bezwiedną, żywiołową pogardą odezwał się o gilotynie caratu, o „sławetnej czczewyczajce”?

— Nie lubię krwi — odpowiedział bez namysłu eks-prezes.

— A wasza żandarmerja? — zawołał Berson.

— Nie, nie, towarzyszu Bersonie — przerwał z ożywieniem nieznajomy. — Wasz przyjaciel niepolityczny ma zupełną słuszność. Żandarmerja państw burżuazyjnych jest istotnie niewinnym bankiem w porównaniu do sławetnej czczewyczajki. Żandarmerja państw burżuazyjnych ma na sumieniu okrucieństwa pojedyncze, kiedy natomiast my — zbiorowe! Nie zapieramy się jednak, ani wstydzimy, naszych masowych niesprawiedliwości. Anarchja kapitalistyczna, oddając masy na łup jednostek, pozwala krzywdzić tylko jednostki. Anarchja śmierci jest tylko dalszym ciągiem anarchji życia.

My, ludzie wielkich liczb, umiemy dawać sobie z niemi radę w życiu, czy w śmierci. Dajmy już jednak temu pokój. Interesuje mię w tej chwili wykrzyk „nie lubię krwi”! Ach, jakie to klasyczne dla waszej kochanej, zaściankowej inteligencji, która cacka się tak z ludźmi, jak poczciwa niańka z niegrzecznem dzieckiem. Ledwie coś powstaje, coś się zaczyna, a już pakujecie to sami do szufladek „filantropja-krzywda”. A kiedy tego niema, niema, niema!!! Jest tylko prawo tworzenia! Ślepe prawo tworzenia! Historja nie jest podręcznikiem katechizmu! Historja jest drzewem nic nie czującym, które rośnie. Ale wy tego nie

rozumiecie zupełnie. Jest w was coś ślamazarnego, nierealnego, bojaźliwego! Prawdopodobnie dlatego, że cały wiek ujarzmiania mórz i kontynentów spędziliście w trzech zaściankach, pozbawieni stolicy, pogrążeni w wielkopostnym płaczu i modlitwach. Aż tu nagle wybuch! Niebywała okazja! Kraj, jak wyrwa od granatu, pusta i głodna, ale swobodna! Mój Boże! A cóżby to był za naród, któryby nie skorzystał z takiej okazji? Zabieracie „wyrwę”, powoli, ślamazarnie, spóźniając się, kłócąc i kradnąc, a krzyczycie na cały świat: to my stworzyliśmy wyrwę! To my sami zdruzgotaliśmy mury naszych więzień! Ależ kiedy to nieprawda, nieprawda! Kraśni ułankowie generała Dowbora, ani same P. O. W. od samego Dziadka to ani cement, ani beton, ale swojska glina na trzy lata. Gdyby pańska Warszawa była naprawdę tem, czem jest w pańskiej romantycznej wyobraźni, byłaby już wzięta po napoleońsku pół miliona ludzi głodnych i bosych i pognana ich knutem rewolucji czy reakcji na pole walki, zanim was nie zdusi chwilowo tylko osłabła obręcz rosyjsko-niemiecka. Ale wy będziecie teraz mówić sami sobie komplementy, warcholić, sejmikować, przypinać orderki, wstążeczki... Bo wy nie możecie być państwem, a tylko poprostu „państwkiem”, śmieszem „państwkiem” z pretensjami do wielkiego „państwa”. Bo to, o czem wspominał pan, jako o fazie przejściowej, jako o embrjonie państwa, jest w gruncie rzeczy tylko ostatecznym tworem waszej struktury

duchowej. Tem jedynie, na co się zdobyć potraficie. Pan nawet nie przeczy. Boi się pan przeczyć! O nie, nie! Niech się pan nie oburza! Nie o siebie panu chodzi. Wystarczyło panu przeciw odwagi przyjść tutaj i odezwać się obelżywie o instytucji, która natychmiast mogłaby skazać pana na śmierć. Nie chce pan tylko zwiększać naszego „złego humoru” w interesie ojca czworga dzieci. „Aż czworga!... Strach pomyśleć!” Po osiemnastu milionach ludzi skazanych, na śmierć przez cywilizowany Zachód, boi się pan, ażebyśmy — barbarzyńcy, okrutnicy, bez serc, bez ducha, nie doleli jeszcze jednej kropli do oceanu cierpień, jaki zalewa Europę. Nie cieszy pana fakt, że oto w taki, bądź co bądź, jeszcze pokojowy sposób może ze sobą rozmawiać dwóch Polaków na gruzach zawalonej, nieistniejącej Rosji. Nie cieszy pana myśl, że ten, tak przez pana lubiany, lud polski — ten dostarczyciel żywego towaru do fabryk i domów publicznych całego świata, panuje teraz w Moskwie, Wiedniu, Berlinie i Budapeszcie jak generał Bem w r. 48-ym.

Ale widzę, że pan nie słucha. Nie ma pan jednej wolnej myśli w swoim mózgu, pochłoniętym losem czworga dzieci?... Aż czworga! A może pan i dalej pomstuje w duszy na krwawą czrezwyczajkę za to, że tak na chłodno, tak cynicznie dorzuca jeszcze jedną jedynekę do milionowych ofiar wojny? Za to, że nie jest, jak ta wasza Polska, dalszym ciągiem Towarzystwa Dobroczynności.

Czy pan wie, co to jest czrezwyczajka? — unosił się nieznajomy. — Czrezwyczajka to najpotężniejsza z min użytych przez historję do wysadzenia największego z więzień, więzienia o 160 milionach więźniów, w tem 28 milionów pańskich rodaków. Więc cóż, że drzazgi lecą, tam gdzie pada stuletni stary las! Wieki miną, zanim odrośnie dawna Rosja, wycięta przez sławetną czrezwyczajkę! Wieki całe, nim się wytworzy elita rodów, w których genjusz pokoju i wojny szedł z ojca na syna! I to wszystko jest dziełem jednego człowieka, człowieka, który nie boi się krwi! Nie boi się głów hydry ściąć jednym zamachem jak Samson, jednym wstrząśnieniem kolumny zburzyć gmach cały!

* * *

Nieznajomy umilkł. Lipski i Berson siedzieli w milczeniu z pochyłonemi głowami, przytłoczonemi ciężarem swoich myśli. Niewypowiedzianie ciężka atmosfera zapanowała w mieszkaniu komisarza.

„Trzeba iść”... pomyślał Jerzy. Wiatr wył za oknami, ciskając w nie co sekundę masy śnieżne. Chwilami śnieg tworzył białe okiennice zaszybne, dzielące pokój od ciemności nocnych. Hałas burzy, jaka szalała na dworze, pełen był skowytów, dzwońnięń szybnych i skomleń wichury. I nagle wśród wielkich problematów życiowych, gwałtownych ataków i zaciętych obron, Jerzy przypomniał sobie

prośbę tej kobiety-Rosjanki, prośbę samki z czworogiem małych. I zamiast repliki, zamiast kontrataku w obronie świata, któremu służył, powtórzył tylko raz jeszcze prośbę żony skazańca.

Dygnitarz „czeki” nie zdawał się jednak nie już słyszeć, ani widzieć. Źrenice ścięły mu się nagle lodem niebieskawego koloru, łagodny wyraz oczu stwardniał i zokrutniał. Berson pochylił się ku Jerzemu.

— Dajcie pokój — szepnął mu do ucha. — Już ja to sam załatwię. O ile nie rozstrzelają waszego protegowanego do jutra, to będzie żył. „On” jest w gruncie rzeczy niezły człowiek, tylko straszny fanatyk.

Poczem uprzejmie odprowadził do drzwi *enfant terrible*.

— No, a kiedy wyjeżdżacie do Warszawy? — zapytał go nagle komisarz.

— A wy skąd wiecie?

— My wszystko wiemy... A dlaczegóż to nie byliście na zjeździe P. O. W. w Wilnie?

— Bo nie ja byłem wybrany jako delegat.

— Swoją drogą odważny z pana człowiek. Szkoda tylko, że ci, którzy drapnęli od nas do Warszawki, nie brali z Was przykładu.

— Nikt nie „drapał” i nie myślał „drapać”.

— Tylko niby co?!... Do Teatru Polskiego zatęsknili?

— Nie do Teatru, ale do „roboty”, bardziej realnej niż tutaj... przynajmniej chwilowo...

— Trzeba było poczekać. Pojechalibyśmy wszyscy razem kurjerskim pociągiem...

— Jakto?!

— Dziś Moraczewski — jutro Sowiety!

— Albo dziś Moraczewski — jutro Dmowski!

Berson roześmiał się. — Może!... Może!...

Dwaj przeciwnicy pożegnali się dżentelmeńskim uściskiem dłoni. Nie mieli się już ze sobą widzieć w życiu. Berson zginął w sześć miesięcy później z rąk ułanów majora Dąbrowskiego, podczas ucieczki z Wilna do Mińska. Tak przynajmniej mówiono. I Jerzy nie dowiedział się nigdy, kim był ów tajemniczy obrońca czczewyczejki. Czy to był sam kat Rosji, Dzierżyński, czy też jakiś pomniejszy pionek?

SZEF WYDZIAŁU (PRZEPUSTEK).

W kilka tygodni po usadowieniu się w Mińsku na dobre, bolszewicy rozpoczęli wydawanie przepustek do Warszawy, pragnąc z jednej strony pozbyć się niespokojnych elementów, z drugiej zaś podsypać wyjazdowiczom nieco własnych agitatorów. Formalna jednak łatwość dostania przepustki była faktycznie usłana tyłu kolcami niesłowności, niepunktualności, bezładu, że dnia całe nieszczęśliwy eks-prezes spędzał, jako dobrowolny więzień czczewyczejki.

Wystając całymi południami w korytarzach gimnazjum męskiego, które teraz stanowiło locum

„gilotyny caratu”, Jerzy mógł ją obserwować dowoli. Nigdzie jednak nie mógł jakoś dostrzec gilotynizmu, ale zato wszędzie groteskowość i śmieszność, oraz bliźniacze podobieństwo z instytucjami carskimi.

Przedewszystkiem tak samo, jak za dawnych dobrych czasów, nikt z urzędników nie wiedział, co do niego należy. Wszystkie kompetencje były tak splątane, jak kłębek nici, który się dostał w ręce dziecinne. Jakkolwiek codzień przyprawdzano różne Bogu ducha winne stworzenia pod strażą zbirów o mordach zaiste bydlęcych, ale też przy każdym takim transporcie kręcił się Żydek, ofiarując rodzinom uwolnienie więźniów za „same głupstwo, jakie pięć funty cukru”. Widocznie ów tajemniczy gość Bersona musiał nieczęsto zaglądać do podwładnej sobie instytucji. Inaczej byłby może sam kiedyś dostrzegł demonizm, pryskający pod naporem „funtów cukru”.

Przekonał się zarazem przy tej okazji, jak wysoce niebezpieczne bywa przecenianie siły przeciwnika, do czego tak zawsze skłonne było „plemię rozsądnych”, jak wieczna plaga pospolitego ruszenia, tkwiącego w organizmie polskim. Główną siłą bolszewizmu w tym okresie była panika, szerzona przez tchórzów, i zapisywanie morderstw czerni na rachunek organizacji terroru. Teraz dopiero zrozumiał sprawę biednego urzędnika pocztowego. Chodziło o rzucenie postrachu na miasto, zanim bałagan wewnętrzny, oraz „pięć funty cukru” zaczną robić swoje.

Na szczęście, eks-prezes, który cukru nie posiadał, spotkał w wydziale przepustek „czeki” kolegę szkolnego, Rosjanina, młodzieńca o straszliwie rudej czuprynie i ongi jeszcze straszniejszej dozie czarnoseciństwa. Młodzieniec ów dostał niegdyś w mordę od „kompści” za aforyzm — „nikakich Palakow nikogda nie było i niet w Siewierozapadnom Kraje”. Miał to być dowód, jak twierdziła „kompść”, że Polacy jednak są.

Eks-prezes nie byłby się zdziwił, gdyby go spotkał w którymś z reakcyjnych oddziałów na południu, ale tu? Mimowoli nie mógł się powstrzymać od złośliwej uwagi na ten temat. Młodzieniec zbielał nieco, wyszeptał błagalnie „tss” i dodał smutnie: „cóż robić, trzeba żyć!”. Potem, ażeby kupić od byłego kolegi dyskrecję co do swojej przeszłości, obiecał zająć się jak najgorliwiej losem przepustek dla Jerzego i jego protegowanych. Jeżeli jednak chce przyśpieszyć sprawę, to niech się uda do mieszkania szefa wydziału. Człowiek przyzwoity i uczynny. Polak. Łapówek nie bierze.

Eks-prezes poszedł, zadzwonił i cofnął się o krok, jak przed widmem.

Otworzyła mu drzwi Lili Zaniewska.

„Widmo” cofnęło się również... Potem otworzyło ramiona, wciągnęło go z ostatniego schodka do pokoju i poczęło niemal dusić w uściskach i całusach.

Przeszła dobra chwila, zanim Jerzy zdołał jako tako oprzytomnieć i zdobyć się na pierwszą definicję Lili.

Była to już ładna, młoda pani, mało przypominająca dawną królowę sztuby... Ale co ona „tu” robi? Czyżby?.. Bał się wyrzec straszne słowo „bolszewiczka”... siostrzenica powstańca, siostra partyzanta Zaniewskiego... przecież „oni” nałożyli cenę na jego głowę?..

— Ależ tak, tak!.. Mąż mój jest szefem wydziału przepustek w „czeka” — oznajmiła mu swobodnie, jakby rzecz najzwyczajszą w świecie. — Ale ty co tu robisz? Czyżbyś też przystał do bolszewików? Byłeś zawsze taki straszny szowinista... — Jasiu, chodź-że tutaj, przedstawię ci mego kuzynka... Mój doszły mąż i mój niedoszły mąż — szczeniaki wesoło Lili podczas prezentacji... — Kuzyn Lipski, moja wielka sympatja z lat dziecińczych, i mój przyszły przyjaciel domu, szowinista, poeta i klerykał... Eks-robotnik, eks-przemysłowiec, nawrócony paskarz i filister, safandula, pantofel i bolszewik, Jan Pacura.

Potem były jakieś ciasteczka i herbata. Rozmowa pełna wspomnień i starannych unikań tematów politycznych. A potem coraz większy przymus i zażenowanie w miarę tego, jak wbrew ich woli wyrastało pomiędzy nimi „serjo”. Wreszcie maski spadły i rozpoczął się atak dwojga na jednego i jednego na dwoje.

— Potępiasz nas, Jerzy, ja wiem — odezwała się cicho Lili, po krótkiej, męczącej, lodowatej pauzie. — Myślisz, że mój mąż służy w czrezwyczajnie dla kariery? Nie, mój drogi! Oboje jesteśmy

socjal-demokratami z przekonań i zostaliśmy nimi nawet jeszcze przed pierwszą rewolucją. A trzeba szanować cudze przekonania, chociażby nawet tak wstrętne, jak „bolszewickie”, prawda? Ale opowiem ci od początku całą ewolucję moich przekonań. Opuściłam nasze miasto, jako świeżo upieczona maturzystka, zepsuta powodzeniem i pragnąca zrobić dobrą partję. Szczerze przyznaję się do swoich wad. Byłam pusta, próżna, lubiąca zabawy i flirty. Moje studia były raczej koniecznem usprawiedliwieniem mego pobytu w stolicy. Liznąć trochę wiedzy i wyjść zamaż. Możliwie za najbogatszego kolegę.

Udało mi się. Poznałam mego męża, który, mówiąc nawiasem, odrazu zaczął mię nawracać na socjalizm. Podobał mi się, był dość zamożny i sympatyczny, pozwoliłam mu się więc nawrócić. Różne apostołstwa takie były zresztą modne w tych czasach! Tak, czy owak przestałam być burżuazyjną „poganką”, niebardzo się przejmując ani starą, ani nową wiarą.

Oczywiście nasze pierwsze miodowe miesiące spędziliśmy urlopowani od wszelkiej polityki. Przerwała je nam wojna. Mąż mój poszedł na front. Ja poszłam do szpitali. Zwyczajna kolejka małżeństw wojennych,

W tem swoim nowem życiu zaczęłam się dopiero na dobre zbliżać do mego męża. Ach Jerzy, Jerzy! Gdybyś ty wiedział, ile i co ja widziałam?! I gdybyż to były tylko nieszczęścia

wojny, rany, śmierć! Ale tyle podłości! Tyle bezgranicznej podłości natury ludzkiej! Widziałam rannych, bitych po twarzy przez doktorów! Musiałam asystować przy wyrzucaniu w 20-sto stopniowy mróz ze szpitali na bruk kalek i niedoleczonych. Dokoła mnie mówiono, jak o rzeczach najzwyklejszych, o potwornych kradzieżach i rosnących w godzinę majątkach, trwonionych potem na karty i prostytutki.

Ja wiem, co ty mi powiesz na to, Jurku! — Ale przecież to Moskale. — Stara śpiewka naszych mam i cioć. Ach, mój drogi! Gdybyś ty wiedział, ile wśród tego międzynarodowego łajdactwa, jakie zapełniało Petersburg w ostatnim roku przed rewolucją, było Polaków? Wstydziłam się czasami mówić, że jestem Polką. Połykać musiałam łyżę wstydu i upokorzenia, kiedy uczciwi Rosjanie mówili przy mnie tonem zupełnie naturalnym: „Eto swołocz, wierno iz Warszawy!”

Na parę miesięcy przed rewolucją lutową, mąż mój został ranny i urlopowany. Znowu spędziliśmy miodowe miesiące naszego życia. Ale przedtem były to miodowe miesiące naszych ciał, a teraz naszych dusz. Wycierpiałam wiele i wiele przemyślałam. Podczas tej podwójnej rozpacz i zwątpienia co do wartości naszej własnej rasy i natury ludzkiej, zaczęłam się zastanawiać nad przysłowiem „złe położenie psuje najlepszego” i przyszłam do przekonania, że jest słuszne. Może ci sami ludzie byliby zupełnie inni, gdyby samo

prawo nie zachęcało ich do kradzieży. Uwierzyłam, że, chcąc zmienić duszę ludzką, trzeba zmienić ustrój społeczny. Poczęłam się zbliżać i przywiązywać do idei mego męża. Stopniowo zaczęło nas łączyć to, co przedtem dzieliło. Dawniej nie lubiłam przyznawać się do tego, że mój mąż jest synem górnika ze Śląska. Teraz byłam dumna, jak i on, że nie mamy nic wspólnego ze światem złodziei.

Wybuchła rewolucja jedna, potem nasza. Janek utonął w „robocie”, ja wróciłam do szpitali. Ach, jakże umierali oni, ci robotnicy piotrogrodzcy! Nie zapomnę nigdy jednego chłopca siedemnasto- może szesnastoletniego, który skonał na moich rękach, szepcząc z taką cichą, promienną, słodką radością... „nakaniec!... popało za rewolucju!”

A Polska?...

Pamiętasz, jak kiedyś chodziliśmy do kościoła. Jedni poto, żeby się pomodlić, inni, bo mama kazała. Teraz mój dawny, zimny kościół katolicki przeszedł na Polskę. „Urzędowo” czuję się Polką i modlę się, nie wierząc. Mówię po polsku, czytam polskie książki i gazety — a w rzeczywistości jestem niczyja. Jestem patriotka świata cierpień i krzywd. Ot i wszystko, co mogłam ci powiedzieć o sobie. Słyszałeś — sąż!

— Teraz chyba na mnie kolej rozpocząć swoje curriculum vitae — odezwał się mąż Lili. — Uprzedzam jednak zgóry, że jestem absolutnie niepodobny do portretu, jaki moja żona ma zwy-

czaj pastelować nieraz nawet w mojej obecności. Musi więc pan, odrzuciwszy jej pastele, zapamiętać, że: 1) jestem zdecydowanym karjerowiczem, 2) uciekam jak od zarazy od świata cierpień i krzywd, 3) bronię na świecie tylko swoich własnych praw do życia, mojej żony i mego domu.

Rodzina nasza pochodzi z Górnego Śląska. Ojciec mój był robotnikiem na jednej z hut żelaznych. Mówiliśmy z ojcem po niemiecku, pracowaliśmy, i powodziło się nam nieźle, dopóki nie zjawił się w naszym światku jakiś pan z broszurkami, w których czarno na białem stała po polsku nasza robotnicza krzywda.

Nie będę panu opisywał dziejów tlenia się tej broszureczki w moim mózgu. Znając poniekąd pana z opowiadań mojej żony, przypuszczam, że pan wie lepiej ode mnie, jak się takie rzeczy robią. Dość, że w osiemnastym roku życia nienawidziłem już z całej duszy Szwabów. W dziewiętnastym spróbowałem ich więzienia, a w dwudziestym wydalono mnie z granic cesarstwa.

Oczywiście, więzienie i wygnanie związało mnie jeszcze mocniej z ideą małej broszurki. Cały mój dotychczasowy życiowy pogląd na świat zaczął się kondensować dokoła jednej osi głównej: „trzeba nienawidzić Szwaba“.

Rzecz prosta, że z tego, co to jest „Szwab“, nie zdawałem sobie sprawy. Wśród dawnych towarzyszy pracy „Szwab“ był symbolem dysproporcji pomiędzy naszemi ucywilizowanemi potrze-

bami, a brakiem środków do ich zaspokajania. W kółkach inteligencji robotniczej, w jakich się później obracałem, „Szwab“ był jedyną ideą, rzuconą przez świat idealizmu nam, naiwnym materialistom. Zostawiłem go jednak przecież z Bogiem w jego Szwabji, a on wciąż dwoił i troił mi się w oczach i ciągle stawał mi na drodze.

W pogoni za kawałkiem chleba poznałem Londyn i Paryż, Marsylję i Antwerpję, a wciąż stał nad moim karkiem jakiś „Szwab“. W Belgji mój Szwab był brutalnym kontrmetrem. W Londynie był to kupiec angielski, któremu zazdrościłem złota i lepszej pracy. W Paryżu śliczny panicz ze śliczną dziewczyną, której ja, brudny, wstrętny, wiecznie zmęczony „manoeuvre“ nie miałem za co kupić.

Aż ot tak, pewnego razu, w jakimś mieście, robociarz podejrzanego wyglądu wetknął mi do rąk jakąś książczykę, której dziś nawet tytułu już nie pamiętam. Było to coś ultra-czerwonego. Czytywałem takie rzeczy na Śląsku pół na pół z żywotem świętej Cecylji, ale teraz przyjąłem to zupełnie inaczej. Przedtem to była lektura biblioteczna — teraz zwrotnica. Połowę tej broszurki wydrukowało mi już moje własne życie.

Zrozumiałem w jednej chwili, dlaczego należę organicznie do nizin, do nędzy. Nie dlatego, że jestem wygnańcem politycznym, Ślązakiem, prześladowanym przez Szwaba, ale dlatego, że wciąż nade mną żelazne prawo „égalité“. Pojąłem, że

mój „Szwab“ jest zjawiskiem powszechnem, że jest poprostu tylko symbolem wszelkiego ucisku.

Pan, moja żona, bylibyście na pewno ślubowali w tym wypadku ucieczkę od grzesznego żywota i pracę dla ogółu w imię jakiejś mniej więcej różowej gałęzi marksizmu. Ewolucja moja była zupełnie inna. Burżuazja jest Szwabem robotnika, a więc trzeba uciec od burżuazji. Lepiej być myśliwym, niż zwierzyną.

Zacząłem „robić pieniądze“. Poszło mi to nadspodziewanie łatwo. Miałem dużo energii i bardzo mało skrupułów. Ażeby nie urazić pańskiej psychiki szlacheckiej, nie będę pana wtajemniczał w intymne szczegóły robienia majątku przez człowieka bez tradycji, rasy i kultury. Dość, że w dwudziestym piątym roku życia rzuciłem ostatecznie świat pracy i zacząłem wyłącznie obracać się w świecie geszeftów i geszeftciarzy. — Interesy moje szły dobrze, ale ambicja wyprzedzała stale moje zyski. Rozumiałem, że bez nauki, kredytu i doświadczenia grozi mi zawsze na Zachodzie ryzyko upadku, i przenieśliem się do Rosji, gdzie wypłynąłem dopiero na szersze wody.

W drodze do Petersburga nie zatrzymałem się nawet w Polsce. Nie czułem się ani Ślązakiem, ani Polakiem, odkąd ulotnił się ze mnie mój „Szwab“. Poprostu śmieszne tylko wydały mi się chaty chłopskie, Żydzi z pejsami, przedpotopowe drogi, wozy i filozofje wagonowe. Po wspaniałościach Zachodu wyglądało to wszystko, jak naj-

bardziej obskurna prowincja, o której nie wypada wspominać w inteligentnem towarzystwie.

W Petersburgu poznałem pańską kuzynkę. Uderzyła mnie odrazu jej bezgraniczna pogarda dla świata, z którego wyszedłem. Nawet wówczas, kiedy starała się być uprzejma dla najlepszej partji w swoim kółku, czułem Jej wyrok: „cham! spekulant!”

Jako zakochany, udawałem z początku sentyment dla garbatych wierzb, lip i sztachet połamanych. Był to oczywiście fałsz, który nie mógł doprowadzić do celu. Męczyliśmy się oboje. Żaden łącznik duchowy nie istniał pomiędzy nami. Byliśmy skazani na małżeństwo z interesu.

Pewnego razu przypomniałem sobie jednak ową zbawczą broszurkę, która wbrew intencji autora wyleczyła mię ze szwabomanji i uczyniła człowiekiem bogatym. Dla zdobycia szlachcianki zacząłem z siebie robić „roba” z syna górniczego, spekulować na łuny hut, na romantyzm życia nizin.

Afera duchowa udała mi się tak samo, jak niegdyś afery materjalne. W t. zw. „towarzystwie” byłem człowiekiem sfalszowanym. W masce socjaldemokraty, chlubiącego się swoim pochodzeniem, było mi zupełnie do twarzy.

Narzeczoną moją, na wszelki wypadek, wciągnąłem jeszcze do jakiegoś kółka, które zasiląłem z funduszów własnych. W r. 1914-ym dałem się unieść sentymentowi, co się pozwala raz w życiu

nawet największemu realiście. Może zresztą i odżył we mnie dawny Ślązak, idący na Szwaba! Nie wiem! Ale już przy następnym kataklizmie wróciłem do siebie. Postanowiłem zaasekurować się w socjalizmie od socjalizmu, jak ongi wśród burżuazji od burżuazji, ażeby nie utonąć w potopie, jaki zalał część świata i móc pozostać na tym wymarzonym terenie kariery.

Uważa mnie pan niewątpliwie za największego cynika naszych czasów. Ale cóż mam robić, kochany kuzynie, gdzież mam żyć? W Polsce?! Tak samo mógłby pan kapitanowi jakiegoś transatlantyku poradzić, ażeby zbudował parowiec na Świ-tezi. W Petersburgu spotykałem się przecież z tak zw. rodakami. Umieli marzyć albo kraść, ale tylko małe rzeczy. Lęk przed olbrzymim, pełnym ryzyka warsztatem Rosji pokrywali nienawiścią do kacz-pów, od których coprawda ja, człowiek Zachodu, nie umiałem ich nigdy odróżnić.

Zostawiłem ich w ich świecie z ich wiarą. Ale pana, jako kuzyna mojej żony, nie chciałbym zostawić wśród głupich gęsi z romantycznej Świ-tezi. I dlatego radzę panu po przyjacielsku: prze-siądź pan póki czas na transatlantyk. Przypuszczam, że jako człowiek dorosły nie będzie się kuzyn przejmował szopkami terroru. Chodź pan do nas ze względu na karierę, która od wieków wiecznych jest obowiązkiem mężczyzny. Nikogo przecie pan nie zdradza. Pomiedzy Polską i nami niema stanu wojny i zapewne nie będzie. Ten, któremu dziś

następujemy na pięty, to przecież odwieczny nasz wróg, Niemiec. W Polsce jest również rewolucja, ale gdyby nawet została stłumiona, to kto tam się będzie bił o błota poleskie. Oni sami nie wiedzą co robić z przestrzenią.

— Jerzy, chodź do nas — odezwała się cicho Lili. — Nie zwracaj uwagi na Jasia. On ma *idée fixe* na punkcie cynizmu, a w gruncie rzeczy jest daleko lepszy, niż nasi dawni fałszywi ideałści. Chodź do nas, Jurku! Tam cię zadepczą, zagłuszą. Dopóki będziesz im potrzebny, będą się z tobą liczyli, a potem fraki, paniczki pójdą do stołu. Przecie ja znam lepiej, niż ty, twój świat. Jesteś za miękki, za słaby, za bezinteresowny, ażeby tam żyć. Chodź!...

Pożegnał się z nimi uprzejmie i ruszył do domu. Śmiał się, idąc. Cha! Cha! Cha! „Chodź do nas?!” Więc on ma zdradzić „państewko”, swoje biedne, małe „państewko”, które od ośmiu lat zamieszkuje co trzecie okno, co drugie podwórze, każdy niemal róg uliczny tego miasta. „Państewko”, które tutaj zdziesiątkowane, opuszczone, osłabłe, anemiczne, zdawało dziś swój pierwszy egzamin maturalny na Wołyniu i pod Lwowem!

W POSZUKIWANIU GRANIC I „ROBOTY”.

Po tygodniowej przeszło podróży eks-prezes i towarzysze przebyli szczęśliwie izolacyjną strefę niemiecką. Na dworcu w Białymstoku paczka po-

dróżnych natknęła się na rozbrojoną i obrabowaną przez Niemców „Samoobronę Wileńską“. Biedne malcy, nieraz trzynasto- i czternastoletnie, bosy, w porwanych porciętach marzły na kilkunastostopniowym mrozie... Zresztą, nietylko oni. Na wieść o „robieniu się“ Polski, wszystko, co trzymało się bliżej kraju, runęło doń jak lawina, nie zwracając uwagi na żadne przeszkody drogowe i ludzkie. Na peronie więc, bo Niemcy do miasta nikogo nie wpuszczali, ścisk był niesłychany. Kobiety i dzieci, starcy, chorzy, zdrowi, kalecy i ucłonkowani, porządni i bandyci, stęsknieni do „Warsiawy“, uczciwi i złodzieje, ideowcy, zbiegli z czrezwyczajek, i szczury spekulanckie, wymykające się z rosyjskiem złotem po warszawską sacharynę — całe to bractwo z czerwonego piekła przebrnęło już czyściec niemiecki i usiłowało przedostać się do robiącego się raj, nocując pod otwartem niebem w styczniu, przekupując „Szwabów“, kradnąc, względnie dając innym jeść, jeżeli kto co miał, znosząc razy i obelgi z zupełną obojętnością. I wszystko to bez przerwy szło, zjeżdżało się, a raczej lazło, pełzło, sączyło się, jak woda płynącej wolno rzeki równinnej, którą gwałtowny wiatr odegnał niegdyś ku górze, a teraz przyrodzona siła pcha ku ujściu.

W Białymstoku można się już było zająć szukaniem granicy polskiej, której miejsce pobytu było niedokładnie wiadome. Lipski poszedł myśzkować pomiędzy lud wybrany i niewybrany

i dowiedział się szczęśliwie od jakiegoś Żydka, że granice Polski z wtorku na środę znajdują się o 10 kilometrów na zachód od Białegostoku i że trzeba tam jechać „ny, same głupstwo, pół dnia koleją, cztery kilometry końmi”.

Jak było powiedziane, tak się stało. Zeszło pół dnia koleją, cztery kilometry końmi, a ponieważ i środa jeszcze nie upłynęła, więc i granica była tam, gdzie była. A chociaż każdy z jadących wiedział, że nazajutrz „to” będzie gdzie indziej, jednak każdy witał wzgórek i słupek z białym orzełkiem, jak Hostję Przenajświętszą swojej tułaczki.

Był to już swój „gront”. Na straży tego wędrownego „grontu” „stojal” już jakiś zawadjacki młokos, z karabinem długości pomniejszej wieży kościelnej. Młodzieniec jest dość szorstki i więcej przejęty własnem niewyspaniem niż historycznością chwili, przeżywanej przez rodaków. Pomimo to jednak mężczyźni radziby go uściskać, pamiętając jednak, że nie są panienkami. Panienki radęby zrobić to samo, ale wstydzą się mężczyzn. Więc i obchodzi się ten powrót z niewoli egipskiej tylko krzykiem i śpiewem. — Potem sprawdzanie papierów na granicznej stacji kolejowej, Łapy, oczywiście pobieżne, stacja, pełna swojskiego personelu i bałaganu, świeżutko umundurowani kolejarze i obdarci żołnierze, precyzyjnie wykaligrafowane napisy polskie i tam, gdzie kiedyś były obce, i tam, gdzie wogóle nie było żadnych,

słowem, zupełny renesans narodowy w Łapach i Łapy w renesansie, a wszystko w ładzie i bezładzie woła swoje, swoje, swoje!

W poczekalni łapskiej tłum ochotników różnego wieku i gatunku, a ponieważ świat jest wogóle mały i wszyscy się dobrze na nim znają, więc poszczególne atomy tego tłoku padają sobie co chwila w objęcia. Towarzyszą tym upadkom wykrzykniki niezawsze wersalskie i niezawsze czysto polskie. „Józek, cholera, a ty skąd?” „Od bolszewików, draniu jeden, a ty?” „Ja z pod Niemców, z Bejsagoły furmanką”. „Nu dyk i jedziem razem do wojska polskiego!” „Pan Jan skąd?” „Z Tomska przyjechawszy, ot już dwa miesiące, jak jedziem”. „A pan Antoni?” „W Kaukazie siedział — w bolszewikach służył!” „Nu dyk i jedziem razem do wojska polskiego!”

Trzeba jednak czekać dość długo, zanim słowo „jedziem” stanie się ciałem. Dopiero o godz. 11-ej wiecz. stanowczo za luksusowy pociąg sunie przed oczyma zdumiałej „grandy”. W mgnieniu oka całe bractwo rzuca się do szturmowania wagonów. Miejsc jest więcej, niż ludzi, ale to stare przyzwyczajenie wojenne. Dokąd idzie pociąg, tego też nikt nie wie, wszyscy jednak przypuszczają, że może do Warszawy. Pociąg stoi jeszcze bardzo długo na stacji, naogół biorąc, rusza jednak. Na widok majestatycznego „pas” tej dumy łapskiej stacja wybuchła strasznym wrzaskiem. Trzy telegrafistki na jeden telegraf wymachują chustecz-

kami do swoich już chłopców. Urzędnicy śmieją się. Nawet sam pan naczelnik stacji, przedwczoraj mianowany, kiwa dostojnie ręką. Pociąg tonie w ciemnościach i równinach.

Słupy telegraficzne do połowy oświetlone mijają wciąż pociąg. Kartki z nienapisanej historii ostatnich ośmiu lat, własne i cudze, jasne i zatar-te, prywatne i publiczne snują się w wyobraźni jednego z pasażerów. Przypomina sobie straszny rok 1914. Śmierć „państwka”. Przemarsz gladja-torów prawosławnej części świata. Straszny po-wrót „Szkoły Podchorążych”. Febris organiza-cyjny r. 1917-go. Naddnieprzańskie państwo gen. Dowbora. Kolejny upadek prac. Legjony zduszone. Piłsudski w Magdeburgu. Drugi korpus rozbity pod Kaniowem. Sedan bobrujski. I odrastanie. Żeligowski na południu. Haller we Francji. Kielko-wanie nowych państwerek podziemnych. Eksplozja Kraków — Warszawa. Wielkie wydarzenia histo-ryczne i małe, śmieszne, współdzieczinne kartki wspomnień układają się w jakąś kronikę Galla. A i mają też ludzie serce gderać jeszcze na biedne „państwko”, pomawiając je o słomiany ogień, kie-dy ono idzie, brnie, grzeszy, błądzi, poprawia się, znowu idzie, znowu coś zdobywa, traci, rewan-żuje, trwa, zaciska zęby, idzie — i zwycięża!...

* * *

Pierwszy dzień pobytu w oswobodzonej sto-licy zamierzał eks-prezes poświęcić całkowicie

słowu „co słycać”. Drugiego dnia zgłosi się do biura zaciągowego Dywizji Litewsko-Białoruskiej i znowu wyruszy na Wschód. Śpiesznie opuścił dworzec kolejowy, ażeby mieć czas przypatrzeć się miastu. Przechacna stolica była złożona z dwóch połów. Jedna obojętna i apatyczna z głodu i niewrażliwości — Warszawa „rozsądnych i łachmanów”, żebrała u progu kawiarni i klęła, i wyrzekała wewnątrz. W trakcie rozmów gospodarczo-dolarowych na temat „kupiłeś — kupiłem” — miotano najstraszliwsze oszczerstwa na powstające rządy. Ośmieszano i drwiono z mających odwagę coś robić. Popisywano się demonstracyjnie niespełnianiem rozporządzeń młodej i niedoświadczonej jeszcze administracji. — Zato ta druga połowa Warszawy wrzała jakimś niesamowitem życiem. Odziały przychodziły i odchodziły, szły z dworców i na dworce. Ciężkie treny wozów ciężarowych dudniły po bruku, jak w r. 1914-ym. Tysiące świeżo-upieczonych, vel pieczących się żołnierzy, urzędników, policjantów rzucało się na przepelnione tramwaje.

Gazety znosiły setki faktów i zdarzeń z nowotworzącego się życia, którego przestrzeń wciąż wzrastała, dorastając do ziem już zwolnionych i jak tako zorganizowanych. Wszędzie wrzał gorączkowy ruch twórczy. Wszędzie mieszanina wojny i pokoju. Wojna opasywała tu pokój i jego pracę ze wszystkich stron. Do frontu lwowskiego przybył front śląski i poznański. Lada chwila

miał się urodzić front białoruski. Mazury suwal-
skie porały się same z Litwinami. W Grodnie
Niemcy — zwlekający z wyjściem pod różnemi
pozorami. Ściana wschodnio pruska i pomorska
niepewne. A jednocześnie straszliwa walka partyj,
podkopy i miny wewnętrzne. Spisek dopiero co
wykryty przeciwko dopiero co powstałej władzy.
Atmosfera groźna, parna, burzliwa!

Z zewnątrz Warszawa robiła wrażenie miasta
w przededniu rewolucji. Olbrzymie plakaty czer-
wonych, nie mniej czerwone niż w Mińsku, wzy-
wały lud warszawski do śmiertelnej walki ze
zbrojącą się burżuazją polską. Straszliwy kontrast
nędzy i zbytku, jaki panował w mieście, zdawał
się czynić wybuch walk socjalnych nieuchronnym.
Sklepy w śródmieściu, pełne przedmiotów zbytku,
strzeżonych przez warty nędzy. Co kilka kroków
niemal jakiś szeregowiec żebraczej tyraljery. Bez-
robotni o twarzach płaskich, żółtych, zdziecziałych,
kobiety z małemi pół-trupkami na rękach, dzieci
żebrzące, dziewczynki-prostytutki. I prawie co
dzień nowe pomysły socjalne, olśniewające pro-
jekty, genialne reformy, stek kontrastów, niepra-
wdopodobieństw. Zupełny chaos czynów, miar,
teoryj i praktyk. Eks-prezes tracił zupełnie głowę.

Nie miał jednak czasu myśleć, azali ojcowie
nasi mieli rację, twierdząc, iż Polska nierządem
stoi, zaczął bowiem trafiać w objęcia największej
i najniebezpieczniejszej armji — znajomych. W do-
datku nie byli to teraz ludzie tylko od zabierania

czasu, jak dawniej. Gatunek znajomych z roku 1919-go chwycił zazwyczaj każdego spotkanego za guzik kusego futerka, całował powietrze przy prawym policzku i po śpiesznem wyrzuceniu kilku niezbędnych komplementów, mówił „chodź do nas. A może masz jeszcze kogo, przecież ty tyłu znasz?!“ Przedzierając się przez taką lotną giełdę pracy na Nowym Świecie, eks-prezes miał nieszczęście około wylotu Świętokrzyskiej spotkać jeszcze jednego znajomego. Był to jakiś wysoki i przystojny oficer, którego nazwiska w żaden sposób nie mógł sobie Lipski przypomnieć. Oficer kordjalnie uściskał prawicę prezesową i zaprosił go na „małą kawę i rozmowę!“

— Pan pułkownik Tuszyński i ja (był to styl ówczesny plemienia nierozsądnych; każdy mówił Paderewski i ja, Piłsudski i ja, Moraczewski i ja) przyjmujemy pana z otwartymi rękami. Właśnie — dodał głośnym półszepceniem nieznanemu znajomemu — przygotowujemy powstania na terenach zajętych jeszcze przez bolszewików i Niemców (pół kawiarni spojrzęło z szacunkiem na rozmawiających). Tacy ludzie, jak pan i pańscy koledzy z Mińska, to dla nas skarb prawdziwy.

Po solennem zapewnieniu, że nieomieszka zjawić się u pułk. Tuszyńskiego, „skarbu“ pożegnał uprzejmego oficera i ruszył na Marszałkowską w poszukiwaniu jakiegoś skromnego hoteliku. Znowu jednak miał widać pecha, bo na rogu Alei Jerozolimskich, zamiast do hotelu,

trafił w objęcia Zahorskiego. Był to przyjaciel serdeczny jeszcze z Bobrujska, chłop zacny i dobry, choć do rany przyłożyć. Raniony podczas pierwszych walk w Małopolsce Wschodniej, po kilkotygodniowym pobycie w szpitalu, jeszcze nawpół niewyleczony, wracał już znowu „na jakiś front“.

— Lipa, jak się masz, a toż ktoś mówił, że bolszewicy ciebie powiesili, a to jeszcze nie? Więc czemu nie w mundurze? Dekujesz się? Wreszcie chodź do nas. Za trzy dni nauczę cię jeździć konno, zobaczysz. No, adieu! Idę żegnać się ze swemi dziewczynkami. Czekam cię o trzeciej w „Kresach“. Tylko się nie spóźnij, bo o piątej wio n a c h Lwów!

W „Kresach“ nie było Zahorskiego, ani o trzeciej, ani o czwartej. Eks-prezes czekał go do piątej i już miał odejść, klnąc na czem świat stoi Zahorskiego i dziewczynki, które go musiały zatrzymać, kiedy nagle poczuł na sobie czyjś badawczy wzrok. Na wszelki wypadek uklonił się wzrokowi, a nuż był sąsiadem z „państewka“ albo grasował na emigracji.

Nie omylił się widocznie, gdyż sąsiad złożył gazetę i zbliżył się do stolika eks-prezesa.

— Pan Lipski, zdaje się... se jestem... bardzo mi przyjemnie... spotykaliśmy się w r. 17-ym na terenie Macierzy, w tym naszym kochanym Mińsku Litewskim. No, cóż myślimy robić dziś, kiedy ojczyzna powstała?

— Szukam właśnie jakiejś „roboty“.

— Tylko w oświacie, kochany panie, tylko w oświacie! Oświata ludu dokona cudu. Cała młodzież pcha się na wojenkę, a uczyć dzieci niema komu. Nauczyciel pruski wygrał wojnę w 1870, ale my w roku 1970 na pewno przegramy, bo nie mamy nauczycieli. Dam panu zaraz pewien adres, tylko słowo, że pan jutro tam będzie. Ma pan jeszcze może kogo?

— Nie — wyznał ze wstydem stały dostawca towaru społecznego, myśląc na swoje usprawiedliwienie, że może jednak praktyczniej byłoby wygrać wojnę w 1919, niż czekać ze zwycięstwem aż do 70-go.

— Jakto, a pan Zyda? — zapytał oświatowiec, podając Jerzemu kartkę z adresem.

— Zyda pod Lwowem — odpowiedział Lipski, chowając z szacunkiem adres.

— A pan Malkiewicz?!

— Malkiewicz ranny, też pod Lwowem.

— Wszyscy pod Lwowem, a nasza biedna Warszawa sama, tylko przyjść i wziąć — zauważył z westchnieniem adresodawca. — Więc niechże kochany pan nie zapomni o udzielonym mu adresie.

Z „Kresów” eks-prezes ruszył wprost do pierwszego lepszego hoteliku i położył się spać ze strasznym bólem głowy. Postanowił przedłużyć swój pobyt w stolicy jeszcze o jeden dzień.

Nazajutrz o ósmej ruszył pod wskazany przez oświatowca adres z zamiarem złapania później Janka Malinowskiego, kiedy nagle spotkał się oko w oko.

z Erykiem. Tym razem eks-prezes sam okazał się stroną napastniczą i wciągnął, śpieszącego się jak cała Warszawa, przyjaciela na najbliższą geograficznie kawę i „co słychać”. Eks-prezes miarkował, że Eryk, z wrodzonym sobie zmysłem krytycznym i zamiłowaniem do analizy, pomoże mu zorjentować się w tym bigosie hultajskim, jaki panuje w Warszawie. Ale Eryk szybko łykał kawę, pragnąc jak najwidoczniej pozbyć się przyjaciela, i twierdził, że o niczem nie wie i nie chce wiedzieć. Po rozbrojeniu Dowbora wyjechał zagranicę, a po rozbrojeniu Niemców wrócił do kraju. Jest ochotnikiem-ułanem, jedzie do swego pułku i o nic go głowa nie boli.

Jerzy znał jednak zbyt dobrze swego dawnego rywala, ażeby uwierzyć, że nic nie ma do powiedzenia. Zahaczał go to z tej, to z tamtej strony, aż wreszcie jedna strunka się odezwała. Zainteresowany „co sądzi o wspaniałym rozkwicie naszego państwa” — Eryk skrzywił się.

— Państwo? Jakie państwo — mruknął.

— Jakto jakie?!

— Więc ty to nazywasz państwem? Ten cały bałagan warszawski?

— A cóż mam nazywać?

— Ależ to nasza kochana Bratnia Pomoc, ubrana we fraki i mundury. Radzi, mianuje, organizuje, przoduje i wszędzie partoli. Zresztą ty tego nie możesz widzieć, bo i sam jesteś poczciwy partota!

— Więc co ty właściwie nazwiesz państwem — odezwał się z przekąsem urażony optymista.

— Rozkaz, mój kochany, tylko rozkaz! Mniejsza z tem, zły, dobry, czy niesłuszny! Dopókiśmy nie mieli maszyny rozkazu w swoich rękach, musieliśmy wojować broszurkami. Ale po kiej djabeł nam się dziś pytać, czy pan Walenty chce, czy pan Walenty nie chce? Trzeba przecież zrozumieć, że najmocniejsza duchowa jakość nie zastąpi pewnych liczb, są prawa arytmetyki politycznej, których lekceważyć nie można. Leonidas miał trzystu żołnierzy, ale, gdyby był Polakiem, miałby ich na pewno trzydziestu. Belgja mogła uratować Zachód, ale nie Luksemburg. To więc, co trzeba dziś robić, jest jasne: wziąć rekruta i podatki, a nie zdobywać terytorja rękami sztubaków i peowiaczek. Więc jakże chcesz, żebym ja „to” nazywał państwem? Mogę ci chyba „na pociechę” powiedzieć, że to nasza stara choroba, z którą jednakowoż zwyciężaliśmy. Polska zawsze była chora na brak liczby. Biły się i zwyciężały wojska kwarciane. A kiedy wróg spustoszył pół Polski „ciągnęły chmary pospolitego ruszenia, ażeby przeszkadzać przy zawieraniu pokoju”.

W pół godziny po filozoficzno-historycznej rozmowie z Erykiem, eks-prezes dzwonił do mieszkania „adresu”. Służąca dygnitarza oświaty dość niechętnie wzięła bilet i wróciła, mówiąc, że „pan prosi”. Jerzy wszedł do jakiegoś, sądząc z porządku, wybitnie kawalerskiego pokoiku i ze zdumieniem

skonstatował, że nie w tym pokoju nie zdradzało obecności istot żyjących.

Eks-prezes stanął zakłopotany, nie wiedząc sam, co ze sobą robić. Na szczęście, kołdra na łóżku zakołysała się rytmicznie i na świat Boży wyjrzała czyjaś rozczochrana czupryna.

— Dzień dobry, Swieczkiewicz jestem, szef oświaty na ziemi wschodnie — odezwał się niebardzo jeszcze otrząśnięty z drzemki głos. — Pan X? Owszem, owszem, bardzo się pochlebnie o panu odzywał. Wszak pan jest pan... pan Lipski, zdaje się? Otóż pan, pan, panie... byłby nam pan bardzo potrzebny na stanowisku inspektora szkół powszechnych w Grodnie. Warunki — klasa IV i dodatek kresowy. W samym Grodnie są jeszcze podobno Niemcy, ale lada dzień mają podobno wyjść, działamy bowiem w ścisłym kontakcie z koalicją. Do jutra niech się pan namyśli. Do widzenia!... do widzenia!... Przepraszam, że przyjąłem pana w łóżku, ale wczoraj miałem sesję do 3-ej w nocy.

Janka Malinowskiego zastał kandydat na inspektora w trakcie gorączkowego ubierania się i w usposobieniu, jak zwykle, dość kwaśnem.

— Lipa, pójdiesz ze mną — mówił Malinowski, poszukując lewą ręką rękawa marynarki. — Przepraszam cię bardzo, ale już dziewiąta, a ja o dziewiątej muszę być w biurze. Zasnę trochę, bo wczoraj mieliśmy posiedzenie do drugiej w nocy. Bierz czapkę i chodźmy. Śniadanie? Człowieku?

Któż teraz jada śniadanie w Warszawie? Bardzo dobrze, żeś przyjechał, ale niepotrzebnie siedziałeś w Mińsku. Tutaj sama praca łapie ludzi na ulicach, a tam narazie niema nic do roboty. Nie masz pojęcia, co za bałagan w tej Warszawie. A złodziejstwo, a karjerowiczostwo! Idź-że prędzej, patrz, na wiedeńskim już dziesięć po dziesiątej. Wszystko, co porządniejsze, wywała na front, a tutaj ciągnie hołotka z całego świata. Coprawda, trudno się ludziom dziwić: ja sam wolałbym znowu służyć w jakiejś trzeciej dywizji, niż patrzeć na to, co się tu dzieje. Gdyby kto nam przed wojną powiedział, że nasza Niepodległość będzie tak wyglądała na swoje urodziny, uwierzyłbyś, co? Spekulacje, kradzieże, partyjniactwo, ambicyjki! Rząd socjalistyczny, a co drugi robotnik musi żebrać. Zato patrz, co za wystawy! Idź-że prędzej, już dwadzieścia po dziesiątej (eks-prezes biegł już prawie obok długonogiego pesymisty). A najgorsi to ci złodzieje czasu, specjaliści od sekcji, podsekcji, zjazdów, narad, głądzeń, wędzeń, sobieka-dzeń i teoryjek, teraz, kiedy sytuacja krzyczy tylko: rób! bierz! Zato wojsko chodzi bez butów po śniegu. Powiadam ci; sami męczennicy i złodzieje w tej Warszawie. Cudowne były czasy, kiedy rozbrajaliśmy Niemców. Ale cóż, minął miesiąc, i kłótnia wróciła. Koroniarz bez kłótni nie wytrzyma dłużej, niż od niedzieli do wtorku.

— Poradź mi, Janku — przerwał litanję pesymisty optymista — co brać: wojsko? Grodno z oświa-

ty, czy Grodno z P. O. W., a raczej ze sztabu, zresztą to wszystko jedno!

— Bierz Grodno z oświaty i niema o czem gadać — krzyknął, nieomal już galopując, Janek. — Ze swoim słabem zdrowiem zdechniesz w wojsku na influencę, nie zobaczywszy ani jednego bolszewika. A co do P. O. W., to chyba nie jesteś pensjonarką, ani dekownikiem z zawodu, żebyś miał się bawić w wojsko. Co było dobre za czasów niewoli, to nie teraz, braciszku.

Jerzy chciał jeszcze zasięgnąć jakiejś rady u przyjaciela-znawcy stosunków stołecznych, ale Janek skręcił nagle i wpadł na schody jakiegoś gmachu, znikając w galopującym stadku młodych panów i pań. Eks-prezes ruszył więc na samotne pół czarnej, myśląc ze złością, że wczoraj był w tej Warszawie, jak tabaka w rogu, i dziś tyż!..

NOC ŚWIĘTEGO BARTŁOMIEJA.

Nazajutrz nastał dla eks-prezesa dzień lepszy. Po dziesięcio-minutowej rozmowie z pułkownikiem Tuszyńskim, „autorem wzięcia Mińska od wewnątrz”, Lipski wyszedł olśniony, oczarowany, zachwycony, zapominając zupełnie o projektach służby w szwadronie Zahorskiego. To, co mu powierzono, przeszło wszystkie jego oczekiwania i nadzieje. Było to poprostu coś wspaniałego!

— Panie—rzekł mu krótko a węzłowato pułkownik Tuszyński—trzeba powtórzyć Mińsk w Grodnie.

— Jakto?

— A tak! Niedoleżna Ententa pozwoliła Niemcom pozostać w Grodnie do 1-go kwietnia. Tymczasem w fortach grodzieńskich znajdują się olbrzymie zapasy broni i amunicji, które Szwaby niszczą na miejscu, albo wywożą do Prus. Trzeba więc im urządzić *prima aprilis* przed 1-ym kwietnia. Pan zdaje się był w Mińsku w lutym osiemnastego?

— Byłem, panie pułkowniku.

— Doskonale! Więc już pan wie, jak się bierze miasto od wewnątrz. Wobec tego daję tylko krótki rozkaz: wywołać insurekcję miejscowej ludności, nie dopuścić za wszelką cenę do zniszczenia materiału wojskowego, w razie potrzeby nie cofać się przed Nocą Św. Bartłomieja!

Wprost od Tuszyńskiego eks-prezes poszedł do krawca, u którego zaopatrzył się w mundur niemiecki. P. O. W. dostarczyło mu potrzebnych legitymacyj i tegoż dnia jeszcze korektor błędów niedoleżnej Ententy wyruszył na swój pierwszy rekonesans. Badanie gruntu nie wypadło pomyślnie. Czasy nieograniczonego absolutyzmu okupacyjnego, zdzierstw, rabunków, porywania ludzi na roboty do Prus nagromadziły wprawdzie wystarczającą ilość paliwa dla Świętego Bartłomieja, ludność jednak była tak jeszcze steroryzowana czteroletniem panowaniem pruskim, że o jakiejś poważniejszej akcji od wewnątrz nie można było nawet marzyć.

— Byłoby o wiele lepiej, gdyby zamiast was, Tuszyński przysłał nam ze dwa szwadrony kawalerji. Za trzy dni nie byłoby tu żadnego Szwab — zauważył odniehczenia komendant P. O. W. w Augustowie, odprowadzając na dworzec warszawskiego gościa.

W tym samym duchu złożył gość relację pułkownikowi Tuszyńskiemu. Tuszyński odparł, iż doskonale zdaje sobie sprawę z większej skuteczności jednego szwadronu ułanów, niż dzieściu eks-prezesów — ale cóż, kiedy Ententa się uparła, a my formalnie musimy jej słuchać. Niech pan spróbuje jeszcze raz!

Pociąg do Grodna odchodził dopiero o 3-ej w nocy i Jerzy miał prawie cały dzień wolny. Nie chciał jednak tracić czasu na nowe „co słychać“ i poszedł do szpitala Ujazdowskiego odwiedzić rannych. Sumienie gryzło go trochę, gdyż nie spotkał się z żadnem niebezpieczeństwem podczas swego pierwszego rekonesansu.

Ogromny gmach szpitalny, prawdziwy labirynt białych sal, był zastawiony szczelnie łózkami, jakby dla stwierdzenia kłamstw „o pasku na cudzej wojnie“, bezkrwawem wyzyskiwaniu zawieruchy w Niemczech i innych bredniach, jakie Jerzy wyczytywał ongi w moskiewskiej i mińskiej prasie bolszewickiej. Wielkie podłużne okna rzucały dużo światła na rannych i odwiedzających. Nie było w tym szpitalu ani przesadnej afektacji z roku 1914-go, ani zaniedbania, jakie panuje za-

zwyczaj przy końcu wojny, w okresie powszechnego znużenia. Sale miały raczej wygląd familijny. Dużo tam było babuń, młodych i starych cioć, żon i mam o twarzach skupionych i pełnych troski. Przyniosły pacjentom torebki łakoci, jak na Boże Narodzenie, i rozmawiały z nimi. Co chwila uszu Jerzego dolatywały urywki familijnego „co słychać“, pełne imion żeńskich, męskich i nijakich... „Jeszcze nie wrócił z Rosji... Ignas jest w Gródku Jagiellońskim... Młodszy w 36-ym... Starszy podobno na Kaukazie u Żeligowskiego, jeżeli on tam jeszcze jest... Anna służy w M. O. P... Wczoraj znowu chleb podrożał... Stasia pojechała jako sanitariuszka... Hali, choć to taka koza jeszcze, jakiś znajomy oficer obiecał wyrobić posadę maszynistki... Antek, Jaś i Zygmus u Iwaskiewicza... Stefek u Hallera... Roman aż w Dywizji Syberyjskiej. Może biedaczek i nie żyje, bo słyszałem, że ich rozbito. No, cóż robić, cóż robić moja pani? Pewnie, że wojna to nieszczęście, ale dobrze przynajmniej, że choć krew za swoich idzie!“

W dalszych salach kręciło się białe stadko sióstr miłosierdzia i kilku lekarzy w mundurach wojskowych. Stamtąd dolatywały jęki i stękania „ach“, „oj“! Do jednej z sal na prawo sanitariusze wnosili na noszach coraz nowych lokatorów z Poznańskiego (ostatnia nowość w licznej rodzinie frontów). Eks-prezes, markotny i źle się czujący wśród rannych mężczyzn, złożył czem pręd-

dziej przyniesione dary na łożu pozbawionem czekolady i cioc, i miał już odejść, kiedy nagle doleciał go czyjś słaby głos: — Lipski, czy to wy?

Podszedł śpiesznie do głowy, spowitej w watę i merłę. Był to, zdaje się, sierżant Wilk z pierwszego plutonu jego kompanji. Biedne Wilczysko. leżało tak obandażowane, że bardzo trudno było go poznać.

— Co robicie — zapytał sierżant — czy w wojsku?

— Ta-a-k — odpowiedział eks-podwładny, rumieniając się — wywiad... prawie wojsko.

— Aha! jak wtedy w Rohaczewie, tylko bądźcie ostrożniejsi, bo...!

— A wy coście porabiali przez ten czas? Gdzie i kiedy zostaliście ranieni? — zagadnął szybko Lipski, pragnąc odwrócić uwagę sierżanta od swojej osoby.

— A tu, we Warszawie. Już na czwarty miesiąc, jak leżę, ale już mi, chwała Bogu, daleko lepiej, to się jeszcze tym psie krwi Niemcom odpłacę za swoje.

— A co ze mną było? A nie takiego nie było. Ot, jak przyjechali od Dowbora, tak i zaczęli mallować. Bieda była wielka. Poruczniki, kapitanzy drwa rąbali, bo posadów nijakich nie było, a nam, prostym żołdatom, to i do drew dostąpić nie było gdzie. Ale miałem kuma rzeźnika w Grójcu na Warszawskiej, to, myślę, pojedę, przytulę się, póki co. W listopadzie posłał mnie jakoś kum po mięso do Warszawy, a organizację swoją to

my już w Grójcu mieli: dowborczyków trzech, jeden fryzjer, ja i kum piąty. A i słychać już było, że Francuzy i Hamerykanie pierą Szwabów, aż święta ziemia trzeszczy. Tylko zleźłem z wagonu i patrzę, że we Warszawie już ludziom do mięsa, ale do inszego. Wszystko jak jest na ulicach, ludziów moc, a na jednym placyku to stoi już student i proklamacyję czyta. Słucham sobie i ja. Aż tu do niego niemiecki tajny i łap go za kołnierz! A ja do tajnego i bac go w mordę! Masz Szwabie za Bobrujsk! Szwaby do mnie, a naród za mną! Oni do nas, a my do nich! I tak ot i zaczęło się. Sam nie wiem, czy to bez nas ta cała chryja posła, ale i od naszej strony to tę szwabską chałupinę dobry ogień wziął. Jak poszło bez miasto, tak i poszło. Dom po domu! Komenda po komendzie! Dobry to był czas, że daj Boże takiego drugiego dożyć! Cały warszawski naród jak jeden! Biedne, bogate, chłopy i panienki, uczniaki i pożyte. Ale, mięsa do Grójca, tak już ja bez to i nie przywiózł. Przy jakimś a b t e i l u n g u, że to ja wszędzie był na przedzie, wzięto me i zwały bez ulicę. Ludzie myślały, że mnie zabito, aż jeszcze, chwalić Boga, nie, i ot mnie siostry poczytują, jako Szwab przez portek bez Polske wali. No, a co u was słychać?

— Nic — wykrztusił cicho eks-prezes i śpiesznie pożegnał się z Wilkiem. „Powiniennem już być w szwadronie Zahorskiego”, myślał, wychodząc ze szpitala... i ruszył do domu po zapomnianą

broszurę. „Najgorszy nasz wróg Niemiec"! Resztę dnia przesiedział na dworcu, nie chcąc wychodzić na miasto, i z uczuciem wielkiej ulgi skonstatował ruch pociągu, unoszący go znowu ku wschodowi.

Ponieważ granice Polski dowędrowały tymczasem do Sokółki, na tej to stacji młoda żandarmerja młodego państwa zdekonspirowała wobec pełnego przedziału podejrzanę manatki młodego emisariusza niesędziwego jeszcze pułkownika Tuszyńskiego. Napróżno zrozpaczony eks-prezes szczypał żandarma, usiłując nakłonić go do wyjścia z nim na korytarz. Jego niepokój zaintrygował tylko jeszcze bardziej cały przedział osobą tajemniczego pasażera.

— Wszystko przepadło — myślał z rozpaczą Lipski, pakując do koszyka rozsypane na ławce przez żandarmów broszury i odezwy. — Ktoś na pewno doniesie Szwabom.

Za żadne skarby świata nie byłby jednak wrócił z drogi... Teraz, po tym szpitalu! „A zresztą działamy przecież w ścisłym kontakcie z Koalicją. Może się uda”.

Ale nie udało się. Aresztowano go na ulicy w kilka godzin zaledwie po przyjeździe do Grodna.

* * *

Grupa więźniów politycznych celi „Numero fünf”, do której wpakowano po kilkogodzinnem badaniu niefortunnego spiskowca, składała się z kilku eks-legunów, skupujących i kradnących

broń w tych samych co i jego zamiarach, oraz dwóch wąsatych szlachciców, oskarżonych o podburzanie okolicy przeciwko okupantom. Grupa przyzwoitych kryminalistów liczyła w swoim gronie zięcia, który spalił dom z teściową (widocznie nie była to niewiasta zbyt łagodnego usposobienia), kilku kupców żydowskich, uczących oficerów niemieckich rosyjskiej „łapówkologii”, bandytę z prześlicznym barytonem i t. d. Kasjer z kasą, oboje z Rosji (niestety odseparowani), dopełniali reszty.

Natychmiast po wyjściu dozorca całe bractwo rzuciło się na nowego „ptaszka”, dopytując go jeden przez drugiego „o co jest właściwie niesłusznie podejrzany!” Relacja eks-prezesa wywołała jednak powszechne rozczarowanie. „Co?! Jakieś tam głupie broszurki! W takich czasach! Ani okradł nikogo, ani zabił! Ee! Dyletant! Niefachowiec! I całe towarzystwo rozproszyło się, poziewając. Nowy ptaszek okazał się stanowczo nieudolnym środkiem działania na ich spleen więzienny.

Pomimo słusznego lekceważenia, jaki budziła wśród fachowców całego świata osoba eks-prezesa, jego nowi koledzy okazali mu wiele pomocy i współczucia. Poradzono mu przedewszystkiem, ażeby za łapówkę, daną dozorca, uwolnił się od grozy przeniesienia do celi Nr. 3, gdzie są sami prawdziwi bandyci. Pocieszano go, że i tak, i tak Polacy wejdą do Grodna na prima aprilis, więc cóż znaczy posiedzieć niecałe kilka miesięcy w ich miłym towarzystwie. Powinien tylko, natychmiast

po rozstaniu się z nimi, zażądać od swoich rewizji wyroków niemieckich, których krzyczącą niesprawiedliwość odczuł na własnej skórze. Poczem zjednoczenie obu grup wydało na cześć nowego członka ucztę składkową, złożoną z suchego „Kriegsbrotu”, końskiej kielbasy i zimnej kawy.

Po czarnej kawie bez likieru, zaproszono go na partję szachów, przy których cicho i spokojnie upłynął pierwszy dzień wrażeń więziennych. Dopiero w nocy na sienniku z waty drzewnej, z którego natychmiast wyskoczyły roje pcheł, gryząc wychudłe w ciągłych włóczęgach ciało prezesowskie, niefortunny organizator Nocy Św. Bartłomieja począł się irytować niepotrzebnie...

Wpadł! Wpadł fatalnie! Wsypał się, jak nigdy w życiu! Ongi przynajmniej broił długo, zanim go złapano. A ileż razy nie złapano go wogóle!

Począł sobie przypominać wszystkie swoje ryzykowne imprezy, przedsiębrane na rachunek własny i „państwka”. Podróż z Warszawy w r. 1915 z papierami dla pana Mieczysława. Inspekcja żandarmów w Szkole Podchorążych. Anty-bolszewickie historje. Dwukrotna ucieczka, w Żłobinie i Homlu. Przejazd z Kijowa do Bobrujska w krytyczną noc majową. Słynne biuro fałszywych przepustek z panną Jadzią, jako „Herr Leutnant Müller” (co ona, biedaczka, porabia teraz)... i tu taki krach na samym wstępie! „Zlekceważyłem tym razem Szwabów”, sam krytykował się ponieważś eks-prezes, „ale cóż, kiedy

wszyscy mnie zapewniali, że działamy w ścisłym kontakcie z Koalicją. Ładny kontakt!"

Nazajutrz zaprowadzono go ponownie do komendantury. Sprawa jego zaczęła przybierać obrót fatalny. Tłumacz Mazur, który zdążył już nie tylko przeczytać broszurę „Najgorszy nasz wróg Niemiec”, ale i odcyfrował instrukcje Tuszyńskiego dla P. O. W. w Grodnie, powiedział mu bez ogródek, że „za takie sztuczki, to przy Wilhelmie rozstrzelaliby was w 24 godziny, ale z „Soldatenratem” to może pożyjecie ze dwa tygodnie”.

Eks-prezes nie wziął tego jednak tak bardzo do serca, po pierwsze bowiem w ciągu dwóch tygodni można zawsze uciec, a po drugie czuł, że chytre Mazurzysko chce pogrózkami wyciągnąć zeznania. Natomiast uczył wielką ulgę moralną, na myśl, że jednak teraz miałby prawo spojrzeć w oczy swoim kolegom, którzy się biją na różnych frontach, i że nie będzie już rumienił się wobec swego eks-szefa, sierżanta Wilka, który, posłany po mięso z Grójca, zrobił Polskę w Warszawie.

Śledztwo toczyło się tak wolno i ospale, że z nudy i dla poskromienia zdenerwowania zaczął robić obserwacje nad otoczeniem. Z początku czuł się tak, jak mieszkaniec pasa umiarkowanego w dżungli. Zwłaszcza straszna „cela trzecia”, pełna suchotników, syfilityków w ostatnim stopniu, rozbrzmiewająca od ryków, przekleństw, jęków słabszej bestji ludzkiej, katowanej przez silniej-

szych i dozorców, była istotnie podobna do jamy biblijnej, i eks-prezes błogosławił inicjatywę barytona-bandyty, która mu umożliwiała pobyt w arystokratycznej „celi piątej”.

Po upływie jednak dwóch tygodni zmienił radykalnie poglądy na swoich towarzyszy niedoli. Uprościł je, pogłębił, uzwyklił przez dłuższy czas obserwacji. Dżungla stawała się powoli zwykłym laskiem podmiejskim, w miarę tego, jak odkrywał istnienie pewnego motoru społecznego, którego przedtem nie dostrzegał, zatopiony w świetle idei i sam oparty wraz z całym „państwkiem” o pokolenie kapitału. Motorem tym było: „jeść”.

— Dobrze zająć się pracą — mówił z goryczą jego najserdeczniejszy przyjaciel więzienny, barytona-bandyta. — Powiedzieć to łatwo, ale kto mi da pracę bez papierów? A jak ja pokażę swoje papiery, to kto mi da pracę z takimi papierami?! Do więzienia też nie przyjmą bez niczego. I tu bez roboty nie trafisz. A jeść trzeba!

W swoim rozumieniu kryminaliści uważali się nie tylko za ludzi zupełnie moralnych, ale i za nader pożytecznych w społeczeństwie. Ich „praca” dawała utrzymanie całemu aparatowi sądownictwa, prokuraturze, adwokatom, służbie więziennej i t. d. Cóżby było, gdyby ich nie było? Biedni ci ludzie musieliby pomrzeć z głodu. Istota Najwyższa, urządzając świat, wiedziała jednak dobrze, co robi, i uczyniła z nich zwierzynę dla aparatu sprawiedliwości, dając im, w dro-

dze rekompensaty, również zwierzynę w postaci burżujów - kapitalistów. Polowania na swoją zwierzynę i pobyt w więziennych leśniczówkach o minimalnym komforcie były więc predestynowane przez los, i napróżno byłoby myśleć o uwolnieniu się od tego.

Poza skrzywieniem w tem miejscu swego moralnego poglądu na świat, kryminaliści - zawodowcy arystokratycznej celi piątej byli to ludzie dobrzy, uczynni i koleżeńscy, ceniący dobre słowo więcej, niż wszelkie dobra materialne, które lekceważyli, nie wytwarzając ich w pocie czoła. W polityce byli sceptykami. Napróżno Jerzy obiecywał w imieniu nadchodzącego państwa nie tylko rewizję niesprawiedliwych wyroków niemieckich, ale i całkowitą reformę więziennictwa. Obywatele z celi piątej słuchali wywodów Jerzego o rosyjsko-niemieckiej zgniliźnie i nowym świecie, który nadchodzi, ze źle ukrywaną ironją. Wiedzieli przecież, że nietylko sędziowie i prokuratorzy niemieccy muszą z czegoś żyć! Cóż więc może w gruncie rzeczy zmienić się w międzynarodowem przedsiębiorstwie sprawiedliwości? Chyba orzełek na czapce dozorca?

* * *

W połowie marca Jerzemu udało się przy pomocy resztek gotówki zorganizować dopływ gazet. Nie czytał już przeszło półtora miesiąca i został wstrząśnięty do głębi treścią pierwszego wziętego do ręki numeru.

Pisma grodzieńskie wychodziły jeszcze pod cenzurą niemiecką, ale kronika, depesze i międzywiersze mówiły już to, czego artykuły wstępne poruszyć jeszcze nie mogły. Mówiły zresztą więcej, niż najpłomienniejsze artykuły, najgorętsze odezwy. Poznańskie było już wolne! Lwów uwolniony! Dywizja litewsko-białoruska zorganizowana i posuwająca się ku Wilnu. Błękitna armja ruszyła na front małopolski przez Niemcy, trawione gorączką rewolucji, niszczone wewnątrz swych granic! A jednocześnie, oprócz tych tkanek wojny, jeszcze intensywniej narastają tkanki pokoju. Siekiera, książka, pług idą w ślady zwycięskich armij. Poczynają dymić kominy fabryczne. Chłop-wygnaniec idzie na ruiny pól... idą książki, gazety, nauczycielstwo i szkoły na wschód, zachód, południe i północ. A jednocześnie coraz nowe państewka imigrantów, budowane na obcych ziemiach, nad obcymi morzami, wśród dalekich, cudzych gór płyną wciąż ku wojnie i ku budowie.

I tylko jedna mała cegiełka jest bezużyteczna.
To on sam!

A przecież w ciągu tych ostatnich 10 lat miał tylko trzy czy cztery nieprzepracowane tygodnie. Wprawdzie jedni z jego kolegów nazywali to pogardliwie „polskiem cośrobieniem”, innych entuzjazmował wieczysty ruch jego życia. Ale zawsze „coś z tego było”. A dziś, w najgorętszym czasie roboczym, kiedy ręce każdego są tak potrzebne, kiedy tylu ludzi wymiecionych przez burze wo-

jenne nie zdążyło jeszcze powrócić do kraju, on, unieruchomiony, bezczynny, wróci może dopiero za lat kilka na gotowe, na zrobione!

Jeszcze kilka dni temu był tak dumny z „cierpienia”, z niebezpieczeństwa! Usiłował wmówić w siebie, że może pogrożki Mazura mają podkład realny. Dziś uważał to za dziecinadę, za drapowanie się w togę cierpienia, za chęć ukrycia przed sobą samym kompromisu z sumieniem, jaki spowodował jego wyjazd do Grodna. Wstydził się najazdu moralności cierpienia na swoją psychę słabą i lekko-myślną, ale czynną i twórczą. Jest takim samym kryminalistą, jak jego współtowarzysze z celi piątej: jest złodziejem czasu, jak mówi ten wół robotczy Janek. Trzeba stąd uciec jak najprędzej. A potem odrzeć siebie z „więzienia za sprawę”, poprostu wrócić do pracy.

EPILOG NOCY ŚWIĘTEGO BARTŁOMIEJA.

Tegoż dnia jeszcze do późnej nocy Jerzy rozmyślał nad sposobami ucieczki. Nazajutrz zarządził odnośną ankietę wśród najwybitniejszych zawodowców celi piątej. Natychmiast sypnęła się cała góra projektów — od piłki sprężynowej, aż do uduszenia wartownika niemieckiego włącznie. Niestety eks-prezes musiał odrzucić te wszystkie projekty, jakkolwiek pochodziły one niewątpliwie od wytrawnych specjalistów. Nie czuł się na siłach dokonać gwałtu na osobie dwumetrowego dragala

niemieckiego, a co do piłki, to brakło w celi i surowców, i narzędzi.

Natomiast na drugi dzień z rana przystąpił doń jeden z dozorców i, wygrażając pięścią, zapowiedział, że go zastrzeli, jak psa, jeżeli tylko spróbuje uciekać. Widocznie władza więzienna posiadała swego konfidenta w celi piątej.

W rezultacie ogarnęła go apatja i zniechęcenie. Mur więzienny okazał się trudniejszy do przebycia, niż w opowiadaniach kolegów-kryminalistów. Może byłoby poprostu najpraktyczniej zawiadomić pułkownika Tuszyńskiego o katastrofie z tą całą Nocą Świętego Bartłomieja? Nikt przecie nie wie o jego aresztowaniu. Mogą go uważać za zaginionego.

Myśl ta zaczęła w nim kiełkować coraz silniej. I to jednak nie było łatwe do wykonania.

Jego środki finansowe były już za szczupłe, ażeby wzruszyć germańską *Treue*. Z więźniów nikt jakoś nie wybierał się na świeżą trawkę. Nie było żadnej drogi do skomunikowania się ze światem zewnętrznym.

Zaczęła go opanowywać coraz silniejsza apatja. Dnie całe leżał na pryczy bez ruchu i woli. Ale przez mury nie do przebycia jeszcze dla ciał fizycznych—sączył się wciąż niewidzialny strumyk energii. Każda wzmianka gazeciarska o staniu się czegoś nowego w świecie pracy była dlań nowym bodźcem do myśli o ucieczce. Wówczas wracał znowu do akeji. Badał korytarz, kraty... Podślu-

chiwał szeptu współwięźniów. Prowokował chytrze zawodowców. Wyciągał ich na opowiadania o przeszłości. I jeszcze raz dochodził do rozpaczliwego wniosku, że nic nie da się wymyśleć.

Tymczasem wiosna robiła się zupełna. Ciepłe strugi deszczu rozlewały lśniące jeziora na asfaltach podwórza. Wiatr wieczorny przynosił zapachy z jakowychś dalekich sadów zaniemeńskich. Bandyta-baryton wyśpiewywał coraz rzewniej piosenki o wiosnie i miłości. A nastrój celi, tak ożywionej w dnie zimowe, teraz gasł, ciszał i apatyczniał.

* * *

— Wiecie panowie, że jest wielka nowina?— odezwał się razu pewnego kasjer po intymnej rozmowie z dozorcą na korytarzu.

— A co takiego?!

— Jutro katolicy idą na nabożeństwo do kaplicy więziennej.

— Stamtąd rok temu uciekło dwóch—odezwał się odniechceni jeden z gości.

„Pójdę do spowiedzi i zawiadomię księdza”, przyszła na myśl Jerzemu genialnie prosta myśl ratunku.

Cała cela piąta ożywiła się nagle. Więcej wsypani, jak Jerzy, baryton, wróg teściowych, mieli nadzieję ulotnienia się w ten czy inny sposób. Dla reszty było to pewne urozmaicenie monotonii więziennej. Jedynie dwaj szlachcice zaścian-

kowi wydobyli książeczki do nabożeństwa i zaczęli odmawiać modlitwy.

Istotnie, nazajutrz o godzinie ósmej z rana poprowadzono ich parami, jak pensjonarki, do kaplicy więziennej.

Jerzy nie mógł się modlić. Wciąż myślał o swej ucieczce. Układał do zakomunikowania księdzu gotowy plan ratunku. Budował go ze słów krótkich i jasnych, bo spowiadających się było dużo. Wkońcu zdjął go nawet wstyd, że tak, po raz pierwszy w życiu, traktuje utylitarnie Mszę świętą i spowiedź, że nie myśli o świętem misterjum, podczas kiedy nawet bandyci zapomnieli się w tem najłatwiejszem miejscu ucieczki, i łyzy ciekną im ze zwieszonych na piersi głów. Był nieswój i zmieszany, kiedy zamiast odpowiedzieć na pytanie: „czem Pana Boga obraziłeś”, zaczął opowiadać kapłanowi swoje dzieje.

— A nie ukradłeś czego, moje dziecko, przyznaj się lepiej swemu księdzu — przerwał mu przyciszonym głosem kapelan.

— Jezus Marja, proszę księdza! — krzyknął Lipski.

— Tss! Ciszej, moje dziecko. Ale widzisz, moje dziecko, tutaj każdy zbrodniarz mówi, że jest niewinny. A im który gorszy, tem się więcej na mnie oburza.

Nieszczęśliwy eks-prezes sypnął spowiednikowi całą furę nazwisk od Radeckiego w Warszawie do peowiaków w Grodnie. Ksiądz obiecał zawi-

domić władze polskie, ale uczynił to bez wielkiego przekonania. — Upłynęło kilka dni, a żadna zmiana nie zaszła w losie więźnia.

Pewnego dnia, kiedy elita celi „Numero fünf” raczyła się chudą kawą i soczystymi anegdotami kasjera o Bolszewji, drzwi otworzyły się w porze zupełnie nieprzepisowej i do celi wszedł dozorca oraz jakieś dwie panie.

— To ten — odezwał się Niemiec, wskazując paniom Jerzego.

— Przyszliśmy odwiedzić pana z ramienia „Koła Polek”, „Towarzystwa Opieki nad Więźniami”, oraz „Koła Kobiet” — zwróciła się starsza z pań do zdumionego eks-prezesa. — Przynosimy panu pozdrowienia, pieniądze i prowjanty. Pojutrze zobaczymy się znowu. Niech pan będzie dobrej myśli. Otrzymałyśmy pozwolenie tylko na kilka słów, więc do widzenia!

Drzwi zatrzasnęły się z hałasem za gośćmi, głuszając żywiołowy wybuch radości celi piątej. Całe audytorjum powstało jak jeden człowiek, cisnąc się z powinszowaniami do bohatera chwili. Poczem każdy przypomniał mu swoją sprawę. Od kasjera dostał całusy w oba policzki i jeszcze jedną obietnicę „murowanych 10 % od wyprocesowanej kasy!” Bandyta-baryton szepnął mu do ucha, że z punktu widzenia polskiej racji stanu zastrzelenie dwóch żandarmów niemieckich, chociażby nawet w obronie kradzionych koni, nie zasługuje na karę. Jedynie wróg teściowych za-

uważył sceptycznie: że kto tam będzie pamiętał na woli o starych przyjaciołach.

Wizyta pań z „Koła Polek” stała się punktem zwrotnym w dziejach celi „N-ro fünf”. Eks-prezes dostawał teraz regularnie prowjanty, któremi dzielono się z nim sumiennie. Podniecony nadzieją rewindykacji kasy, kasjer sypał co tłustsze anegdoty z życia wschodniej barbarji. Bandyta-baryton wyśpiewywał przez kraty na cześć koleżanki zamkniętej nad celą piątą. Łapówkolodzy przy pomocy kapitałów Jerzowych zorganizowali stały dopływ gazet warszawskich. Słowem, zaczynało się życie zupełnie jedwabne.

W tydzień może jakiś po tem zdarzeniu przybył do nich nowy „ptaszek”. Nic nie mówił, o co go niesłusznie podejrzywano, co było straszny shock w obliczu najprzyzwoitszej z cel więziennych, natomiast około północy wpakował się na pryczę Jerzego i przedstawił mu się, jako swój.

Okazało się, że, po zniknięciu bez wieści emisariusza Lipskiego, wysłany został jeden z jego mińskich pomocników, Kwiatkowski, robić Noc. Kwiatkowski, lis szczwany, sam złapać się nie dał, ale też i nie wskórać nie mógł. Młodzież tutejsza woli przekradać się do Królestwa do tworzącego się I-go pułku ułanów grodzieńskich. Zorganizował więc tylko na wielką skalę skup broni, którą Niemcy systematycznie niszczą albo wywożą do Prus. Jest już i taksa ustalona. Oficer niemiecki bierze za rewolwer siedem „ostów”. Żołnierz za

karabin pięć. Karabin maszynowy kosztuje dwadzieścia „ostów”. Rozumie się, jak kogo złapią, to sadzą. Otóż i on wpadł. Ale za trzy dni najdalej ma zamiar zwiać. Jeżeli nie uda się im uciec razem, to Kwiatkowski odbije Jerzego przy pomocy bojówki P. O. W.

„Ptaszek” wrócił do siebie na pryczę i wkrótce zachrapał, a Jerzy zaczął myśleć nad relacjami „ptaszka” i nad całą tą klapą generalną z Nocą Świętego Bartłomieja w Grodnie.

A więc nietylko on nie mógł nic zrobić „hugonotom niemieckim”. Widocznie było to wogóle niemożliwe. Ale w takim razie, dlaczego Warszawa nie przysyła tego szwadronu ułanów, o którym mówił komendant P. O. W. w Augustowie. Przypuśćmy, że prędzej czy później Grodno wpadnie w nasze ręce, ale czyż te olbrzymie składy na wagę złota dziś cenionej amunicji nie są tyle warte, co pochwała w Paryżu dla grzecznych polskich dzieci?

Cień Bobrujska włókł się znowu za zmarłych wstającym państwem. Deficyt wiary, zwany nad Berezyną posłuszeństwem Radzie Regencyjnej, nad Niemnem zwał się rozkazem Ententy. Ale w pierwszym wypadku była to lojalność wobec form bez treści. W drugim zmiana zaboru materialnego na zabór moralny.

Nocy tej długo nie mógł zasnąć, podniecony opowiadaniem ptaszka. Gdzież, u licha, mieści się sekret potęgi tych przebrzydłych Szwabów, któ-

rzy zeszli oto ze stronic „Krzyżaków” Sienkiewicza i stali się rzeczywistością.

Z jednej strony była to przecież kanalja, jakiej świat nie widział. Wychowany w przesadnej czci dla Zachodu, wyrosły w idealistycznym światku „państwka”, Jerzy Lipski nie mógł poprostu uwierzyć, ażeby Niemcy, ten symbol moralności, uczciwości i patriotyzmu byli zdolni do czegoś podobnego.

Oficerowie, mając wyraźny rozkaz niszczenia zapasów broni, sprzedawali ją Polakom, z którymi ich własna młodzież z grenszucu walczyła do niedawna w Poznańskim. Komendanci, prokuratura, sędziowie — brali łapówki na prawo i na lewo, jak za najlepszych ruskich czasów. Łapówka uwalniała z więzień i obozów koncentracyjnych. Łapówka wydawała przepustki. Łapówka uwalniała od rekwizycji. Żadna władza nie istniała w tym „Obozie Wallensteina”, bez Wallensteina. Generał był lalką w ręku oficerów, oficerowie w rękach Soldatenratu. Każdy członek Rady bał się oficerów, każdy oficer — Rady, a obie strony własnych żołnierzy. Rewolucja rosyjska była o wiele silniejsza moralnie, niż ta kloaka starego i nowego reżymu z epoki najgorszej Kiereńszczyzny.

A jednak to zbiorowisko żołdactwa, które po chwilowem odjęciu przez klęskę idei moralnej stało się uzbrojonem towarzystwem zdobywania środków spożywczych, posiadało swój dawny, zdumiewający genjusz organizacyjny. Z taką samą

niezmienną punktualnością zmieniały się warty i wychodziły patrole. Z tą samą starannością strzeżono szczupłych zapasów intendentury. Z taką samą nieubłaganą surowością rekwirowano resztki zapasów u niedopalonych przez kozactwo chłopów grodzieńskich. Tak samo płacono konfidentom za denuncjacje gniazd peowiackich, zasiewanych przez Tuszyńskiego. Tak jak i za czasów a n c i e n r é g i m ' u strzeżono mostów i dróg. Wszędzie zła wola, nigdzie niedbalstwa!

To też kiedy Rosjanie po 150-cio letniem panowaniu dali się usunąć z Mińska w przeciągu jednej nocy, okupacja niemiecka w ciągu czterech lat potrafiła tak steroryzować ludność Grodna, że bez pomocy z zewnątrz nie można się jej było pozbyć. „Łekceważenie Niemiec, używanie w stosunku do nich metod dziecinnych, ludzi nieodpowiednich, zawiera wielkie niebezpieczeństwo dla przyszłej Polski” — myślał mądry po szkodzie ekspres, leżąc na pryczy więziennej.

Widział już jednak zarazem i słabe strony przeciwników. Nikt nie był takim m a e s t r o w e wzbudzaniu do siebie nienawiści, jak wallensteinowcy. Bolszewicy, przy całym swoim niesłychanym okrucieństwie, byli raczej hordą malców, wykłuwających oczy szczerom i niszczących gniazda ptasie. Jurysdykcja wallensteinowców karała tylko za opór, z kodeksem i rozwagą. Ale w żadnej najbardziej rozbestwionej czrezwyczajce nie było takiego napięcia pogardy, takiego niewidzenia

człowieczeństwa u „tubylców”, takiego chamstwa podanego na chłodno.

Nikt jednak nie umiał wyzyskać tych atutów. Trzymanie się za spódniczkę ciotki Ententy było dla Warszawy czemś bardziej realnem, niż karabiny i mitraljezy fortów grodzieńskich.

* * *

Pomstowanie na Szwabów było naogół zjawiskiem dość częstem w celi „Numero fünf”. Jedynie tylko ów „ptaszek” Kwiatkowskiego nie zdradzał żadnej animozji do Niemców. Żył sobie, jak ptaszek na gałęzi, objadał i opijał wszystkich, pocieszając swoje ofiary, że za trzy dni już go nie będzie.

Jakoż w najbliższą sobotę zaczął namawiać jednego z dozorców, t. zw. „drezdeńczyka”, ażeby zabrał go ze sobą do łaźni żołnierskiej. „Drezdeńczyk” kategorycznie odmówił, ale „ptaszek” oburzył się nań strasznie, twierdząc, że chce choć na niedzielę wyglądać jak człowiek, a nie jak bydlę. Tym higienicznym argumentem, oraz dwudziestu „ostami” podbił serce człowieka „Zachodu” i obaj poszli do łaźni. Ale kiedy o godzinie szóstej wieczorem celowicze zasiedli do swojej kolacyjnej „kawy”, do celi wpadł „drezdeńczyk” w rozpiętym mundurze, bez pasa i rewolweru, a w dodatku zupełnie pijany.

Całe towarzystwo porwało się od swoich wód gorących i otoczyło kołem Niemca, przeczuwając, że stało się coś niezwykłego.

— Co się stało? — ryczał dozorca — co się stało?! To ja was pytam, co się stało, bo to wasza wspólna sprawka! Ja nie nie wiem, co się z nim stało! Ja wiem tylko, że on uciekł!... Złodziej! Łajdak! Bydlę! Świnia! Pies!... Za cesarza tobym dostał osiem lat, ale i teraz posiedzę ze dwa. A tymczasem moja żona i dzieci pomrą z głodu w Dreźnie. I bądź tu dobrym dla ludzi! Bądź tu dobrym!... — krzyczał, przyskakując z pięściami do celowiczów, którzy cofali się z pośpiechem za stół.

Stopniowo jednak „drezdeńczyk” począł się uspokajać i piąte przez dziesiąte opowiadać, jak to było. Okazało się, że przeklęty „polnischer Legioner” wciągnął łatwowiernego Niemca do jakiejś podejrzaney spelunki, zamówił wino i jeszcze coś, zabrał pas z rewolwerem i zwiął, nie zapłaciwszy rachunku.

— A co teraz będzie? — pytał rozpaczliwie swoich przyszłych kolegów biedny dozorca. — Przecież „oni” mnie tego nie darują! Czy Herr Kommandant, czy Soldatenrat, ale wsadzą mnie na dwa lata, bo to jeden i ten sam djabeł! A ja grosza nie zostawiałem sobie! Ja wszystko, coście mnie dawali, odsyłałem żonie, bo ja mam czworo dzieci, a w Niemczech teraz jest głód. I ten przeklęty djabeł skusił mnie! O! O! O! — i cichym już skowytem starego, bezpańskiego psiska załkał stary Szwab.

Ale cela miała zbyt dużo swoich własnych trosk na głowie, ażeby dać wzruszyć się łzom do-

zorcy. Część ziewnęła, część szepnęła, zezując ku przedstawicielowi władzy przyszej: — I dobrze. Niech nie wierzy!

Natomiast sam przedstawiciel władzy przyszej manewrował tak, ażeby znaleźć się na korytarzu sam na sam z „drezdeńczykiem”. I kiedy przerażony dozorca („co, i ten ma zamiar uciec”) krzyknął nań ostro: wracać! — Lipski wcisnął mu do ręki połowę posiadanej gotówki.

Obdarowany spojrział ze zdumieniem na Jerzego, potem na wysoką cyfrę banknotu i nagle rzucił się na szyję więźniowi w żywołowem uniesieniu wdzięczności. Na sekundę uścisk bratni zjednoczył przedstawicieli dwóch wrogich sobie ras. Potem uszu Jerzego doleciał szept cichy i zdecydzony: W imieniu moich głodnych, dziękuję Wam!

ŻOŁNIERZE I MIASTO.

Wypadek z „drezdeńczykiem” był ostatnim epilogiem „Nocy Świętego Bartłomieja” w Grodnie. Nie wydarzyło się już potem nic szczególnego w monotonnem życiu celi piątej.

W parę dni po odejściu biednego drezdeńczyka do dyspozycji władz sądowo-śledczych, Lipski otrzymał od swoich opiekunek kartkę następującej treści:

„Szanowny Panie! Sprawa pańska uległa nagle znacznemu pogorszeniu. Wskutek usilnych starań z Warszawy Niemcy wyobrazili sobie, że Pan

jest o wiele niebezpieczniejszym człowiekiem, niż Pan jest w rzeczywistości, i zamierzają osadzić Pana w fortecy Królewieckiej. Ale niech Pan nie upada na duchu! Robimy wszystko, co można, ażeby Pana uratować. Proszę natychmiast symulować chorobę. Jest nadzieja, że za grubszą łapówkę prokurator niemiecki zezwoli na pobyt w szpitalu. Stamtąd, albo Pan sam ucieknie, albo pan K. odbije Pana!”...

Złożyło się tak szczęśliwie, że Jerzy nie potrzebował nawet symulować. Zdrowie jego, szarpnięte fizycznie i moralnie, było już niedaleko stanu przeciętnego łazika wojennego. „Osty” Koła Polek pogorszyły je jeszcze bardziej w oczach prokuratury i eks-prezes powędrował do szpitala. Straży nie postawiono przy nim, zapowiedziano jednak lekarzom i służbie, że o ile więzień ucieknie, oni pojedą do Prus.

Oczywiście jednak więzień uciekł. Mógł nawet uciec tego samego dnia, ale praktyczny prokurator wallensteinowców po wzięciu łapówki oświadczył paniom, że i one są uważane za zakładniczki. Wobec tego niewiasty musiały mieć czas na chowanego.

Dopiero więc nazajutrz, pierwszego kwietnia, zjawilo się przy łożu „chorego” siedemnastoletnie „prima aprilis” z przebraniem i oznajmieniem, że może uciec.

Ubrał się z łatwo ‘zrozumiałym pośpiechem i przeszedł szybko sale szpitalne. Nie napotykając

żadnego niepotrzebnego świadka, dostał się szczęśliwie na schody i ostrożnie, na palcach, zaczął schodzić, nasłuchując co kilka kroków.

Z ostatniego piętra zobaczył, że drzwi wejściowe do szpitala są w pół otwarte i skoczył, jak kot, ku zbawczemu otworowi... W tej samej jednak sekundzie z portjerni obok wyjrzała głowa ludzka, rozległ się krzyk, i rosłe, silne ciało męskie wślizgnęło się pomiędzy drzwi i zbiega.

— Ja pana nie puszczę stąd! Oni mnie wezmą do Prus! Ja mam żonę i dzieci! Ja pana nie puszczę, nie puszczę! — krzyczał nieznajomy, zasłaniając sobą przejście...

Bez oporu, prośby, gróźb i namawiań Jerzy Lipski wracał do siebie. W tym strasznym głosie, który go zatrzymał, było wszystko: i paniczny strach przed odchodzącymi, i strach przed nadchodzącymi, do których należał więzień. I wiekuista prośba o litość nędzy, obcej luksusom idei. Był to ten sam głos drezdeńczyka, głos psi-ska ludzkiego w poniewierce, głos „wroga”, z którym więzień podzielił się przecież ostatnim kawałkiem chleba.

Mógł szukać innego wyjścia. Mógł zrobić linkę i uciec przez okno. Sparaliżował go nagły atak fatalizmu. Siadł spokojnie na łóżku i czekał, co będzie.

W kilka chwil później jakiś rosły drab w mundurze armji niemieckiej, z rewolwerem w rękę, stanął we drzwiach.

— Krauze jestem — zarekomendował się przybyły z wybitnie szwabskim akcentem.

...Agent! Patrol... Wszystko skończone!...

— ...Iżem przyszedł — ciągnął flegmatycznie nieznajomy — z polecenia pana Kwiatkowskiego. Chodźcie-no! Niemcy idą już po was! Jo z Wielkopolski jestem, ze Znina... Jo ich znam!

Zbiegli błyskawicznie na dół. Stary woźny ruszył z meldunkiem do Szwabów, zostawił jednak na warcie syna wyrostka, który, ujrawszy zbiegów, począł się drzeć wniebogłosy. Ale Krauze chwycił młodzika za gardło i cisnął nim jak kociakiem o ścianę. Poczem obaj nikną w labiryncie krzywych uliczek i starych domostw.

— Halt! — Jakiś żołnierz niemiecki zatrzymuje podejrzaną figurę. Ale praktyczniejszy Poznańczyk wyjmuje z lewej kieszeni dziesięć „ostów”, a z prawej rewolwer, poczem żołnierz ulatnia się przezornie, zdążywszy wpierw pochwycić lewy argument.

* * *

Wobec terminu, raz jeszcze przedłużonego przez grzeczną Ententę, obóz Wallensteina miał opuścić Grodno trzeciego kwietnia. Ale niepunktualni, jak zawsze, Słowianie zaczęli napierać o 24 godziny za wcześniej. Wobec tego pogodny i jasny ranek dnia 2-go kwietnia zastaje jeszcze „na wszelki wypadek” długą linię kulomiotów i zielonkawych szyneli na straży olbrzymich trans-

portów ze zdobyczą, wywożoną gorączkowo do Prus. Przez lekceważenie szczupłych sił nadchodzących nie zniszczono jednak toru. Linja tyraljery i chorągiew Niemiec miały starczyć.

Ale nie wystarczyły nawet dla cywilów. Ze zdziwieniem i niepokojem arjergarda niemiecka konstatuje ustawiczne gromadzenie się tłumu na placu przed dworcem kolejowym, na ulicach, na dachach, na budowlach stacyjnych. Pomimo rżów, groźb, wrzasków i rozpędzeń, gromadzi się tłum coraz liczniejszy, coraz bardziej hardy i nieustępliwy, coraz gęstszy, żywiłowski, większy, ogromniejszy.

Oczy tłumowi kontrolują ustawicznie tor kolejowy, pilnują go bodaj lepiej, niż patrole. Jada?! Nie jeszcze! Jada! Jada!! Alarmowy sygnał niemiecki i pełny nieopisanej radości krzyk tłumów zwiastują jednocześnie nadchodzenie „Chwili”!....

....Pierwszy pociąg polski ukazuje się od strony Białegostoku! Długa linja karabinów wyciąga się na powitanie nieproszonych gości.

Ale pociąg wpada na stację z takim impetem, jakby się chciał roztrzaskać o budynki stacyjne. Wpada na stację, pełny żołnierzy oszalałych z radości, wyciągających ręce ku zebrany tłumom, żołnierzy, widzących przez sobą tylko miasto, które ich czekało, miasto, pijane od zwycięstw, jakie sypać się zaczęły na zmartwychwstały kraj i jego armję.

I linja niemiecka ginie sama. Sama pobija

siebie. Sama przestaje istnieć. Weterani wielkiej wojny, bohaterowie Verdun, Ypres, Karpat, Iskiuła rzucają karabiny, pozostawiają kulomioty i wieją, gdzie oczy poniosą od tych smyków Piłsudskiego, którym, ani śni się, „strzylać do Szwabów”! Zmykają wśród hańbiącej eksplozji śmiechu tłumów, bez kropli krwi przelanej dla honoru, bez jednej salwy nawet!

Ale nie jest to ani strach, ani brak honoru. Łamie ich poprostu szal życia, bijący z warjackiego pociągu! Szal twórczy rodzącego się nowego świata!... Dzwony biją, jak na pożar, a i jest to pożar radości, na który trzeba było czekać wiele lat!

* * *

Wśród krzyku, hałasów, płaczu, powitań, rozrywań, zapraszań, któremi stare Grodno wita swoich chłopców, ongi rozproszonych na cztery strony świata, a dziś już wolnych i zbrojnych, stoi i eks-prezes... Wypatruje Kwiatkowskiego i Krauzego, ażeby im podziękować za wybawienie od Królewca, a może i od czegoś gorszego. Pozatem musi dostać „jakaś” robotę. Nie chce tracić ani chwili! Musi odpracować swoje miesiące więzienne!

Kwiatkowskiego niema, ale są zato inni znajomi. Ku największemu swemu zdumieniu, eks-prezes dowiaduje się od nich, że jest bohaterem.

— Wiesz, Lipa, że twoja historia narobiła wiele hałasu w Warszawie. Sam Radecki o ciebie się sta-

rał...! Żyjesz, Lipski? A myż myśleli, że ciebie Niemcy i powiesili, a to jeszcze nie?! Czy to prawda, że Szwaby chciały Was zabrać do Prus! — Eks-prezes rośnie we własnych oczach. Nigdy nie przypuszczał, że taka głupia historia może wywołać takie poruszenie w jego światku.

W trakcie „rośnięcia” spostrzega w tłumie Janka Malinowskiego i z radością rzuca się w jego ramiona. Ale Janek, jak zwykle, śpieszył się bardzo, więc zawrócił go w swoją stronę i kazał mu iść jak najprędzej.

— Bardzo się cieszę, stary, że żyjesz jeszcze, ale pozwól sobie powiedzieć, żeś palnął kapitalne głupstwo z tym całym swoim wyjazdem do Grodna. A nie mówiłem ci, nie zadawaj się z P. O. W.?! Straciłeś parę miesięcy najgorętszego czasu, w ciągu którego byłbyś już założył kilkanaście szkół, a dziękuj Bogu, żeś nie posiedział ze dwa latka, bo nimby cię Foch kazał z Królewca wypuścić, to jużby się Polska i bez ciebie zrobiła. Zabrałeś Bóg wie ile czasu biednemu Radeckiemu, który co pół godziny musiał telefonować w twojej sprawie, tak go co chwila ktoś nachodził z twoich znajomych i krewnych. Każdy z naszych bezrobotnych społeczników lamentował „a ja jaj! Taki zasłużony człowiek”. Tylko ja jeden mówiłem: „Kiedyś zasłużony, a teraz niech uczy się od Szwabów, że trzeba brać życie na serjo. Bo albo się idzie do wojska, nie bojąc się trudów i niewygód i nie robiąc z siebie wielkiego człowieka

do nieudałych interesów, albo się siedzi w administracji. Dziś już jest chwała Bogu, albo cywil, albo wojsko. A nie bigos peowiacki z r. 1918-go. Ale ty zawsze byłeś ni to, ni sio“!

„Trzy lata temu byłem dla niego wyrocznią, a teraz?...” pomyślał z goryczą eks-więzień. Widocznie jednak miał dziś pecha, bo zaraz po rozstaniu się z Jankiem spotkał się nagle z pułkownikiem Tuszyńskim i stanął przed nim na baczność zlanym pasem, jak pensjonarka.

— A, a! Witam pana, panie Lipski—odezwał się surowo pan pułkownik. — Cóżto się z panem stało?! Mieliśmy pana zawsze za dzielnego człowieka, a pan tak haniebnie dał się Szwabom oszwabić?!

Eks-prezes zarumienił się powtórnie, ale że pan pułkownik śpieszył się bardzo (któż-bo w Grodnie nie śpieszył się wówczas), więc obiecał dokończyć bury dziś wieczorem o ósmej w restauracji hotelu Royal, a nawet, po ułaskawieniu, może i dać jakąś pracę.

Punktualnie o godzinie ósmej—wieczór kwietniowy, pogodny, słodki i niecichy, bo słowiki i orkiestra cygańska Royalu rywalizują ze sobą—eks-prezes wchodzi do starej sali najstarszego w mieście hotelu, w którym znalazł ongi locum cesarz Napoleon przed wyprawą na Moskwę. Nikt tego coprawda w kronikach nie sprawdzał, ale była to rzecz pewna.

I teraz, jak w 1812, szykuje się wyprawa na „Moskwę“, i dziś jezioro różnobarwnych mun-

durów zalewa salę o wielkich oknach, osłoniętych czerwonymi portjerami. Eks-prezes lawiruje nieśmiało wśród archipelagu stolików, myśląc co chwilę... „doprawdy, toż to ten mały Stasiek z pierwszego zastępu „Dzikiego kota”, a ten sierżant, to chyba zastępowy od „Zielonych krokodyli“. Tamten porucznik z tą śliczną panną był bibliotekarzem „Bratniaka” za czasów Zydy... Jak te dzieci prędko rosną!

Przy stoliku pana pułkownika Tuszyńskiego również sama młodzież. Pan pułkownik nie lubi pokolenia kapitału. Otaczają go eks-skauci, eks-legjoniści, eks-dowborezczy. Pan pułkownik peroruje, a cała gromadka młodych słucha uważnie.

— Pytał mię pan przed chwilą, panie kapitanie, dlaczegośmy przyszli tak późno, kiedy już cały materiał amunicyjny z fortów grodzieńskich został częściowo wywieziony do Prus, a częściowo zniszczony. Osobiście nie jestem tak drobiazgowy, jak pan, i powiadam — mniejsza z tem, kiedyśmy tu przyszli, dobrze, żeśmy wogóle przyszli. Nie ulega jednak wątpliwości, że miesiąc temu ogromne składy amunicji, której nam tak brakuje, byłyby wpadły nam w ręce.

— A więc pan potwierdza tylko moje tezy — bronił się młodziutki kapitan.

— Teorja, teorja, panie kapitanie! Zapomina pan, że w społeczeństwie naszym panuje jeszcze katastrofalny brak wiary we własne siły. Bodaj że cenniejszą zdobyczą, niż forty grodzieńskie, było-

by zdobycie Fortu z samowiarą i samozaufaniem! Dzieje tego ostatniego półrocza to jeszcze dla bardzo wielu coś pośredniego pomiędzy losem na loterji, a podarkiem noworocznym cioci Ententy. Nasz pochód na wschód nie jest taki łatwy psychicznie, jak się panu wydaje.

Mądrze mówi starszyzna, ale cóż, kiedy młodzież dzisiejsza jest niecierpliwa. Jeszcze pan pułkownik nie skończył ostatniego półokresu, a już ktoś szeptem zapytał Lipskiego, czy nie zna jakiej organizacji młodzieży, w której są ładne koleżanki. Ale pułkownik chrząknął znacząco i wśród karnego audytorjum znowu zapanowała wzorowa cisza.

— W bilansie naszych zysków moralnych— ciągnął dalej pan pułkownik — pozycją najbardziej zyskową byłoby przeobrażenie się „państwka” (zdaje się, że to pańska definicja, panie Lipski?) w państwo. Taki obowiązek przejścia od wieku dziecka do wieku męskiego ciąży na wszystkich nas. Nie wolno nam do przenoszenia ciężarów państwowych używać rąk „państwka”... Czy pan słucha, panie Lipski?

— Słucham, panie pułkowniku! — „warto, żeby i pan pułkownik siebie posłuchał”, zbuntował się w duchu biedny eks-więzień...

Mądrze mówił pan pułkownik, ale cóż, kiedy młodzież dzisiejsza jest już inna, niż była dawniej. Weszły jakieś dwie ładne panie i ktoś już pyta pocichu Jerzego, czy ich nie zna.

— Czegoś podobnego nie było za moich czasów — gorszy się ortodoks „państwka” — teraz, kiedy takie rzeczy się dyskutują, myśleć o jakichś głupstwach.

— I wreszcie — ciągnął dalej niestrudzony pan pułkownik—chciałbym jeszcze zwrócić uwagę panów, że „państwko”, jako organizm młody i niedoświadczony, tolerowało dyletantyzm, ale państwo czynić tego nie może... panie Lipski, czy pan słucha?! — Słucham, panie pułkowniku. (i w istocie słuchał tylko on jeden)... — Dziś więc już nam nie wolno być Kaśką do wszystkiego, ale trzeba sobie wybrać jakąś jedną ścieżynę w życiu i cały swój impet tam skierować!... A teraz przepraszam Was, moi drodzy, jeżeli kogoś dotknął. Kelner! Wina! Państwko est mort i niech żyje Państwo!

Radosny gwar młodzieży zwiastuje przybycie wina, zgon państwka i koniec filozofji pana pułkownika. Jeszcze może tak wszystko nie wyrosło i nie zwięzchniało, jak chce pan pułkownik, ale że roślinka zmieniała się w roślinę, to pewno. Jerzy widzi rysy męskie, barki rozrosłe swoich byłych pupilów i wychowanków, zajętych wyłącznie sobą i swoją beztroską... tak, to już mężczyźni!... i partyzantki à la Zaniewski musiały się już dawno przekształcić w bataljony i pułki! Warszawa też musi inaczej wyglądać, niż w styczniu. Wszystko tak nagle wyrosło podczas tej wiosennej eksplozji twórczej.

„Ale gdzie ja tu jestem? Czy dla mnie niema już tu miejsca?.. Budzi się egoistyczna myśl człowieka zapomnianego... No! mniejsza z tem!.. Świadomość triumfu idei całego życia zagłusza smutek przemijania rzeczy bliskich, drogich i kochanych. „Państwko est mort!” Powtarza wyrok Tu-szyńskiego na tyle najpiękniejszych lat życia... podchodzi do okna, ażeby ukryć to, co czuje... woń sadów płynie do sali, pełnej łkań skrzypcowych i śmiechów ludzkich!...

...Tam jest jeszcze jedna wiosna, a tu lato już!...

* * *

To wszystko było już bardzo dawno, aż cały dzień temu. Dziś jest posłuchanie na Zamku Batorego i msza polowa. „Ma podobno przyjechać sam Piłsudski”. Wprawdzie nikt tego nie sprawdził w odtrzechdniowem „starostwie“, ale była to rzecz pewna.

Msza polowa odbędzie się na tym samym placu Farnym, skąd ongi król Batory ruszał pod Psków. Domy są dziś puste. Cała ludność miasta i powiatu obozuje na ulicach, wiodących od stacji ku Farze i dalej ku Zamkowi Batorego. Trzy słowa „jedzie”, „nie jeszcze”... rządzą jeziorem głów.

Wzdłuż ulicy Orzeszkowej rozstawione są szpalery, które mają strzec polskiego „On” od zamachu. Szpaler ten tworzą szkoły. Dzieciaki są zaciekawione i przejęte ważnością chwili. Mocno trzymając się za rączki, wychylają się ku stronie —

skąd ma nadszednąć ich pupil. Ale coś długo niema go i niema! Nareszcie, jak długi szereg eksplozji, idzie od stacji ku miastu okrzyk: „jedzie!” Więc zacisnęły mocno rączki, ażeby nie puścić starszych na jezdnię i wyciągają z ciekawością główki, jak słoneczniki, w stronę wschodzącego słońca.

Nie tak to jednak łatwo dać sobie radę z rodzicami, zwłaszcza z cudzymi. Pocziwy małowzrostki ludźki grodzieński niebardzo mógł „pośpieć” na piechotę za historją, ale wie, że oto jedzie największy dziś w Polsce, a przytem i swój człowiek. Żywiołowy wybuch entuzjazmu łamie przyrodzony chłód krwi litewskiego pogranicza. Biedna dziatwa nie może utrzymać w porządku swoich tatków i matek. Linja fałuje. Zbliża się do powozu pas rąk, wyciągniętych wgórze. Tłum przerywa kordon i płynie na Zamek, jak masa fal pomniejszych, płynie za jedną, wielką falą przewodnią...

* * *

I Jerzy widzi Go również, myśląc: jest-że to człowiek państwa, czy państwka?

* * *

A może tak, jak i my wszyscy!... Wczoraj państwka, a dziś państwa!...

* * *

Uroczystość skończona. Fale ludzkie rozpoczynają swój odpływ z zamkowego dziedzińca.

Lipski ma zamiar zrobić to samo, kiedy nagle dostrzega jakiś dziwny pomniczek. Wycofuje się z fali i czyta:

„Tu, dnia 3-go czerwca, 1916-go roku, cesarz Wilhelm II-gi, Wódz Naczelny Niezwyciężonej Armji Niemieckiej, zwiedzając ten prastary Zamek Królów Polskich, raczył spojrzeć na miasto u stóp jego położone i zachwycić się pięknością starego grodu!”

O kilka metrów dalej na murze Zamkowym czernieje klepsydra żałobna. Jerzy widzi zdaleka trzy duże litery: P. O. W. Kogóż to już dziś P. O. W. chowa, myśli z niepokojem, podchodząc bliżej. Istotnie klepsydry zawierają dwa dobrze znane mu nazwiska.

Pierwsza: Ś. † P. Jan Konradowski (pseudonim Konrad), plutonowy pierwszego pułku piechoty Legjonów, za przyjście z pomocą włościance polskiej, przez rabusiów niemieckich napadniętej, rozstrzelany z wyroku niemieckiego sądu wojennego dnia 17. IV. 1918 w Warszawie.

Cześć Jego Pamięci.

Druga: Ś. † P. Stanisław Januszko (pseudonim „obywatel Stach” i pan Mieczysław), były Komendant Polskiej Organizacji Wojskowej w Wilnie zmarł dnia 27. III. — 1919-go organizując „Straż Nadniemeńską”.

A więc pan Mieczysław umarł!... Letnia sielanka „Szkoły Podchorążych”, jak stara wpółwyrażna fotografia, łączy się w jedno z tekstem klep-

sydry... Biedny pan Mieczysław! Biedne, kochane, drogie, żywe państwo! Umarło, organizując coś już niepotrzebnego, coś archaicznego, jak zwykle... i nie zobaczy już państwa!...

Ale nie można się stać smutnym na obstalunek klepsydry. Chwilę tylko z głową odkrytą i pochyloną spogląda na białą z czarnem kartkę papieru, potem na Niemen i kaskady spadających ogrodów... Niemen jest dziś taki spokojny. „No, cóż, w koszarach niebieskich spotkamy się tak samo, jak niegdyś w tamtych ziemskich, które już nie istnieją!...

Wraca do miasta... Ale miasta niema jeszcze... Jest tylko ulica. Rzeki ludzkie nie dzielą się na strugi, nie nikną w mieszkaniach. Jedna wielka masa ludzka obozuje między domami. Niema już patroli, niema wart, niema przepisów, ograniczających ruch nocny. Jest wojsko, roztopione wśród cywilstwa. Jest wojna, ale jeszcze tu nieobecna. Jest wolność, przedtem nigdy nie widziana i wytworzona przez nią wielotysięczna rodzina beztrocka i nieosobowa, kochająca się i „familijna”, wydobyta ze wszelkich skorup ślimaczych, przedziałek i przegródek.

I Jerzy Lipski tonie ostatecznie w fali, jak wszyscy, stając się bezosobowym atomem powodzi, która zatapia miasto. Nieskończona rozkosz życia bez odpowiedzialności, bez gwoźdźca wiecznej troski o przyszłość, radość, która jest w życiu ulic, w biciu dzwonów, w uśmiechu mas, ogarnia

go, odziera z fikcji dygnitarstw, wielkich imprez, zbaw-ojczyzn! Noc wiosenna zastaje go marzącego o czasach minionych i obecnych na wysokim brzegu Niemnowym. O kilka kroków dalej ulokowała się czwórka parok, złożona z kilku młodych legjonistów i jeszcze młodszych panienek. Żołnierze nie są dyskretni i byle szpieg może się od nich dowiedzieć o wielu ważnych tajemnicach wojskowych. Np. „Jutro ruszamy na Wilno! Może zginę, a panna Józia ma takie twarde serce!”

Zdaje się jednak, że byłaby to wiadomość fałszywa, i że panna Józia nie ma twardego serca. Świadczy o tem szept „nie można” i ruch główki w kierunku ust żołnierskich... Chytre chłopcy nucą piosenki o śmierci, ażeby jeszcze bardziej rozczulić dziewczęta. A że to im się udaje—świadczy ilość słówek „nie można”, coraz większa i coraz szybciej wymawiana!...

Ale czyż można brać tak na serjo „nie można?” A może i nie wrócą już?!

Wróć! Wróć! Jakże nie mieliby wrócić!

EPILOG.

Dzieje „druha” Dreczkowskiego, szeregowca szturmującej Verdun armji kronprinca, później jeńca rosyjskiego, członka „Sokoła” polskiego w Saratowie, dowborczyka i naszego dobrego znajomego z kompanji porucznika Małagowskiego, w roku 1919 były już dość normalne. Z bólem serca musiał rozstać się ze swoim porucznikiem, który brał tylko co młodszych do wysadzania Niemcom mostów na ukraińskim Zadnieprzu. Dreczkowskiemu, który już dawno przekroczył czterdziestkę, porucznik radził wrócić do Polski i tam czekać na pranie Niemców, co według jego obliczeń miało się zacząć niebawem. Staremu Pomorzaninowi było jednak markotno bez roboty, postanowił więc machnąć się przez Rosję na Murman, jak wielu innych.

Nieznajomość języka rosyjskiego i geografji tego państwa nie przestraszała szanownego druha, który zresztą wogóle nie znał żadnego języka. Ze szkół niemieckich na Pomorzu zacny ten człowiek nie wyniósł wprawdzie szyllerowskiej niemczyzny,

ale zato zepsuł doszczętnie język polski, zaszczycony w domu rodzinnym. Wojna we Francji dosypała do tej mikstury garść wyrazów francuskich. Pobyt nad Wołgą trochę rugatielstw, a praca oświatowa w I-ym korpusie kilka wyrazów inteligenckich. Ponieważ jednak niema podobno tego złego, coby na dobre nie wyszło, więc i czrezwyczajka w jakimś mieście „rusków” nie mogła się domyśleć, do jakiej właściwie narodowości należy włóczęga i o co mu chodzi. Wzięto go wkońcu za zbiegłego jeńca niemieckiego, dopytano się jakoś „kakoj profesji” i wsadzono na starą lokomotywę, na której musiał wozić naprzemian to drwa, to komisarzy i ich kochanki.

Rozumie się, że wobec tak miłej perspektywy druh Dreczkowski wolał pójść za radą swego porucznika i osiaść w okolicach Śmigła w Poznańskiem.

Tak mu się nadarzyło, że zamieszkał u kuma Szczygła, chłopca z urodzenia, profesji i powołania, a szynkarza z sympatji do gotówki. U kuma było sześciu dorodnych synów i trzy Szczygłówny, jako we zwyczaju jest w tamecznych stronach. Synostwo pościagało tylko co z różnych końców Europy, bając ojcu i sąsiadom przeróżne dziwy o ostatnich godzinach armji niemieckiej. Szumno więc było i gwarno w małym szyneczku, a i kum poszeptywał, że i tu z wiosną coś dziać się zacznie.

Tymczasem „dzianie się” zaczęło jeszcze w zimie. Jak grom spadła na Śmigielskie wiadomość,

że „kongresowy” „piera” Niemców. Potem, że Paderewski z Francuzami ziemią czy powietrzem spadł na Poznań. Zakotłowało się w dużym garnku Wielkopolskim. Zawrzało i w małym śmigielskim garnczku. Mały, cichy i pracowity światek rozpadł się na dwie strony wojujące—na Grenzschutz i „swojaków”. Na młodzież z niemieckich kolonij—i na synów chłopskich z „niewypartych” jeszcze wiosek.

Była to dziwna wojna, ani pozycyjna, ani ruchoma. Z pozoru, ot sobie zwykłe użeranie się o miedzę. Partyzancka walka dwóch wałów ludzkich, z których jeden usiłował przesunąć granice nowego państwa jak najdalej na wschód, a drugi jak najdalej na zachód. Wały wygniatały się wzajemnie z lasku na lasek, z rzeczki nad rzeczkę, ze stawu nad staw, jak to bywa u ludzi, którzy poczuli, że im we dwójkę nie sąsiadować na tym świecie.

A jednak ta maleńka, śmieszna wojna śmigielska w swojej treści była jedną z najkrwawszych wojen wojny europejskiej. Była to wojna bez jeńców i bez pardonu, walka nie do ran szpitala i niewoli, ale do śmierci. Mocny chłop wielkopolski, który bronił się kiedyś banczkiem ludowym, spółką, mleczarnią, „gazytą” i księdzem, teraz poczuł w sobie ducha ziemi. Wszystkie tynki cywilizacji znikły. Bawełna „walki pokojowej” przestała istnieć. Tradycja Głogowa, wypraw do Czech i na Morawy, krwawych walk z Marchją Brandenbur-

ską odżyła sama przez się bez agitacji i patosu. Wróciła jako prawo silniejszego, jako najstarszy zakon ziemi: jakże nie brać, kiedy można wziąć.

Bierzcie mnie, mówiła tej zimy ziemia, choć i pod śniegiem, wszędzie: i pod Lwowem, i we Wilnie, i na Wołyniu. Gdzie indziej jednak chłop „drzymał”, „pietrasił”, „jenteligienty” się ruszały, „rzymieślniki”, ale tu nie. Mocny chłop wielkopolski, który setki lat tylko „nie dawał się Szwabom”, teraz zaczął sam brać. Pracowicie toczył swój chłopski wałek na zachód i „wygniatał” w ciągu dni to, co przemyślna mądrość niemiecka ustawiła mu pod nosem całe lata.

U kuma Szczygła stał sztab tej armji śmigielskiej, składający się z jednego podoficera, Westfalczyka, ale co to był za porządek! Druh Dreczkowski, który jako najlepszy znawca języka polskiego, obok czynności bojowych, pełnił w tym sztabie obowiązki pisarza, nie mógł się nachwalić tej „reguły pracy”. Patrole wychodziły wporę, warty zmieniały się z zegarową dokładnością... Nie tak, jak niegdyś u tych Rusków od Dowbura („poczciwe, ale porzundek?!”)... Naboi też nikt nie psuł, ani z tej, ani z tamtej strony.

— Uważacie no — mówił kum Szczygieł, który jako główny intendent armji śmigielskiej cieszył się wielkiem poważaniem u swojaków — ten grunt, za laskiem, to weźcie, bo ziemia dobra. Jak się granica tam ostanie, to bauera posadzo. Jo, jo, Niemca, psiakrew, a niech lepiej swojak się

dzie. Tamte z lewej niech ta bierą. Ino piosek!

Podoficer Skowronek uzgadniał zazwyczaj swoje plany strategiczne z radami doświadczonego w ziemi druha Szczygła i krzyczał: „a no, chłopoki, pod lasek, tam jo! *Vorwärts für Vaterland, hurra!*” I zwracał swój posłuszny wałek chłopski w stronę, wskazaną przez szynkarza.

Atoli powstanie, organizacja i zwycięskie potyczki o ziemię maleńkiej armji śmigielskiej budzą nietylko otuchę i inicjatywę w bliższych i dalszych Śmiglach. Paraliż Niemiec nie jest jeszcze tak wielki, jakby można sądzić z parawanów Kilonji i Berlina. Idą posiłki dla Grenzschutzu z Bytomia i Opola, ażeby stłumić bunt w zarodku i dać przykład innym.

W odpowiedzi na to „sztab” postanawia, a Dreczkowski ogłasza mobilizację powszechną. — *Do wsi kurów wielkich, Kurów Małych, Średniowa, kozów i zabrzezia. Niech pochwalony, a potem żebyście mi tu wszyscy przyszli, bo grenzsztutzy idą, a jak nas wygubią, to i was wygubią, na Wieki Wieczne skowronek Dowodzący!*

Jakoż wieczorem „chłopoki” zaczynają ciągnąć. Ciągną przytem i to do wspólnego majątku, co zabrali ze sobą w dniach straszliwego pogromu Niemiec. Całą noc montują „maszynki”, kopią rowy, szykują się. Nad ranem państwko „śmigielskie” podoficera Skowronka gotowe jest do odparcia ataku.

Niestety, kronika niniejsza nie posiada danych co do dalszych losów tej śmigielskiej Andorry. Nie nie wiemy, w jakiej liczbie przyszły posiłki grenszucom, ile było trupów z obu stron i czy walczone na bagnety. Nie umiemy też ściśle określić, czy ów gront za laskiem dostał się kolonowi, czy też posiadał go polski bauer. Organizująca się szybko świetna armja wielkopolska zajęła wkrótce terytorja małej rzeczypospolitej, przetrawiając bez śladu w swoich państwowych wnętrznościach i podoficera Skowronka, i druha Dreczkowskiego, i kuma Szczygła z jego sześciu synami. Nie znajdziemy też prawdopodobnie ich nazwisk w spisach kawalerów „Virtuti Militari”. Na mapach świata Ziemia Wielkopolska znaczy się szarym kolorem. Śpią również snem wiecznym niepoznaczeni żelaznemi krzyżami, niepraktyczni synowie kolonów niemieckich, którzy woleli tradycje nach Ost'u, niż rabunek berlińskich śródmieści. Dziś tam jest bardzo prozaicznie na tej pierwszej granicy polsko-niemieckiej. Dwa „wałki” byłych „batantów” przemycają sobie wzajemnie cygara i czekoladę. Kwitną gospodarstwa i mały szmugielek. Wszystko jak zawsze... I jak dawniej, czuwa tam prawieczny, czujny, wszechpotężny duch ziemi!

* * *

Okolica podmiejska pełna tyraljer. Laski wycieczkowe maskują baterje. Stalowem dwójpasmem

szyn suną pancerki. Białą nić szosy, wijącą się wśród wzgórz, plamą rude kropki tanków. Śmigła samolotów furczą wśród rozkwitających co chwila białych chmurek.

Armja generała Szeptyckiego atakuje Mińsk Litewski.

Nie jest to już konspiracyjny atak od wewnątrz, ani zbliżanie się jakiegoś „bobrujskiego państewka”. Jest to już armja, wysłana przez państwo. Armja jeszcze młoda i niedoświadczona, jeszcze się wciąż konsolidująca, ale już armja państwa, nie „państewka”. Kochane „państewko” śpi snem wiecznym na całej przestrzeni. Od Śmigła do Baranowicz. Ludzie są inni, chociaż i ci sami. Ogromna machina państwowa wchłonęła i zasymilowała i Kmicicowych wolontariuszy i pomysłowych Zagłobów. Znikły niewiary i „coś robienia”. Odwikłały się rzeczy zawikłane, usuwając w cień orientacje i cioć-Ententy. Cel wysiłków stał się wyraźny: zdobyć jak największe gospodarstwo. Nowe półrocze zmęczeń wojennych i niesłychanej ruiny ekonomicznej nie osłabiło eksplozji twórczej tego pobojuwiska wojny światowej. A tymczasem, wciąż, bez przerwy, ze wszystkich krańców świata, ze wszystkich ziem włoskich, na których los umieścił wielkich i małych Dąbrowskich, płyną, albo działają na miejscu „państewka” — cegielki młodego państwa w walce.

„Państewko” mińskie działa na miejscu.

Chwilowe zawieszenie broni dawno przeszło już do historii. Atmosfera groteski, różowego ter-

roru i „pięć funty cukru” znikła. Żywioty umiarkowane zostały usunięte ze stanowisk komisarskich. Ster wpadł w ręce fanatyków.

Tajne „państwko mińskie” jak hydra odrasta pod toporem czeki. Więzienia są wypełnione aresztowanymi. Codzień przyprowadzają nowych. Codzień prowadzą starych na miejsce egzekucji. I codziennie kurjerzy i kurjerki P. O. W. dostarczają gen. Szeptyckiemu wiadomości o stanie sił sowieckich.

Czerwona Religja wyteęza wszystkie siły, ażeby wykryć gniazdo Białej. Wciska do domów polskich najrodowitszych warszawiaków i łodzian. Piękny styl z nieposzlakowanym akcentem ma przełamać opór „białej mafji”, która nie znała gramatyki, ale wierzyła po polsku.

A mafja atakuje również. Wysyła swoich do przekopów, kontr-min psychicznych, skrytek z tajemnicami. Ma swoich ludzi w sztabach, na kolejach, w czrezwyczajce. Dwie Religje walczą z niesłychaną zaciętością, wciąż sąsiadując ze sobą nierozzerwalnie.

Zewnątrz miasta jest martwo. Korowody więźniów ze wszystkich klas i stanów, oraz wojsk czerwonych, idących na coraz bliższy front zachodni, są jedynym pulsem ulic zamarłych. Ludność nie wychodzi z domów, bo niema poco. Praca, kupno, sprzedaż stały się nieaktualne. Miasto jest cmentarzem, na którym szaleją idee!

Na tym cmentarzu wyrósł między innymi i grób Stefanowski. Stefanowski nie wyjechał do Polski podczas chwilowej idylli w styczniu i lutym 1919-go. Może nękały go w dalszym ciągu wyrzuty sumienia, że wtedy, w Orenburgu, odprowadzając na cmentarz swoich biednych skau-cików, spóźnił się z pomocą „panu generałowi”. Może nęciło go życie wywiadowcy, pełne uroku wielkich ofiar i wielkich niebezpieczeństw. A może tylko poprostu czuł, że w Polsce porucznika Stefanowskiego zastąpi inny porucznik, a tutaj nie zastąpi go nikt. Dość, że pozostał i stał się duszą oporu!

Szpiedzy sowieccy w Polsce alarmowali bez przerwy, że zwycięska armja generała Szeptyckiego otrzymuje jak najdokładniejsze meldunki o każdym ruchu wojsk czerwonych. A każdy meldunek był jego dziełem. Wyznaczono nagrodę. Wykryto pseudonim. Poaresztowano pomocników. Krył się po strychach, po ogrodach, po różnych zakamarkach u coraz to nowych wyznawców. A meldunki jego wciąż szły ku pierścieniowi wojsk atakujących.

Po wykryciu pseudonimu znaleziono nań sposób genialnie prosty. Urządzono tajny nadzór nad jego matką, ale nie aresztowano jej. W wigilję najgorętszej bitwy pod miastem Stefanowski przyszedł do matki, uspokoić ją, że mu się nic złego nie stało. Rozstrzelano go w tym samym dniu, w którym armja generała Szeptyckiego zdobyła Mińsk Litewski.

Dzień 10-go sierpnia, dzień zdobycia tyle razy i w tak różny sposób zdobywanego miasta! Ogniomistrz Zyda i jego pracowita poznańska bateria widzą już bez szkieł domy przedmieść, nieskończone wstęgi, trójkąty i kwadraty sadów. Wśród biało-zielonych, dalekich plam buchają czerwono-czarne słupy ognia i dymów. Eskadra krwawego ptactwa bombarduje cofające się oddziały czerwonych. Zbocza wzgórz pomiędzy pożarami i lasiem, który maskuje baterję Zydy, pełne ruchomych, zielonawych paciorek. To pułk miński atakuje swoje Lachówki. Rosłe chłopcy zaściankowe, synowie „kolonów polskich”, wysokie, ciężkie, niezgrabne, tulą się do hreczki, którą kiedyś oni kosili, a która teraz ich kosi. Obok wali jakaś mazurska tyraljera drobna i zwinna. Dalej potomkowie Gonty i Szeli. Słowem, cała Polska w komplecie. „Więc to „to” już! Zaraz! Myśli jak w gorączce Zyda... i słyszy rozkaz... Zająć pozycję o pięć kilometrów od miasta!... A więc miasto już zdobyte, ale to nie my tam wejdziemy, uświadamia sobie z goryczą... Z chwilą goryczy tylko. Szalona radość zwycięzcy przemaga egoizm. Moje miasto zdobyte! Nareszcie zdobyte! Po raz ostatni już...

K O N I E C



BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
W GLIWICACH

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

21546